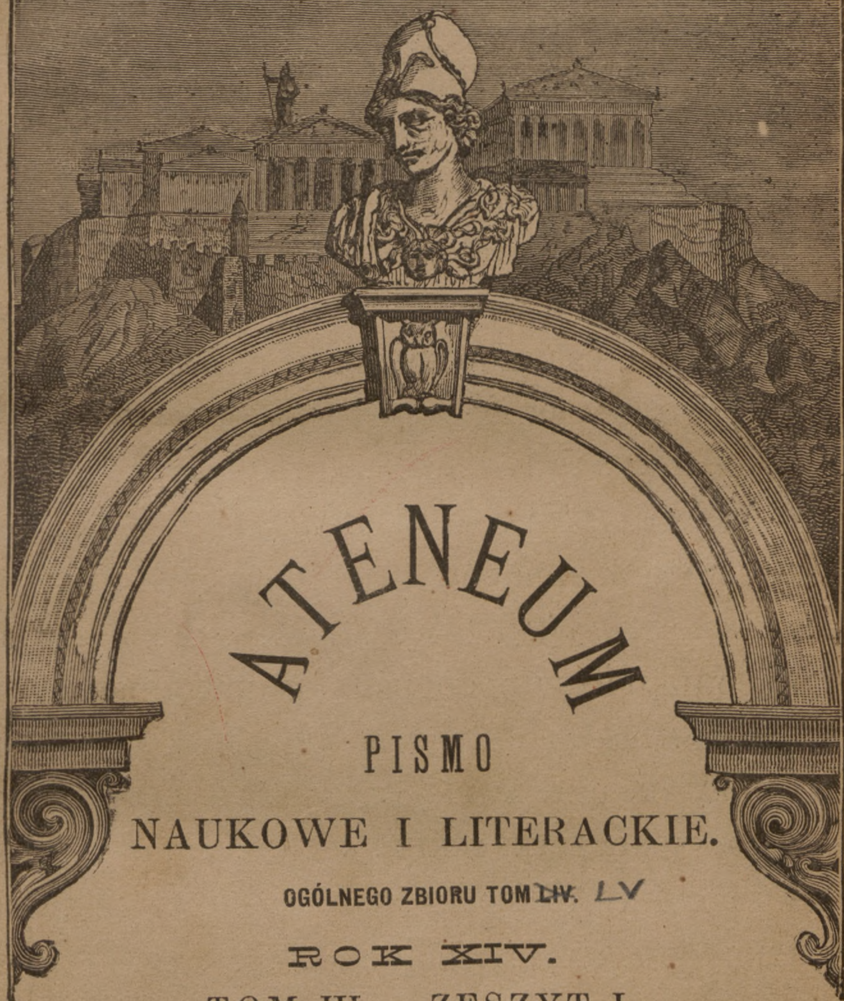


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM ~~LIV~~. LV

ROK XIV.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Do tego zeszytu dołączono arkusze 3-ci i 4-ty Spisu rzeczy, zawartych w XIII rocznikach „Ateneum“.

Druk ukończono 3 Lipca 1889 r.



WIOSNA.

OBRAZKI MALOWANE W SŁOŃCU.

W salach dworca krakowskiego było ludno i gwarno. Tragarze znosili kufry i pakunki, na twarzach tłoczących się ludzi uderzało zaniepokojenie i gorączkowa niecierpliwość. Rozkazy, pożegnania, ostatnie przypomnienia, wypowiadane krótko, nerwowo, krzyżowały się nieustannie.

Przed okienkiem kasy, na którém umieszczono na białéj tablicy napis: „Do Lwowa", tłoczyła się garstka ludzi. Bracia nasi mojżeszowego wyznania, w energii ruchów i błyskawicach wzroku, zdradzali lękliwą obawę spóźnienia się, połączoną z chęcią natychmiastowego kupna biletów.

Zapał ich mitygował policyant, stojący tuż przy kasie.

— Ratuj mnie pan — zawołała młoda dziewczyna, prasowana przez czterech synów Izraela o żółtych brodach.

— Co to, nie wolno kupować biletu—zaprotestował jeden z żydów, wyciągając rękę, aby się uchwycić okienka kasy.

— Powiadam, rozstąpić się — powtorzył stróż bezpieczeństwa i tak zręcznie zamanewrował, że dziewczyna znalazła się przy okienku.

Ze strony Izraela wyszedł protest. Jeden z nich wspomniał o gwałcie.

Reprezentant siły i władzy przyjął protest z ironicznym uśmiechem litości, zmienionym w pewien zachwyt, gdy przed nim stanęła uwolniona z pod prasy dziewczyna, pokazując w ręku kupiony bilet, a z po za różowych ust, białe równe zęby.

— A teraz którędy? — spytała. — Przejeżdżałam już raz, ale jakoś sobie zapomniałam.

Stróż prawa podprowadził ją do trzeciéj klasy, wskazując na szklane drzwi.

— A proszę wracać — odezwał się wesoło, salutując.

— Za tydzień! Do widzenia — dodała, odwracając się od drzwi.

Młodzieniec w kasku, z półksiężycową blachą pod szyją, podkręcił w górę wąsa, dziewczę znikło za szklanemi drzwiami.

Na peronie był wielki ruch. Ludzie przebiegali od wagonu do wagonu, wołali na konduktorów, tłoczyli się, wchodzili i wychodzili, żegnali się, całowali, śmiali i płakali.

Porwana wirem dziewczyna, biegała z jednego końca pociągu na drugi powtarzając.

— Do Słotwiny, do Słotwiny!

Nikt jéj nie odpowiadał, nikt się nią nie zajmował.

Gromadka dzieci Izraela szwargocąc, szła żywo na sam koniec pociągu. Dziewczę pobiegło za nimi.

— Do Słotwiny—zawołała żałośnie, wystraszona.

— Do Słotwiny? tu, tu — wskazał ręką na otwarte drzwi pustego wagonu, oderwany od gromadki żydek.

Dziewczyna postawiła na ławce wagonu koszyk i chwytając się żelaznych prętów, wsiadła. Odetchnęła całą piersią i rozśmiała się. Już jéj nie odjadą, nie spóźni się, zajedzie na czas... Usiadła, ocierając pot z czoła chusteczką.

Radość i szczęście promieniało jéj z twarzy, nie mogła usiedzieć, wstała, przechadzając się zwolna po pustym wagonie.

Do drzwi zbliżył się hamownik z czerwoną chorągiewką i niebieską czapką na głowie.

Dziewczę, aby się upewnić, zapytało:

— Czy w dobrém miejscu usiadłam?

— Kiedy panienka stoi.

Rozśmieli się oboje.

— Wszystko jedno, ale czy dobrze?

— A dokąd?

— Do Słotwiny.

— Doskonale.

— Dziękuje.

— Czy do saméj Słotwiny?

— Daléj, będzie jeszcze z półtory mili w góry.

Konduktor biegnąc, zamykał wagony, trzaskając drzwiami.

Dziewczyna wystraszona odskoczyła. W téj chwili rozległ się odgłos dzwonka.

— Gotów! — powtórzono trzy razy. Wązka siatka, oddzielająca wagony od publiczności, spuszczała się ku dołowi. Wagon szarpnięto tak silnie, że dziewczyna, nie mogąc się utrzymać na nogach, usiadła. Koła zaczęły się obracać, pociąg zwolna cicho poruszał się. Wyjechał z dworca. Na ulicy przed baryerą, czekała gromadka ludzi.

Dziewczyna z nadmiaru szczęścia i wesołości, zaczęła ręką żegnać się z gromadką. Młodzi ludzie odpowiadali na jéj ukłony.

— Nie martwcie się, wrócę za tydzień, jak mnie tu żywą widzicie — szeptała, patrząc na przesuwające się przed jéj oczami ulice, wozy wyładowane i krzyżujących się ludzi.

Pociąg coraz szybciéj pomykał, domy przesuwały się coraz prędzéj, odkrywając czerwone baszty i mury zamku.

Zadudniło, spojrzała na dół: wody rzeki spienione, żółte, szybko płynęły.

— Wisła! jaka ci wielka. Zobaczę ja cię niedługo.

Pociąg wjechał na równinę, po prawéj stronie domy Pogórza, po lewéj, jak okiem sięgnąć, rozciągała się zielona płaszczyzna błonia, urozmaicona rozrzuconemi po niéj kwitnącemi o wąziutkich listkach wierzbami.

Otworzyła okno, wychyliła się, wciągając w płuca całą siłą świeże powietrze.

Wiosenna woń podziałała na nią. Jak koń, kiedy na step powróci, rozwarła chrapy... Wspomnienia niedalekiego dzieciństwa i pierwszych brzasków młodości cisnęły się do jéj mózgu, same nie wiedząc dla czego.

— Boże, Boże — szeptała, nie umiejąc inaczéj określić swych wrażeń i uczuć. Patrzała, wytężając wzrok, aż póki nie spoczął daleko na szarzejących chatach o białych ścianach i ciemnych dachach.

— U nas tak samo — zawołała.

Tymczasem pociąg zwalniał i stanął na Podgórzu.

Dziewczę zwróciło się w stronę dworca, patrząc z ciekawością na przypływ i odpływ podróżnych, na naczelnika w czerwonéj czapce, posługaczy w niebieskich bluzach i młodego telegrafistę, r o b i ą c e g o o k o do wszystkich kobiét. Gdy przyszła koléj na nią, rozśmiała się głośno.

Telegrafista wyprostowany, poszedł daléj, nie oglądając się z obawy skompromitowania swéj powagi.

Niedaleko dziewczęcia stał hamownik, z nieodstępną czerwoną chorągiewką.

Nie mając z kim, zaczęła szczérzyć ząbki do czterdziestoletniego hamownika, chcąc sobie zapewnić jego protekcyą i pomoc

Pociąg ruszył dalej. Za Bierzanowem i Podłężem- wyskoczyły granatowe góry, o wielkich, białych płatach śniegu, wyglądające ponuro.

— Może i w naszych górach jeszcze śnieg, pomyślała, lecz nie wierzyła.

— Bochnia!

W Bochni była na jarmarku. Matka sprzedała krowę, dali co sama chciała. Bawiła się, tańcowała przy muzyce, ochota wielka, kawalerów moc. Działo się to łońskiego roku, jakoś na św. Stanisław. Wprost z jarmarku poszła z matką do Szczepanowa na odpust.

Wspomnienia serce jéj rozrywały, niecierpliwość szarpała nerwy, a tu jak na złość pociąg stał w miejscu.

Dla ochłodzenia, zaczęła się wachlować chusteczką.

— Panience gorąco—odezwał się hamownik, przystając.

— Z niecierpliwości—odpowiedziała rezolutnie.—Mógłby pan machnąć parę razy chorągiewką, pojechalibyśmy zaraz.

Hamownik się roześmiał.

— Albożby mnie usłuchali?

— Spróbujcie.

— A służba? Dadzą sygnał, ja macham, że wszystko dobrze, i jazda.

— Jazda, jazda — zawołała, wychylając się.

— Cicho — zaprotestował konduktor—spódnice tu nie rządzą.

— To niech surduty nie bałamucą a jadą.—Zaśmiała się.

— Pilno panience — dodał hamownik.

— A pewno, wysiedziałam się w Krakowie calusieński rok. Dziś jarmark w Brzesku, matusia i cała wieś na jarmarku, a tu stój i stój.

— Gotów — zawołał konduktor.

Hamownik machnął chorągiewką, skoczył na deskę wagonu, pociąg ruszył.

Dziewczyna, stojąc w oknie, patrzała rozpromieniona. Ta sama szeroka droga, obsadzona topolami, po której prowadziła krowę. Matusia ją poganiała. Ta sama kita czarnego dymu z czerwonego komina młyna parowego. Wtedy widziała ją z drogi, dziś z okna wagonu. Nic się nie zmieniło.

Pociąg wpadł w środek sosnowego lasku, przecinając go na połowę. Na czerwoném tle igieł sosnowych wiły się wydeptane ścieżki.

Tędy wracała z Bochni, idąc na odpust do Szczepanowa, matusia za nią, a obok niéj garść wesołych parobków. Płótnianki z czerwonemi obszywkami nieśli przewieszone przez ramiona czapki baranie i kapelusze na bakier, białe koszule, pozawiązy-

wane czerwonemi wstążkami... Jakie to były wesołe gadania, a co śmiechu. Mój Boże!...

Pociąg wysunał się z lasku. Na wykarczowanéj polance dwóch gospodarzy siało owies, trzeci włóczył parą mierzynów.

Wysunęła głowę, witając ile jéj sił starczyło:

— Szczęść Boże!

Siewacze widocznie usłyszeli, przystanęli i zdejmując czapki z głowy, dziękowali.

Uradowane dziéwcze, pełne wesołości, powiéwało chusteczką, siewacze odpowiadali jéj czapkami.

— Pewno sobie myślą, że to jaka kuma, przyjacielstwo, ciekawi okrutnie.

Pociąg tymczasem minął polanę i znowu zanurzył się w las.

Po chwili lokomotywa przeraźliwie zaczęła świstać. Dziewczę gorączkowo odchylając przykrywkę koszyka, zaczęło przeglądać swoje rzeczy. Chustkę popielatą w zielone kwiaty, spódnicę nową, kaftanik, dwie koszule, pończochy, chusteczkę i pierniki, prezenta dla matusi i wiejskich dzieci.

Przekonawszy się, że wszystko jest na swojém miejscu, poprawiła chusteczkę na głowie, pochwyciła koszyk, czekając niecierpliwie. Lokomotywa jeszcze raz świsnęła, pociąg wjechał w ogrodzenie, należące do stacyi, mijając szeregi wagonów i żółte budynki.

Dziewczę do połowy wychyliło się przez otwarte okno.

Hamownik stał na stopniach wagonu.

— Pewno kochanek czeka, bo widzę, że panienka radaby ze skóry wyskoczyć.

— Dwóch — zawołała — otwiérajcie.

— A rozkaz? Będzie wszystko na czas, sprzykrzy się i kochanek.

— Wam same rozkazy i głupstwa w głowie.

Budynek o szwajcarskiéj werendzie, wypełniony ciemną masą ludzi, wyłonił się z po za drzew.

— Słotwina — zawołał konduktor — dwie minuty. Kto do Słotwiny?

— Ja, ja — wołała, nie mogąc z niecierpliwości i strachu, tchu w piersiach złapać. Zaczęła bić z całéj siły ręką o framugę okna.

— Zaraz, zaraz — mówił wolno hamownik — nie uciekną.

— Właśnie, że uciekną.

— I jarmark nie ucieknie. A jeżeli ich dwóch, to będą mieli jeszcze dość czasu pobić się i pogodzić.

Otworzył, dziewczyna wyskoczyła. Mało co nie upadła, hamownik ją podtrzymał.

Biegła żywo, prześcigając żydów i mieszczan.

Odbiérający bilety był jéj znajomy.

— Dzień dobry.

— Panna Marysia wraca do nas.

— Nie na długo. Cóż jarmark duży.

— A Bóg tam wié. Człek na uwięzi, jak pies na łańcuchu.

Dziewczyna nie słuchała więcéj, przebiegła przez sień, stanęła we drzwiach, spojrzała dokoła oryentując się jak sarna, zanim skok stanowczy zrobi.

Wielką drogą pomykali obładowani towarami ludzie ze Szczurowy i Rysia.

Pobiegła za nimi.

— Jarmark musi być walny, kiedy aż Rysiowianie ze statkami ciągną. — Paliło ją pod stopami, rada była dobiedz jak najprędzéj, w jednéj chwili, w jednėm mgnieniu oka.

Słońce walcząc z białemi zwojami chmur i wiosenną mgłą, pokonywało je powoli. Wypływając na szafiry nieba, zaczęło grzać rozkosznie. Trawa stała się zieleńszą, pęczki drzew obok drogi zdawało się, że w oczach pękają. Ludzkie twarze rumieniły się radością, zdobiły uśmiechem.

Wiosna oczarowała świat cały.

Zaprzęgnięty wózek w jednego konia, wracał pusty ze stacyi do miasta. Konik szedł truchcika, chłopak siedzący na koźle rozglądał się wśród ludzi.

— Maryś, to ty?

Dziewczyna stanęła.

— Kubuś — zawołała radośnie.

Chłopak zatrzymał konia.

— To chyba już nie Maryś, ale panna Marysia.

— Żadna panna, mów mi jak dawniéj. Ja cię także nie będę nazywać panem, chociaż masz bluzkę na grzbiecie, a kapelusz na głowie.

— Prawda — zawołał chłopak i rozśmiał się.

— Duży jarmark? — spytała.

— Siarczysty, takiego nie pamiętam.

Dziewczynę niecierpliwość rzuciła naprzód.

— Maryś siadaj, podwiozę cię do pierwszych domów.

Dziewcze wskoczyło na wózek.

— Jedź, jedź: matki nie widziałam cały rok. Czy ino są na jarmarku?

— Coby nie byli. Cały świat dziś na jarmarku.

— Tak mnie pali, że mało ze skóry nie wyskoczę.

Chłopak się zaśmiał.

— Nie dziwota, Kraków mieścisko wielgie, pono ani początku ani końca.

— Wielgie — powtórzyła — pola nie ujrzysz

— I jakże tam ludziska mogą wyżyć?

— Muszą i basta. Cóż tam w Okocimie, żyją, zdrowi?

— A coby im brakowało. Wojtek Bodura z Kaśką Kasprzycką dał na zapowiedzi.

— Ja to pierwsza przepowiedziałam.

— Coby nie.

— A Józek?

— Józek, pono na Marysię czeka.

— Gadaj głupi, gadaj.

Chłopak konia zatrzymał.

— Teraz Maryś wysiądź, bo jakby stary zobaczył, skląłby mnie okrutnie.

— Bóg ci zapłać, mój chłopaku, zobaczymy się przecie. Przyjdź do Lejby na piwo. A czy trzoda na tém samém miejscu stoi ?

— A gdzieżby się podziała?

Dziewczyna zniknęła w tłumie, chłopak krzycząc z drogi, wolno noga za nogą jechał.

— Nie sposób, żeby matusia przez zimę nie uchowała paru prosiaków. Musi z niemi tu być. Przeciskała się wśród gromady ludzi, do miejsca, gdzie trzoda stała.

Nie omyliła się. Na wzgórzu spostrzegła matusię, trzymającą na powrozie dwa wyciągnięte ze zmęczenia na piasku prosiaki.

W téj chwili dobijali targu o karmnika. Hałas był wielki, matusia zapatrzona, wsłuchiwała się.

— Ośmdziesiąt pięć i pięć szóstek, kobiéto, nie dam więcéj, żebym tu padł na miejscu. Bierzcie pókim dobry...—Rzeźnik chwycił za rękę gospodynię, wyprostował jéj dłoń i uderzył swoją dłonią silnie...

W téj chwili dziewczyna dopadła do matki, chwytając ją za rękę.

— Jezus Marya!

— Matusiu.

— Maryś.

— Dziecko, zkądże ty tu, jak, po co?

— Zkąd? z Krakowa. Jak? koleją. Po co? nawiedzić was, odpocząć se, nacieszyć się.

— A niechże cię!... Urosłaś, wyładniałaś, ciała ci przybyło o połowę. Bogu niech będą dzięki. Dobrześ zrobiła, żeś przyleciała; a służba?

— Państwo moje pojechało do Warszawy, a ja tu.

— A niechże cię!... Cieszę się okrutnie.

— A jak ja! Myślę se: dziś jarmark w Brzesku, matusia są z prosiakami—i lecę.

Zaczęły się całować.

— Cóż tam u was?

— Nic; chwała Bogu, nic nowego,—odpowiedziała matka.

— Tatuś?

— Na flisie, jak tylko lody puściły. Gruntu mało, trza radzić jak można.

— A we wsi?

— Różności, jak między ludźmi. Dopiero to będzie uciechy, jak cię zobaczą.

Dziewczyna się roześmiała z radości.

— Wiele dają za prosiaki?

— Nic jeszcze nie dają, moje dziecko; pies się o nie nie spytał.

— Dajcie no powrózek, może moja ręka będzie szczęśliwsza.

— A bierz go, bierz.

Dała jéj powrózek a odebrała koszyk.

Dziewcze szarpnęło nim, prosiaki odpowiedziały kwikiem i to ją ucieszyło i rozweseliło.

— Ludzie—zawołała—a chodźcie kupować moje prosiaki.

— Cicho,—szepnęła jéj matka,—pomyślą, że chcesz się ich pozbyć.

— Bo prawda, chcę,—odpowiedziała, i na krakowską modę zaczęła wołać:—Ludzie chodźcie patrzéć co za prosiaki, tłuste jak kluski.

Na wołania kupcy nie przyszli, lecz za to zbiegli się znajomi witać dziewczynę.

— Maryś! Maryś!?..

Co było radości. Dziewcze rozpływało się w uciesze.

Starsze gospodynie całowała w ręce, lecz za to młodsze dziewczęta, „dziopy“, ją całowały po rękach.

— Marysia wyszła ci już na miejską pannę, a jaka ci biała, krew z mlékiem. A jaką ma ci figurę, jakie pończochy ho—ho!

Matka topniała od radości.

Gromadka ludzi zbiła się koło nich, kupcy myśleli, że się dobijają o prosiaki.

— Wiele za nie?—spytał rosły w surducie mieszczanin.

— Dwanaście papierków, odpowiedziała.

Matka ją trąciła łokciem w bok, na znak, że przesadziła.

— Ośm.

— Żebyście tak zdrowi byli,—odparła. —Gospodarz daje dziesięć—wskazała na obok stojącego kuma matki.

— Bo prawda,—poświadczył.

— I ja dam dziesięć i dwie szóstek.

— Nawet pół jedynasta nie będzie.

— A wieleż?

— Jedenaście papierków, ostatnie słowo.

— Dziesięć i sześć szóstek, bo nie mam czasu. Mów panienka: tak albo nie.

— Bierzcie i to tylko dla was.

— Dla czegóż dla mnie?—spytał zalotnie.

— Boście młodzi i ładni.

Gromadka w śmiéch. Pogłaskany kupiec odpowiedział.

— Żeby nie panienka, tobym na prosiaki i nie popatrzał.

— Umié dziewczyna sprzedawać,—mówili ludzie. — Kobiéta nie dostałaby więcéj jak ośm.

Dziewczyna z dumą oddała matce pieniądze.

Wśród gwarliwych rozmów i igraszek gromadka zniknęła w otwartych wrotach zajezdnego domu.

— Panna z wielgiego miasta wróciła, to niech się teraz wkupi do wsiowych ludzi,—odezwał się jeden z mądrali, mrużąc na znak podejścia lewe oko.

— Hej proszę garniec piwa i szklanki tu,—odpowiedziała na przymówkę dziewczyna.

Postawiony na stole dzban piwa i sześć szklanek zrobiło głębokie wrażenie. Maryś nie żałowała, częstując kto się tylko ze znajomych nawinął.

Przywieziony prezent z Krakowa dla matki przez córkę zjednał jéj serca wszystkich.

Posadziła matkę na ławie, zdjęła jéj z głowy starą chustkę schowała ją do koszyka, a nową zawdziała, zawiązując po krakowsku.

Nawet sama karczmarka z za szynkwasu dziwowała się.

Tak przystrojoną wyprowadziła z zajazdu na boży świat.

Przechodziły przez rynek troszkę dumne.

Co która kumą zobaczyła kobiétę w nowéj chustce, chwaliła

i chustkę i córkę, co przecież nie zapomniała w wielgiém mieście o matce a chociaż się przeinaczyła na pannę, przyleciała i garnie się do ludzi i wsi.

Drogą obok wielkiego browaru, a późniéj zaraz ścieżkami szły wciąż pod górę. Dziewczyna, odzwyczajona od gór, stawała i odwracała się, chwytając w płuca powietrze.

Przed jéj oczami ciągnęła się panorama, obejmując płat ziemi aż po Wisłę. Z miasteczka dolatywał gwar podobny do roju pszczół. Za dworcem kolei ciągnęła się sino niebieskawa równina, podzielona ciemnemi pasami lasów. Wielka przestrzeń niedościgła okiem, nad jéj głową świergot skowronków, pod stopami zielona trawka, obok niéj brzozy ze złotemi listkami i wierzby, na miedzach stare grusze obsypane białym kwiatem, a w górze słońce grzejące rozkosznie...

— Chodź, chodź Maryś,—nalegała matka.

— Niechże się nacieszę tym bożym światem,—odparła wzruszona. W tym Krakowie same ino kamienice, mury i mury, kamienie, błoto—i ta garść drzew na plantach.

— Wiosna, moje dziecko, wszystko się raduje, ptastwo, wszelaka gadzina, drzewa i ludzie.

— I ja się raduję. Leciałabym sama nie wiem gdzie, serce mi drży, całowałabym, ściskała kogo niebądź—wszystkich...

— Ej ty zbytnico.

— Cały świat.

Dana, dana dana
Ziemio ty kochana!

Ha—ha—ha!...

Echo jéj odpowiedziało, kukułka zaczęła kukać, jaskółki nad jéj głową przelatywały, ciepły wietrzyk z południa chłodził jéj rozpaloną twarz... Rzuciła się do matki, ujęła ją w pół i podniosła.

— Zberezisz, zberezisz jak nasza cielisia.

— A bom to nie cielisia? Ona gdy wyrwie się ze stajni, a ja z tych wściekłych murów.

— Statkuj, bo ludzie idą,—zawołała matka oglądając się.

— Niech idą, będę z niemi igrać, zberezić, bawić się, śmiać, tańcowałabym na murawie w rosie całą noc.

Wymówiła „rosę“, przypomniała sobie jéj chłód przyjemny: dawniéj parzył z zimna jéj stopy. Usiadła na trawie, zdejmując gwałtownie trzewiki i pończochy.

Gromadka nadciągała, białe jéj nogi i białe łydki powabnie się rysowały na zielonym trawniku.

— Panna miejska i boso?—dziwowali się ludzie.

— A bom to nie gospodarska córka, — zawołała wesoło. — Moja matusia boso, mój tatuś boso, a ja mam w atłasach chodzić?

Zerwała się, białe nogi wyglądały ponętnie z po za krótkiéj spódniczki.

— A jak mi leciutko, przyjemnie, stąpam jak po dywanie. Ażeby muzyka zagrała, jakbym się puściła drobnego!...

Gospodarze i gospodynie w śmiéch. Niestety, nie było ani jednego parobka.

Od kościoła i szkoły droga słała się równo brzegiem wyniosłości. Po prawéj stronie ciągnęły się chaty, po lewéj zieleniejące pola i odsłonięty widok na cały świat.

Dziewczę spoważniało, patrząc na zamknięty kościół i szkołę. Wspomnienia młodości tłoczyły się do jéj mózgu i serca. Jedne spychały drugie, nie miała czasu ich porządkować w osobne obrazy.

Wieś była prawie pusta, wszystko co żyło na jarmarku.

— Jakoś smutno,—szepnęła dziewczyna do matki.

— Zaroi się tu wieczorem. Nie bój się, będziesz miéć dosyć wesołości.

Chata Biedroniów była usunięta nieco wgłąb, o jakie pół stajania od drogi. W ogródku rosło parę śliw, jedna jabłonka, a na środku dziedzińca grusza, cała w bieli jak panna na wesele.

— Matko Boska, jak tu pięknie, jak milusio,—zawołała dziewczyna, pomykając naprzód.

Dopadła do stajenki, otworzyła drzwi, wbiegła do środka.

— Maryś,—zawołała przestraszona matka... Lecz już było zapóźno. Półroczna cielisia wypadła i zaczęła biegać po podwórku jak szalona. Maryś za nią.

— I cóżeś zrobiła? bydlątko się jeszcze zapali i tyle będzie naszego.

Maryś się śmiała szczęśliwa.

— Matusiu, zastąpcie mu od wrotek. A teraz gnajcie ją na mnie...

Cielisia trzy razy raz po razu fiknęła tylnemi nogami i pędem z podniesionym ogonem w górę wleciała do stajni.

— Nie zbytnica to, taka jak ty?

— Bo i młoda taka jak ja.

— Karmię ci ją czém mogę. Od gęby sobie odejmuję, a w nią pcham.

— To tak samo jak mnie.

— I obie was kocham,—dodała kobieta.

— Jak własne, matusiu. Bo téż my obie matusine.

Nikogo w obejściu nie było. Chłopak poprowadził krowy na powrózku na paszę. Gospodyni pod progiem znalazła klucz, otworzyła drzwi, weszły do izby.

— Matusiu, rozpalmy ogień na kominie. Ognia na kominie nie widziałam jak rok długi.

— A przy czémżeś gotowała?

— Przy węglach pod blachą. Śmierdzą okrutnie, płomienia nie ujrzysz, a war od nich leci jak w piekle.

— Jak w piekle?

— Niezawodnie,—obejrzała się po izbie. Czysto u matusi, ubogo, ale jakoś przecie miło.

Matka przyniosła z zapiecka kilka drewek i ułożyła je na kominie. Maryś zaczęła podpalać, z początku dmuchać, potém fartuszkiem ogień rozniecać.

— Ogieniaszek złocisty, święty. A jak to furczy, pryska, iskry rzuca.

— Nacieszże się nim.

— Wszystkiém się cieszę. I takam kontenta, że żyję, że patrzę na ten boży świat i na tę wiosenkę naszą. A jeżeli umrę, matusiu, nie chowajcie mnie w Krakowie, tylko weźcie i tu między swemi zagrzebcie.

— Głupia; tobie o śmierci gadać, samo zdrowie. Głodnaś, to ci się zwiduje.

— A może z uciechy sama nie wiem co plotę.

— Wodybyś oto ze studni przyniosła. Klusek uwarzę.

— Lecę. Ho, ho, dawno już k u l (1) nie miałam na sobie. Matko Boska, ratujże mnie.

„Jechał Jasio konie poić
Zosia wodę brała“...

Rozlegało się po całém obejściu, odbijając echem w brzezince bielejącéj na wzgórzu.

— A teraz się matusiu umyję, uczeszę, przyoblekę, wystroję, abym pachniała młodością, zdrowiem i chłopców ciągnęła.

— Trzeba, przecie kto zajrzy, rówieśnice twoje. Po wsi się migiem rozleci, żeś wróciła.

Matka się nie omyliła. Wieczorem zaroiły się czerwone i niebieskie spódnice przed chatą.

— Maryś witaj, jak się masz, daj ci Boże szczęście, a jakeś to urosła, a jaka walna z niéj dziewucha...

Dużo było śmiéchu, a więcéj jeszcze wesołości i uciechy. Marysia każdą z rówieśnic pocałowała w usta i uściskała za rękę.

---

(1) K u l e—drewniane nosze do dźwigania w konewkach wody.

Zasiadły gdzie która mogła, na skrzynkach, ławie, i jedna przez drugą zaczęły opowiadać całoroczne dzieje wioski. Potém jedna drugą zaczęły prześladować parobkami, kłócić się i śmiać.

Maryś śmiała się najgłośniéj. Matka przyniosła na poczęstunek słodkiéj i kukiełkę kupioną na jarmarku, postawiła na stole.

Powoli, białe słońce zmieniając się w ognistą kulę, nurzało się na skłonie widnokręgu w fioletowéj pomroce, a z za gór wychodził srebrny miesiączek, jako wązki sierp. Gwiazdy mdławo, jedna po drugiéj, zaledwo migotały; w brzezinie słowik się odezwał. Dziewczęta wyległy z chaty na dziedziniec i ująwszy się za ręce, dwoma szeregami poszły drogą wsi ku kościołowi.

Gwar rozlegał się dokoła, przerywany wykrzyknikami wielkiéj ochoty. Gwary i wykrzykniki niosła rosa daleko.

Zwabieni śmiechem parobcy wychodzili z chat, stawali przy wrotkach, zbijali się w małe gromadki, nieznacznie a zgrabnie zaczepiając dziewczęta.

Odpowiedzi były wesołe i zabawne. Maryś réj wodziła. Żadnemu nie ustąpiła i żadnemu nie darowała.

— Józek, Józek,—przebiegł szmer w szeregach dziewcząt.

Na szarawém tle wieczoru ukazał się młody, zgrabny chłopak, jakby z bronzu odlany. Czarny meszek okrywał mu górną wargę, czarne oczy melancholijnie patrzały, a smagła twarz dziwnie i dobrze odbijała od białych twarzy rówienników i płowych ich włosów. Ubrany w granatowéj kurtce i niebieskich obcisłych spodniach, wyglądał jak malowany.

— Józek—powtarzano uroczyście.

Maryś przypomniała sobie żarty chłopaka który ją wiózł, buchnęły na nią ognie. Szczęściem, że żadna z dziewcząt ich nie dojrzała.

— Cóż wam tak Józek wlazł w głowy — spytała,—gdy już dobrze ochłodła.

— Walny chłopak, najładniejszy na okolicę, do wszystkiego sposobny a jaki przychlebny.

— Przylepka chłopak i już,—zawyrokowała krótko a stanowczo jedna z nich.

— I jaki,—przyświadczały.

Przylepka-chłopak nie zwracał uwagi na dziewczyny, i nie zajmował się niemi, siadł sobie na kołowrocie, wyjął drewnianą fujarkę z zanadrza i grać zaczął rzewnie i tęskno. Rosa niosła głos do brzezinki, a z brzezinki odrzucało go echem.

Dziewczęta postawały, słuchając zapatrzone w chłopaka. Muzyka rzewna, piskliwa, oddziaływała na ich nerwy tak silnie, że aż dreszcze przebiegały po ich ciałach. Chciały, aby przestał, a ruszyć się z miejsca nie mogły.

Maryś była dwa razy w teatrze krakowskim, widziała i słyszała, jak gdy muzyka przestała grać, to państwo i różny naród z wielkiéj uciechy klaskał w ręce. Namówiła dziewczęta, aby to samo zrobiły.

Wszystkie razem z podniesionemi do oklasków dłońmi słuchając, czekały.

Chłopak skończył.

Pierwsza Maryś, za nią wszystkie zaczęły bić w dłonie, śmiać się, uciekać.

Chłopak nie rozumiał znaczenia oklasków. Był pewny, że dziewczęta robią to ze swywoli, aby go ino zaczepiać. Nie zwracał na nie uwagi. Namyślał się coby zagrać, nową melodyą układał w głowie.

Dziewczęta przystanęły, zbiły się w gromadkę i naradzać zaczęły, szeptać i z cicha chichotać.

Rozstąpiły się, ze środka wyszła Maryś, szła wprost do chłopca, dziewczęta za nią.

— Józek, jak się masz,—odezwała się drżącym nieco głosem.

— Dobry wieczór,—odpowiedział Józek, uchylając kapelusza.

Dziewcze wyciągnęło do niego rękę.

— Nie poznajesz mnie.

— Maryś,—zawołał wesoło.—Jakże miałem poznać? przebrana za miejską pannę, a we wsi mówiono, że w Krakowie służy.

— Nie mogłam to wrócić?

— Na jarmarku nie byłem, zkądże miałem wiedziéć?

Dziewczęta otoczyły Marysię i Józka.

— Jakże ci się powodzi?..

— Chwalić Pana Boga, nieźle, — odpowiedział łagodnie, — a wam w wielgiém mieście?

— Nie mów mi „wy“, kiedy ja ci mówię „ty“.

— Kiéj nie śmiem. Panna z miasta...

— Takam jak inne. A że mam suknią, to wszystkie w Krakowie w sukniach chodzą.

— Zawsze,—dorzucił chłopak,—i taka ci biała, czyściutka aż pachnie, w kryzie i w stążce u warkocza.

— Nie przychlebny,—szepnęła jedna z dziewczyn Marysi.

— A to ci chłopak pochlebia,—zawołała Maryś.

— Ej co mam schlebiać, mówi się to, co się widzi.

— Zagraj skocznego, zatańczymy.

— Na piszczałce nie idzie.

— Spróbuj.

Spróbował, dziewczęta pochwytały się w pół, lecz chłopak przestał.

— Nie idzie,—rzekł. Poszedł kawałek daléj, siadł na urwisku naprzeciw widniejącéj zdala brzezinki i zaczął wygrywać rzewną melodyą, nasłuchując głosu lecącego po rosie.

— Chłopak jak malowanie i przychlebca,—oświadczyła Maryś. Rówieśnice jéj potakiwały.

Poszły daléj, chłopak grał tęskno i rzewnie. Rosa roznosiła granie po świecie, brzezinka odpowiadała, dziewczyny słuchały, idąc wolno, cicho po twardéj drodze.

Chłopak raptem urwał, dziewczyny jakby na komendę zawróciły, lecz chociaż przyspieszały kroku nie dopędziły chłopaka, zniknął w opłotkach wiodących do chaty.

Nadzieja zobaczenia raz jeszcze ładnego chłopca zawiodła, wesołość się wyczerpała, zmęczenie je opanowywało, sen zaczął mroczyć, odprowadziły Marysię do chaty i rozbiegły się po wsi.

Matka już spała. Miarowe oddychanie rozlegało się tajemniczo wśród ciszy. Dziewczyna zabrała z łóżka przeznaczoną dla niéj poduszkę, znalazła przy świetle księżyca płachtę, okryła się, położyła na stole i powtarzając w duchu:

— Wszyscy mi mówią, żem biała, i chłopak powiedział, chociaż przy księżycu trudno ujrzéć... Słyszał od drugich przychlebca... Usnęła.

Spała twardo, jak sypia zmęczona młodość.

We śnie zdawało jéj się, że piszczałka rzewnie zawodzi. Zbudziła się, przatarła oczy, zaczęła nasłuchiwać. Odgłos piszczałki zbliżał się, akompaniowało mu stąpanie koni po twardéj drodze. Zsunęła się ze stołu na ziemię, zarzuciła chusteczkę na głowę, chustkę na ramiona, otworzyła okno—wyjrzała.

Józek szedł naprzód, za nim posuwała się para spętanych mierzynów.

— Jóżeś to wstał?—odezwała się wesoło dziewczyna.

Chłopak stanął, konie się również zatrzymały.

— Wielki czas, słonko tylko co nie wyjrzy z za gór. Konie trzeba paść i do roboty. Ale że Maryś już wstałaś?

— Zbudziłeś mnie graniem.

— To i dobrze, bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Rozśmieli się oboje.

— Bardzo zimna rosa,—spytała dziewczyna.

— Parzy,—odpowiedział.

W białéj spódnicy i koszuli, okryta popielatą chustką z zielone kwiaty, w chusteczce na głowie,—wybiegła.

— Jak rozpalone żelazo,—zawołała, stąpając bosemi nogami po murawie. Rosa pod jéj stopami szeleściała.

— Delikatne to nogi na taką rosę i na takie zimno.

— Jakie,—spytała udając, że nie dosłyszała.

— Pańskie, delikatne, bielusie, wychuchane w trzewikach.

— Przychlebco, gdzieżeś się to nauczył?

— Prawdę mówię: spojrzyj tylko sama.

Dziewczyna spojrzała i zarumieniła się.

— Zczerwienieją ci one niedługo. Józek będziesz dziś wieczór grał?

— Pogoda—dla czego nie?

Konie zniecierpliwione staniem wysunęły się naprzód. Chłopak pogonił za niemi.

— Do widzenia—wołała dziewczyna.

— Do widzenia — odpowiedział, obejrzał się i pobiegł naprzód.

Dziewczyna zapomniała o zimnéj rosie stojąc zapatrzona w zgrabnego chłopca.

— Przychlebca — zawołała, podniosła nogę, spojrzała. Była biała, wydelikacona, zaśmiała się wesoło.—Bo pewno,—szepnęła,—że żadna dziewczyna z całéj wsi nie ma takich nóg.

Chłopak znikł; tentent koni ustał, świergot ptaków podnosił się dokoła niéj gwałtownie i przeraźliwie. Podnóże wzgórza, a z niém wielką kotlinę wypełniła niebieskawa mgła, jak nieprzejrzane wzrokiem morze. Od wschodu, z po za szczytów gór, robiło się jasno i przezroczysto, gwiazdy jedna za drugą bladły i gasły. U wierzchołka jednéj z gór ukazał się różowy pasek, za nim wyjrzał złotawy promień, za chwilę cały snop rzucił się na ziemię i czerwono złote słońce wypłynęło. Od promieni jego mgła, jak gdyby wystraszona, zaczęła się kłębić, rozstępować, czołgać po ziemi i powoli znikać... Przed oczami dziewczyny ukazywały się zielone pola, budynki wielkiego browaru, wieże kościoła i czerwone dachy zabudowań kolei. Wszystko to wynurzało się jak z topieli, żyło—dzwonek z wieży kościoła zaczął dzwonić na Anioł-Pański.

Dziewczyna nie rozumiejąc piękności, patrzała oniemiała i onieśmielona.

— Matko Boska, szeptała w zachwycie, jakie ci to dziwne i jakie cudowne.

— Z zimna zaczęła zębami dzwonić, nogi jéj zdrętwiały, jak kłody, uciekła do izby.

Matka już wstała, Maryś wsunęła się do jéj łóżka pod pierzynę i twardo zasnęła.

— Dziecko ja idę,—usłyszała głos matki nad sobą.

— A gdzie?—zerwała się, siadając na łóżku.

— Do Matusa sadzić ziemniaki na odrobek. Zorał nam łońskiego roku pod żyto.

— A ja, samabym miała zostać?

— Odwykłaś od chłopskiéj roboty.

— Zobaczymy, tylko dajcie co zjeść. Głodnam jak młody wilk. I ja się przecie muszę nacieszyć rolą, ludźmi, całym światem, nim się w tych murach zagrzebię.

Umyła się, w warkocze wplotła szkarłatne wstążki, włożyla biały kaftanik obszyty kryzą, spódnicę żółtawą w różowawe kwiaty, i boso, pochwyciwszy motykę i koszyk, stanęła przed matką.

— Cóż się tak wystroiłaś jak do kościoła?

— Do pracy jak do modlitwy, matusiu. A nuż się jakiemu chłopcu spodobam?...

— Ej te łajdaki patrzą ino na grosz. Tyś biédna.

— Niech ino się któremu „pod ziobra“ wpakuję, to już mnie i pazurami nie wydrze.

— Ty, ty zbytnico, to i probuj;—pogłaskała ją po twarzy, pociągnęła ku sobie i pocałowała.

Wyszły, słońce mknęło w górę, południowy wietrzyk łagodnie szemrał wśród gałązek brzóz i wierzb rosnących przy drodze.

Nie uszły dwóch stai, gdy Józek z końmi do zagrody wracał. Spojrzał na dziewczynę i oczu nie mógł oderwać. Biały obszyty kryzą kaftanik, białe bose nogi i żółta spódnica podziałały na chłopca.

Dziewczyna przechodząc, pozdrowiła go i z po za jasnéj chusteczki okrywającéj jéj głowę, tak spojrzała na chłopca, że aż ognie oblały mu twarz.

Nie zatrzymując się, poszła daléj. Chłopak patrzał chwilę za nią, śmignął batem i odjechał.

— A toś dopiero modre swe ślépki w niego wlepiła.

— Po krakowsku—odpowiedziała tryumfująco.

— A jemu, mało co na wierzch nie wyłaziły.

— Widziałam.

— Żebyś tego zmogła, byłabyś se panią.

— Jak Bóg da, matusiu. O państwie nie myślę, ale chłopak jak malowany.

— Ciężko... Przychlebia się każdéj, za każdą ślépiami wodzi, a o żadnéj nie myśli.

— Bo jeszcze na swoję nie natrafił.

Dziewczęta na drodze czekały na Marysię. Oglądały jej kaftanik, dziwowały kryzie. Wszystko co żyło, biegło do Matusa. Ma-

tus bogacz, ma cztéry konie, ludziom orze i sieje, to i samemi odrobkami opędza się jak rok długi.

Wozy z ziemniakami czekały. Na polu zaroiło się od ludzi.

— Cóżto miejskie panny przychodzą na robotę—odezwał się gospodarz, patrząc na Marysię.—Może w rękawiczkach?!..

— A niechby—zawołała dziewczyna wesoło, — byleby tylko robota szła. Niech ja będę miejska, ale jeżeli mnie tu która wsiowa prześcignie, dam kwartę słodkiéj.

— Słyszycie dziewuchy—zawołał Matus.

— A jak nie—dodała Maryś,—to wy postawicie kwartę.

— Postawię, jak do południa zasadzimy ziemniaki.

— Chodźby do wieczora!

— Niech będzie.

— Dziewczęta héj do roboty,—komenderowała Maryś.—Jedne będą rzędy robić, drugie sadzić, a trzecie nosić ziemniaki. Kasia, Jaguś, Helka, Hanka marsz za mną do rzędów. Gospodynie niech sadzą. U nas tak po krakowsku: kiedy robota, to aż się w niebie śmieją.

— Maryś, toś ty może gdzie pod Krakowem za polowego służyła—spytał Matus, a odwracając się do gospodyń dodał.—Życie kipi w téj dziewczynie.

Pochwała bogacza Matusa dużo znaczyła. Matka Marysi rosła w dumie i uznaniu gospodyń.

— Szkoda, że mam wydanego syna—dodał ciszéj, gdy dziewczyny robiące rzędy posunęły się naprzód.

— Nie drwilibyście se—odparła, udając zagniewaną matka.

— Jak mi Bóg miły, nie drwinkuję. Taka dziewczyna rozraduje ojca, matkę, chłopa, służbę, całe obejście, robota pali się jéj w rękach, szczęście przynosi, gdzie się ino ruszy. A moja synowa siedzi kiéj ten mruk, n i e k o n t e n t a ze wszystkiego choćbyś ją miodem smarował.

Posypały się żale na mruków, co to ani do Boga, ani do ludzi, a dziewczęta na zagonach mknąc naprzód, śpiewały, jak te ptaki, jedna przed drugą.

Na południe przyniesiono misy, na jednéj tarte ziemniaki ze słoniną, na drugiéj maślankę i pszenne kluski.

Bogacz nie żałował. Dobrze żywił swą czeladź i robotników. Miał z czego, to też przy jadle dobry humor tryskał wesołością.

Nigdy Marysi obiad tak nie smakował, chociaż w Krakowie z pańskiego stołu jadała.

Po obiedzie rozciągnęła się na murawie, matka głowę jéj od słońca chusteczką zasłoniła, dziewczęta układły się obok niéj. Mło-

dość i zmęczenie objęły je twardym snem. Starsze kobiety gwarzyły z Matusem o gospodarstwie i domowych kłopotach.

Maryś wygrała zakład, nie dała się żadnéj wyprzedzić, ziemniaki przed samym wieczorem zasadzone. Matus posłał po słodką.

Skrzepiła ich. Marysię nieprzyzwyczajoną do ciężkiéj pracy okrutnie rozbierało. Gospodarz podziękował jéj za przodownictwo i komenderówkę.

Dziewczyny gromadą wśród wrzawy i śpiewów ruszyły naprzód, za niemi gospodynie. Motyki niosły, jak broń na ramionach, uderzając żelazem jedne o drugie, śmiały się cuda wyprawiając. Maryś pierwsza na czele hulała bez upamiętania.

Późno wieczorem z po za gór wypłynął blady miesiączek, rzucając na świat czary, rozwieszał na dolinach srebne mgły. Od brzezinki zawodził słowik, a od kościoła szły niewyraźne, rozpływające się na rosie tory piszczałki.

W otwartém oknie siedziała Maryś. Na drodze ukazały się cienie dwóch dziewczyn, przyzywając Marysię do siebie.

Uradowana przybiegła do nich.

— Józek gra—chodźmy!

— Pomyśli jeszcze sobie, że do niego léziemy, że go zaczepiamy.

— Tylko przelecimy,—prosiły się dziewczęta.

— I nie zatrzymamy się.

— Chyba, żeby nam drogę zastąpił.

— Nie zastąpi—oswiadczyła stanowczo Maryś.

— To chodźmy. Ujęły się za ręce i pobiegły, kąpiąc się w srebrném świetle księżyca.

Na wrotkach obejścia swego, oparłszy nogi o szeroki przełaz siedział Józek, wygrywając różności na drewnianéj piszczałce. Dziewczęta przesunęły się obok niego, jak cienie.

— Dobry wieczór — odezwał się, odejmując piszczałkę od ust.

Przeleciały i gdyby nie to, że ziemia pod ich stopami zcicha jęczała, możnaby je było wziąść za duchy.

Józek daléj wygrywał i czekał.

— Może wrócą?.. Wczoraj mnie sama zaczépiła, świtaniem wyszła z izby, teraz ucieka,—myślał o Marysi. Wesoły śmiech dziewczyny, białe jéj zęby, spojrzenie wyzywające, delikatne nogi i opięty kaftanik z kryzą wryły mu się w pamięć. Czekał, zawodził na piszczałce, nie wracały...

Kury odpiały północek—nie wracały.

Dziewczyny dopadły do kościoła, przebiegając napowrót dróżyną po za stodołami. Patrzały na chłopca, widziały jak się oglądał i śmiały się pocichu.

Nazajutrz była niedziela. Maryś w białych jak mleko pończochach, w trzewikach krakowskich o wysokich obcasach, perkalowéj, jasnéj, wyprasowanéj sukience i białéj w złote kwiaty wełnianéj chusteczce na głowie, poszła do kościoła.

Na cmentarzu stali gromadkami gospodarze, parobcy i gospodynie. Dziewczęta wybiegły do wystrojonéj dziewczyny, biorąc ją między siebie. Zaledwo mogła się obejrzéć, spojrzéć ogniście na Józka, uśmiechnąć się do niego i powitać zalotném kiwnięciem głowy.

Chłopak spłonął, jak czerwone wyłogi jego sukmanki, i skłonił się kapeluszem.

Uderzono we dzwony, drzwi kościoła rozwarły się na ścieżaj, gromada po starszeństwie wchodziła; na czele dziewczyn Marysia. Gdy stanęła na wysokim progu obejrzała się szybko, rzuciła wzrokiem na Józka raz jeszcze i już spokojna, pewna siebie, modliła się na książce, klęcząc w gronie rówieśniczek.

Wznosiła oczy ku wielkiemu ołtarzowi, pierwsza na widok kielicha podniesionego w górę, korzyła się, wzdychała głośno i głową dotykała kamiennéj posadzki. W mieście tego nie robiła, lecz w swoim własnym kościele, z rozkoszą przypomniała sobie niedawną przeszłość. Chciała również przekonać ludzi, że chociaż wyszła na pannę z miasta, nie zhardziała wobec Pana Boga.

Po nabożeństwie, gdy cała parafia zgromadziła się przed kościołem, Maryś zaczęła się żegnać. Gospodynie całowała w ręce. Gospodarzom się pokłoniła, do parobków wyszczerzyła białe zęby, z po za wiśniowych warg.

Gdy się zbliżyła do rówieśnic.

— Odprowadzimy cię,—zawołały.

— Dziewczęta, alež ja w nocy jadę,—ostrzegała.

— Choćby po północku—odpowiedziały,—pójdziemy z tobą.

— I cóż tak prędko?—zagadnął ją Matus.

— Państwo jutro o dziesiątéj wracają. Trzeba pokoje posprzątać, kawę ugotować, na obiad zastawić, roboty huk aż głowa pęka. Cztery pokoje wyfroterować, wody i węgla przynieść na drugie piętro, po mięso skoczyć.

Gospodynie pełne podziwu—szeptały między sobą.

— Jedna dziewczyna tyle ma na głowie?!..

— Walna i już!...—zdecydowały.

— Maryś, myślałem, że zostaniesz do okopania ziemniaków?—przemówił znów Matus.

Maryś się zaśmiała na samę myśl tak wielkiego niepodobieństwa.

— No to przynajmniéj wracaj na żniwa, będziesz u mnie przodownicą. Sprawię wieńczyny, wyhulasz się.

Dziewczyna nie wiedziała co powiedziéć. Odpowiedzi szukała oczyma dokoła i nie znalazła. Józek z parobkami wyszedł na gościniec przyglądać się dworskim koniom.

Przez resztę dnia Maryś była czegoś markotna. Chodziła jak senna. Przed wieczorem pobiegła do brzezinki narwać przylaszczków i stokrotek na drogę.

Po powrocie do domu siadła na ławie, układając bukiet do samego wieczora.

— A gadajże co, nalegała matka...

— Cóż, kiedy jestem jakaś półgłupia i sama już nie wiem jaka. Skołowaciałam na piękne...

Po zejściu księżyca przyszły rówieśnice a z niemi i kilku parobków. Zrobiło się w izbie gwarno i wesoło. Maryś odzyskała przytomność; układała gorączkowo rzeczy do koszyka, bukiet, garnuszek masła, placek świąteczny i garstkę orzechów — podarunki przyjaciołek.

— Chodźmy, chodźmy—nalegała,—drogi kawał i Bóg wié co się może przytrafić, a przysięgłam pani, że wrócę.

— Chodźmy.

Wysypało się z izby co żyło, drzwi matka zamknęła na kłódkę.

Otoczona dziewczętami szła Maryś, za niemi parobcy, śmiejąc się i żartując głośno. Przyłączyło się z drogi jeszcze kilku a z nimi Józek, Maryś nie dostrzegła w gromadzie chłopca, a oglądać się jéj i dopytywać nie wypadało.

Szli żywo na dół wijącą się drogą wśród zasianych zbóż. W dolinie świeciły złotawe światełka, a daléj obok dworca kolei niebieskie i zielone gwiazdy, rzucały dziwnie tajemnicze blaski.

Parobcy baraszkowali, dziewczyny się śmiały, Maryś zgnębiona szła naprzód, jak gdyby uciec chciała. Czasami coś ją chwytało za piersi, tamowało oddech, żal wypełniał serce, przystawała. Nie skarżyła się, lecz była czegoś zła na siebie, dziewczętom zazdrościła wesołości.

Przeszli przez puste miasteczko. Odgłos ich kroków odbijał się od ścian domów. Nie śmieli mówić głośno i śmiać się, pustka ulic, oblanych światłem księżyca, smutno ich usposobiła.

Na dworcu kolejowym zastali ruch, kasę otwartą, dzwonki grały, żydzi szwargotali zawzięcie, gromadka ludzi czekała na boku, gotowa do wsiadania.

Zaledwo Maryś kupiła bilet, głos dzwonka przeraził zgromadzonych. Wszystko co żyło, ruszyło ku nadjeżdżającemu pociągowi. Za nimi Maryś.

Maszyna z dwoma ognistemi ślepiami leciała naprzód, sycząc, buchając dymem i parą.

Dziewczę zaczęło się żegnać z matką i rówieśnicami. Zwróciło się do parobków. Z boku stał Józek.

— To i ty jesteś—zawołała wesoło—i nie odezwałeś się.

— Taki to mruk—odparł jeden z nich.

Józek się zbliżył, ujął rękę dziewczyny i poniósł do ust.

— Jedźcie z Bogiem.

— Dziękuję — szepnęła Maryś cicho, choć jéj serce skakało z radości.

Pocałunek ten zrobił na gromadce wrażenie.

— Wsiadać—zawołał konduktor.

— Wracajże do nas—mówiły dziewuchy. Józek potakująco wstrząsnął głową.

Usiadła—zatrzaśnięto za nią drzwi wagonu. Dziewczyna stanęła w oknie.

— A napiszże, moja dziopo,—prosiła się matka.

— Kiedy nie umiem.

— A mało to umié ludzi w Krakowie?

— Gotów!!

Pociąg się szarpnął, łańcuchy zabrzęczały i wolno zaczął się poruszać.

Parobcy krzyknęli: hurra!—dziewczęta cienko zawołały.

— Wracaj Maryś, kiéj tylko będziesz módz...

Józek żegnał dziewczynę kapeluszem.

Pociąg minął zielone latarnie, niknąc w ciemnym lesie.

Dreszcz przeszedł dziewczynę, sama w pustym wagonie w nocy, czuła się opuszczoną, sierotą. Serce jéj się rwało do matusi, rówieśnic, wioski, gospodarstwa. Wiosna mimowiednie ciągnęła ją swemi urokami.

Józek przyszedł za nią do saméj Słotwiny, pocałował ją w rękę. Czuła do téj chwili dotknięcie jego ust. Kłaniał się, patrzał w nią jak w obraz. Chłopak śliczny, spokojny, delikatny, jedynak, ośm morgów po matusi, para koni, dobytek... A czarne ślepka, a białe zęby i zgrabność wiele warte?.. Tego i nie zliczyć! A zazdrość ludzka, przecież i ta coś znaczy.

— Chłopak jak każdy, szczerzy zęby, i już—pomyślała—a ty biédna dziewczyna, służąca za cztery papierki na miesiąc i na starość morga gruntu. Na wspomnienie służby niemy żal spadł jéj kamieniem na serce. Zamrużyła oczy, Józek stał przed nią, całował ją w rękę, mówił jéj „panno“, kłaniał się kapeluszem i za drugimi powtarzał:—„wracaj“!...

Przeciągły świst zatrząsł nią, zerwała się na równe nogi, pochwyciła koszyk, była pewna, że wraca, otworzyła okno...

— Bochnia!

Zimno przeszło ją po kościach. Bochnia, tuż za nią Kraków... Świtało, z gór wyciągały jedna za drugą chmury, wiatr chłodny przeciągał. Ludzie i świat cały wyglądał jak zaspany. Mgła poszła w górę, ziemia wyglądała smutno i pusto, łąki ciemne, żywéj na nich duszy, ani jednego bydlęcia... Inne tu było życie, gdy do swoich jechała. Natura harmonizowała ze stanem jéj duszy. Objęła rękami głowę, ściskając ją z całych sił.

— Niech będzie co chce — powtarzała — trzeba robić, tu czy tam, wszystko jedno. Praca ta sama.

Rozumowaniem tém starała się zagłuszyć żal i tęsknotę gwałtem cisnącą się do jéj serca.

W Krakowie oprzytomniała. Pochwyciła koszyk, wyskoczyła z wagonu. W sieni przy oddaniu biletów zobaczyła tego samego stróża bezpieczeństwa. Zasalutował i wyciągnął do niéj rękę na przywitanie, uścisnęli się.

— Zdrowo panienka wraca?

— A coby mi brakowało — odpowiedziała wesoło.

— Jakże na imię.

— Maryanna.

— A gdzie mieszka?

— Daleko na końcu miasta.

— Zaszedłbym, choćby na koniec świata.

— Taki pan mocny? Pani zakazała przyjmować kawalerów.

— Więc gdzież?

— Co niedzielę po nieszporach w Sukiennicach spaceruję.

— Zobaczymy się.

— Do widzenia.

Zdobycie odrazu kawalera i jeszcze policyanta, co może wyjść na woźnego, naprawiło humor dziewczynie. Biegła do domu ożywiona. W kamienicy obleciała wszystkie kuchnie, witając się z koleżankami.

Dużo było opowiadań, dużo śmiéchu i wrzawy.

Maryś z lekka napomknęła o Józku, lecz miejskie panny wyśmiały wiejskiego chłopaka, gapia i niezdarę. Choćby miał wąsiki jak jedwab, usta jak wiśnie, a oczy jak węgiel, to zawsze będzie chłopem, i cóż z tego?

Maryś była również chłopką i nie miała się za nic gorszego od córek praczek, stróżów, straganiarek, a nawet woźnych. Nie odzywała się jednak, nie chcąc zbyt energicznie bronić Józka.

Otworzyła okna mieszkania swych państwa, podłogi wyfroterowała, meble wytrzepała, kurze starła, rozpaliła pod blachą, nastawiła wody na rosół i czekała. Jakoś jéj ciasno było w małéj kuchence, na małym, zamkniętym murami dziedzińcu. Brakło jéj powietrza do oddechu, a obszernego widnokręgu dla wzroku. Brakowało jéj słońca, swobody, żartów i śmiechów.

— Co tam teraz robią matka, rówieśnice, chłopcy, Józek?.... Uczuła dotknięcie ust jego na ręku.

Dzwonek u drzwi zadźwięczał. Zerwała się, otworzyła.

Weszła pani, pan poszedł prosto z kolei do biura.

Pani dobra, łagodna, serdecznie przywitała dziewczynę.

Wniesiono kufry. Maryś chcąc zabić nurtującą w niéj tęsknotę, rzuciła się gorączkowo do pracy.

Niespokojna i rozdrażniona, otwierała co rano okno, wybiegała na ulicę. Lecz cóż, z okna widziała ścianę sąsiedniego domu, na ulicy rzędy kamienic, zaledwie w górze kawałek niebieskiego nieba.

— Matko Boska — szeptała; ze złości i rozpaczy chwytała się za włosy i zatargała z całych sił. Ból ją uspokajał, przyprowadzając do równowagi. Wracała do kuchni i chociaż słyszała na dziedzińcu i w bramie śmiechy koleżanek z kamienicy, nie wybiegała jak dawniej i nie dokazywała z niemi jak dawniéj.

Przyszła niedziela. Po południu wystrojona świątecznie pobiegła do kościoła, a po nieszporach jak zawsze do Sukiennic.

Wielka hala o ciemno szarawym tonie, roiła się służącemi i reprezentantami armii niższych stopni, trzech broni. Najobfitszego kontyngensu dostarczyła piechota i chociaż nie dawała tonu, przeważała liczbą.

Gwar ożywionych rozmów, salutujący znajomi wojskowi, powitania przyjaciółek, koncepta ich kochanków, odurzyły i rozweseliły dziewczynę. Śmiała się i bawiła z drugiemi. Wesołość wypełniła halę.

Za chwilę zjawił się pan freiter o jednéj gwiazdce. A pan freiter znaczy tyle co pół kaprala. Żołnierze salutowali przed nim. On się im skłonił niedbale, zasalutował przed Marysią i wyciągnął do niéj na powitanie rękę.

— Serwus — rzekł tonem protekcyonalno poufałym.

— Serwus — odpowiedziała Maryś, wyciągając również do uścisku rękę.

— Cóż tak panna Maryanna wysiedziała się na téj sakramenckiéj wsi? Myślałem, że mnie szlak trafi ze złości. Na egzecyrce

szymfowałem na gemainów okrutnie, a wszystko bez pannę Maryannę.

— Przepraszam pana freitra — odpowiedziała Marysia—ale ja nie chcę, żeby pan freiter szymfował na moją wieś od sakramenckich.

Pan freiter się zaśmiał,

— A może panna Maryanna zadurzyła się w jakim mudziu. Dałbym ja mu przy befelu.

Na Marysię buchnęły ognie.

— W mojéj wsi — odpowiedziała ostro — niema mudziów.

— To pewno sakramenckie potwory.

— Ładniejsi od pana freitra.

Pan freiter uczuł się upokorzonym w swéj urodzie, a jeszcze więcéj w swéj godności, lecz zmiarkował, że ładnéj dziewczyny drażnić nie należy.

— Ja tak żartował — odezwał się łagodniejszym tonem—tylko panna Maryanna wróciła zła i gniéwa się o byle jaki szpas. Chodźmy na przeprosiny na Mały Rynek do Berberowskiego. Szklaneczka herbaty posmakuje pannie Maryannie.

Marysia dała się uprosić, lecz idąc oglądała się, czy nie zobaczy „policyana“, a to dla tego, że freiter w przekonaniu „panien“ krakowskich, nie umywał się do „policyana“, który po wysłużeniu lat, może woźnym zostać.

— Gdybym go zobaczyła -- myślała oglądając się — pokazałabym ci freitrze, co to mojego Józka nazywać mudziem i sakramencką potworą.

Policyanta nie było i Maryś rada nie rada, musiała iść z freitrem do Berberowskiego na herbatę.

W trzech sklepionych, odymionych izbach, na ławach za stołami, obitemi szarą blachą, siedzieli żołnierze ze służącemi, wyrobnicy świątecznie przybrani z żonami, terminatorzy, lokaje bez służby... Towarzystwo rozweselało się herbatą z arakiem, paleniem cygar i papierosów, a przedewszystkiem wesołą rozmową. Starsi panowie osieroceni z towarzystwa dam, drzémali po kątach.

Wszedł pan freiter z Marysią. Żołnierze powstali jak na komendę i salutowali. Freiter rad był z tego zaszczytu wobec dziewczyny.

— Niech tu przyjdzie stu cywilów, choćby to byli grafy, czy się który z żołnierzy ruszy -- szepnął do Marysi.

Dziewczyna skinieniem głowy poświadczyła, lecz nie powiedziała ani słowa. Dawniéj połowę honorów odbieranych przez pana freitra przyjęłaby na swoje barki, dziś była na wszystko obo-

jętną. Herbatę piła jakby z musu, na koncepta pana freitra odpowiadała pół-uśmiechem. Myśli jéj błąkały się po wiosce rodzinnéj, plątały między kościołem a Brzezinką, zawadzając o chatę Józka.

— Pannę Maryannę coś ukąsiło — zawołał freiter gniewnie.

Siedzący niedaleko żołnierze i ich przyjaciółki, uznali za konieczne śmiać się głośno z konceptu pana freitra.

Dziewczyna nie znosiła szyderstwa, zbladła, przymrużyła oczy i zapytała spokojnie:

— Bez co miało mnie coś kąsać?

— Bez to — odparł pan freiter — że dawniéj pannę Maryannę słychać było w całéj kawiarni. Śmiała się, szpasowała, brykała jak to ciele urwane z powrozu.

Tu sam pan freiter się zaśmiał, żołnierze z przyjaciółkami zawtórowali mu basem.

Marysia zacisnęła zęby z gniewu i oburzenia, lecz milczała ponuro.

Pan freiter pociągnął parę łyków herbaty, popatrzał na dziewczynę, zatrząsł nią lekko i zawołał.

— I długo jeszcze panna Maryanna będzie siedzieć zaspana, jak gęś na jajach.

Z tego dowcipu pana freitra, towarzystwo w połowie całéj sali zaśmiało się tak serdecznie i głośno, że dziewczyna zerwała się, jak gdyby naprawdę ukąszona.

— Szukajże sobie nie gęsi, nie cielęcia i nie ukąszonéj— krzyknęła.—Za herbatę sześć centów proszę — zawołała na usługującego chłopaka, zapłaciła i nie oglądając się wyszła.

Pan freiter został upokorzony wobec żołnierzy. Kochanka „publicznie“ go porzuciła, traktowała przez ty i zapłaciła za swoję herbatę.

— Gdyby nie to, że jestem freitrem i że niedziela, tobym cię tak sprał.

— Bo prawda panie freiter — przyświadczyli żołnierze, — ona niczego więcéj nie warta.

Dziewczyna wybiegła na rynek, z rynku na planty i tam dopiéro odetchnęła.

— Tu-tu, mam tego dobrego— biła się palcem po szyi. — Freitry, kaprale, żołnierze, kamienice, żydzi, cały Kraków.— Szła prędko, płomienie występowały na jéj twarz.—Dureń—zawołała—że ci przylepili po gwiazdce, to już byś chciał ludźmi poniewierać? Poniewiéraj swoimi żołnierzami. Mudzio ten myśli, że je wielgi pan, a przed miesiącem był taki gemain jak inni. Czekaj, ja ci pokażę, ja cię nauczę. — Trzęsła się z gniewu i oburzenia.

Z plant skręciła na ulicę Dytla. Biegła nią, chcąc się wydostać za miasto, w pola, na wielką przestrzeń, zieloność. Ciekawa była o ile zboża podrosły, jak ptaki świergocą, drzewa kwitną.

Spojrzała przed siebie. Po nad domami wysoko wznosił się zielony wał po którym mknął pociąg. Zazdrościła gromadce ludzi, wyglądających z okien wagonu, czuła się jak w więzieniu zamknięta.

Biegła coraz prędzéj, aby przecie raz wydobyć się z tych murów na szeroki świat.

Dopadła do wielkiéj murowanéj bramy, przecinającéj zielony wał. Ucieszona szła żywo, pewna, że już się dostanie w obsiane pola. Rząd kamienic zastąpił jéj drogę. Zaklęła siarczyście i biegła daléj.

Dotarła nad brzeg Wisły, odetchnęła całą piersią, chłodny wiatr chłodził jéj rozpaloną twarz. Świeża wiosenna zieloność sprowadziła uśmiech zadowolenia na jéj usta. Spojrzała na lewo, przed nią stały czerwone mury rzezalni miejskiéj. Dosyć miała murów, zasłaniały jéj obszary. Biegła póki ich nie minęła, póki jéj wzrok, płynąc po zielonych falach zbóż, nie zatrzymał się na ciemno niebieskawéj ścianie lasów.

— Nareszcie—zawołała — te wściekłe kamienice poszły sobie precz odemnie. Ażebyście przepadły ze wszystkiemi freitrami, gemajnami i z Berberowskim. Żebym mogła, tobym was zburzyła, coby kamień na kamieniu nie został.

W nadrzecznéj wklęsłości drzémała wiklina. Wśród niéj wiła się tajemniczo ścieżka. Dziewczyna pociągnięta urokiem, zbiegła po niéj na dół, ginąc wśród lasu delikatnych żółtych pręcików i wąziutkich świeżych listków. U stóp wklęsłości płynęła rzeka, jęcząc falami i szumiąc smutno wiatrem. Dziewczę usiadło nad brzegiem i zamyśliła się o swéj doli. A raczéj nic nie myślała, tęskniąc za przeszłością, a rwąc się do nieznanéj przyszłości.

— Pocałował mnie, może dla moich białych nóg, kaftanika z kryzą i gładkiéj gęby...—zawołała zburzona. I znowu powoli kołysana jękiem rzeki i szumem wiatru, zapadła w stan rozkosznego odrętwienia.

Za wikliną i Krakowem zachodziło słońce, czerwieniąc wody rzeki i na przeciwległym brzegu stare grube topole i starsze od nich dęby. W wiklinie odezwały się słowiki, naprzód jeden, za nim drugi, dziesiąty—cała kapela. Zbudzona śpiewem dziewczyna oprzytomniała, zerwała się, patrząc na zarumienioną rzekę i gorejące po drugiéj stronie drzewa.

— Czas już wracać, okrutny czas — służba... Gdybym była w chacie u matki, przynajmniéj niedzielę miałabym swoją. A tu...— zaklęła.

— Przyrzekłam, że wrócę na szóstą, pewno juz ósma odbiła. Będzie piekło, mają być goście. Kto samowar nastawi, kto przyniesie co potrzeba... Będzie piekło; a niech sobie będzie, boję się, czy co? Służby w Krakowie nie zabraknie. A niech przepadną wszystkie, to się i tak nie ulęknę. Mimo to szła coraz prędzéj. Minęła wielką bramę, przecinającą wał kolei... w mieście płonęły zapalone lampy.

Nikogo nie widząc, cała czerwono-granatowa, wpadła do kamienicy w któréj służyła i po schodach do kuchni.

Na podłodze stał samowar, nad nim pochylony stróż dmuchał z całych sił. Sprowadzona służąca z drugiego piętra ustawiała filiżanki do herbaty. Przez uchylone drzwi wlatywały odgłosy wesołéj zabawy.

Weszła pani, spojrzała surowo na Marysię, dziewczyna obrażona odwróciła się.

— Najęłam stróża na twój koszt, Anusia z litości nademną pomaga mi.

Dziewczę nic nie wiedząc co ze sobą zrobić, zaczęła powoli zdejmować i składać chustkę

Pani zwróciła się do Anusi.

— Jak tylko samowar będzie gotów, proszę cię moje dziecko przynieś go do pokoju.

— Dziękuj Bogu, że się na tém skończyło — odezwała się Anusia.—Moja pani chybaby mnie zbiła.

— Bo prawda — poparł Anusię stróż — dziękować Bogu, pani dobra.

— Cóż to, nawet w niedzielę człowiek ma być niewolnikiem!

— Służba, wolność traci — rzekł stróż i tak mocno dmuchnął we wnętrze samowaru, że aż z boków jego buchnęła para. — Gotów—dodał uroczyście, nasadził czapkę na głowę i wyszedł.

— Nieś samowar, a ja za tobą filiżanki.

Maryś pochwyciła samowar, Anusia tacę z filiżankami.

Sprawa została załagodzoną, lecz usposobienie Marysi zmieniało się z każdym prawie dniem. Z wesołéj, uśmiechniętéj, chętnéj do pracy, zrobiła się opryskliwą, złą, roztargnioną.

Nie wychodziła prawie z kuchni, lecz téż w niéj nic nie robiła. Zamyślona, zapominała o wszystkiém i wszystko jéj leciało z rąk. Wytłukła połowę szklanek. Wobecności swéj pani odtrąciła uszko od filiżanki.

— Tego ci już nie przebaczę— zawołała oburzona pani — filiżankę musisz odkupić.

— Kiedy tak, to niech wiem za co — i filiżankę z całéj siły rzuciła o podłogę.

Skorupy rozprysły się na wszystkie strony.

— Pakuj rzeczy nędznico—krzyknęła pani. Poszła do pokoju, za chwilę wróciła, kładąc na stół srebrne guldeny.

— Oto twoje zasługi. Za filiżankę i sześć szklanek, odtrącam guldena, Żeby cię tu za pięć minut nie było.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Po odejściu pani zgarnęła pieniądze, cicho je licząc. Było dziewięć sztuk, zaważyły jéj w ręku, zaciężyły w kieszeni. Rzeczy schowała do kuferka, pierzynę związała prześcieradłem. Zarzuciła na siebie chusteczkę na głowę, chustkę na ramiona, wybiegła na miasto.

— Dziesięć sztuk srebra wystarczy i jeszcze piątkę do domu przywiozę. Bóg ją natchnął, że mnie wygnała, bo inaczéj zwaryowałabym w tych wściekłych murach.

Dziś wieczór wyjeżdżam, w nocy będę w Słotwinie, a świtaniem w domu. Drgnęła cała i podskoczyła z radości. Co zrobić teraz, gdzie się obrócić? Pobiegła na drugie piętro do Anusi.

— Stara mnie wygnała — szepnęła.

— Za co? — pytała wystraszona dziewczyna.

— Rozbiłam filiżankę u jéj nóg, na drobne kawałeczki.

— Ej ty waryacie, ciebie coś ukąsiło.

Maryś przypomniała sobie freitra.

— Nie mów mi o ukąszeniu, bo ucieknę od ciebie. Idź poproś pani, aby ci pozwoliła wyjść ze mną na półgodzinki. Polecimy na Sienną po stroje.

Anusia dostała pozwolenie. Radząc o ostatnim wypadku, szły żywo przez ulicę, zatrzymując się mimowiednie przed restauracyą pod „Nową pocztą“.

— Wstąpmy na kiełbaski i kufelek piwa — zapronowała Maryś.—Dziś prócz filiżanki herbaty nic w ustach nie miałam.

Anusia więcéj z ochoty na piwo i nadziei zobaczenia młodzieży, przyjęła zaproszenie.

— Wiész, twoja stara to anioł — rzekła, upijając piwo i strzelając oczyma na grającego w bilard młodego listonosza.

— Niezła, ale ci za to taka dumna, tak dmie, harda, gęby do człowieka nie otworzy, broniła się Maryś.

— Wolę taką, jak taką co od rana do nocy gęby nie zamknie, burmistrzuje i burmistrzuje.

— Niech będzie jaka chce, kontenta jestem, że mnie wygnała, i basta. Dziś jadę do matki na wieś, w pole na własny zagon. Wolę najcięższą robotę, jak piec się w kuchni, gdzie powietrza złapać nie można. Kończ piwo i lećmy.

Anusia wychylając kufel, raz jeszcze przeszyła wzrokiem listonosza, lecz napróżno. Wywnioskowała, że jest żonatym, wsunęła rękę pod ramię Marysi, i z wielką elegancyą opuściły salę jadalną.

Przyjaciółki minęły Mały Rynek, zagłębiając się w wązką, średniowieczną uliczkę Sienną. Maryś kupiła „ostrego", czarny w różowe kwiaty na gorset, moc wstążek do warkoczy, spódnicę wiejską i fartuszek biały.

— Cóż to, myślisz się przebrać?...

— Brzydka będzie ze mnie dziewucha? — Maryś ujęła się pod boki.

— *Fein* — odpowiedziała za Anusię poważnie żydówka.

— Koszula biała, czarny z różowém gorset, wstążki u warkoczy.

— *Fein* — powtórzyła żydówka.

— A ja ci powiem, Maryś, że ty jesteś głupia.

— A ja ci powiem, żeś ty głupia, rozumiesz.

— Ja się nie schłopię.

— Ale za to na starość zdziadziejesz.

— Zobaczymy — odparła urażona dziewczyna.

— Jeszcze ci gdzie na odpuście centa dam do miłosierdzia Pańskiego.

— Gdybym nawet była dziadówką, to do chamów ręki nie wyciągnę.

— Tylko do smyków i łajdaczek.

— Milcz — krzyknęła Anusia.

— Ty sama milcz, żołnierska kochanico.

— Mam świadka żydówkę; zobaczysz, ja cię nauczę, chłopska duszo.

— Ja nic nie słyszałam — wołała żydówka.

Anusia złorzecząc i odgrażając się, wyleciała ze sklepu.

Plac boju został przy Marysi.

— Chłopska duszo — powtarzała żydówka, przedrzeźniając Anusię. — A ja powiem panience, że teraz chłopom najlepiéj na świecie. A cóż to brakuje gospodyni na wsi? Pani w swojéj chałupie.

— Bo prawda — poświadczyła Maryś, sapiąc z gniewu.

— Dziewusze na wsi potrzebne korale, a jeszcze takiéj białéj jak panienka.

— Alboż mnie to stać na korale, moja pani Mośkowo.

— Po co prawdziwe? Mam takie, że nikt nie pozna.—Wyjęła pudełko, rozkładając sznury przed dziewczyną.

Marysi się oczy zaśmiały.

Po długich targach, trzy sznury zostały zawieszone na szyi dziewczęcia, a półtora srebra przeszło do kieszeni żydówki.

Dziewczyna zostawiła kupione rzeczy w sklepie, wyszła na ulicę i nie wiedziała, co z sobą zrobić. Dawniéj nigdy nie miała czasu, zawsze się jéj śpieszyło, dziś uczuła się raptownie obcą w mieście. Zaczęło się jéj przykrzyć i coraz więcéj w sercu palić, rada była uciec z miasta w téj chwili. Coś ją niepokoiło i upokarzało.

Wyszła na rynek, spojrzała na Sukiennice i zawstydziła się, jak mogła co tydzień latać tam i baraszkować z żołnierzami. Dreszcz ją przeszedł, odwróciła głowę i zaczęła uciekać.

Drzwi do kościoła panny Maryi były otwarte, weszła podziękować Bogu, że ją z niewoli wybawił. Służbę i Kraków w swém przekonaniu uważała za największą na świecie niewolę.

Kościół był pusty, ona jedna w nim. Przygniatał ją swoim ogromem. Bóg w tym kościele wydawał się jéj tak wielkim i potężnym, że bała się obejmować go myślą. Inaczéj wyobrażała sobie Boga u siebie na wsi, w małym drewnianym kościołku. Zdjęta strachem i zgrozą wyszła.

— Dopiéro naprawdę pomodlę się na wsi w niedzielę—pocieszała się.

Obeszła rynek do okoła, przypominając sobie, co w którym sklepie kupowała.

Zmęczona i wyczerpana, znudzona, odwiedziła Berberowskiego, wypiła szklaneczkę herbaty z arakiem i oparłszy głowę o ścianę, drzémała.

Śniły się jéj cudowności, zamiast koni, parobcy ciągnęli ją pod górę z Brzeska do Okocima a Józek nimi powoził.

Obudziła się, szczęściem dla niéj już się zmierzchało. Wprost ze sklepu pobiegła do warsztatu stolarskiego, wywołała dwóch znajomych terminatorów i uprosiła ich, aby kufer jéj zanieśli na koléj, gdyż sama musi wziąść pierzynę.

Zawstydzona i nieśmiała po cichu wsunęła się do pokoju pani.

— Przepraszam — rzekła wzruszona. — Pani dla mnie była bardzo dobra, tylko ja nie wiem co się ze mną dzieje.—Pocałowała panią w rękę.

— Moja Marysiu, ty chora jesteś. Odpocznij sobie u matki i wracaj. Wyjęła z portmonetki zakwestyonowanego papierka i dała jéj.

Dziewczyna z wdzięczności miała łzy w oczach.

Terminatorzy pochwycili kufer i polecieli naprzód, za nimi z pierzyną na plecach Marysia.

Na dworcu wypili w trójkę piwa i na pożegnanie pocałowali pannę Maryannę w rękę.

Dziewczyna odetchnęła całą piersią, została sama i nic oprócz przestrzeni nie dzieliło jéj z wioską.

O dziesiątéj w nocy kupiła bilet, rzeczy wyprawiła, siadła do wagonu, pociąg ruszył... Zajęczało, to był znak, że przejeżdża Wisłę, mija granicę miasta, ostatnią zaporę i jest już na bożym świecie.

W Słotwinie, zdyszana dopadła stacyi.

— Kubuś — wołała z całych sił.

— Jestem — jednokonny wózek zajechał.

— Pomóżże mi rzeczy zabrać, stoją koło pociągu, jest i pierzyna.

Kuferek postawiono w tyle, na pierzynie siadła, wózek potoczył się raźno.

Minęli Brzesko, jadąc pod gorę stępo. Kubuś drzémał, Maryś nie odzywała się. Cisza w naturze, wyiskrzone gwiazdy na ciemném niebie, ciepło— Boży świat nie objęty okiem, radość rozsadzająca piersi dziewczęcia, wszystko razem rozrzewniało ją.

— Matko Boska, jakaś Ty dobra — szeptała, składając ręce.

Otwartą bramką zajechali cicho przed chatę, tylko łańcuchy naszelników brzęczały. Maryś pochwyciła pierzynę, rozwarła drzwi.

— Matusiu jestem!... — zawołała.

Kobiéta się zerwała, rzuciły się w objęcia.

— Ze wszystkiém?

— Ze wszystkiém.

— A niechże ci Bóg da zdrowie.

— Jest przyodziéwy pełen kufer, pierzyna i jeszcze coś grosza na żniwa.

— A niechże ci Bóg da zdrowie. I już nie wrócisz do miasta?

— Nigdy — zawołała dziewczyna, wznosząc ręce w górę.

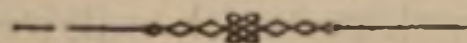
Kubuś, odebrawszy należność za drogę, odjechał.

— A teraz spać, bo się na nogach nie mogę utrzymać. Rzuciła się na matczyne łóżko.

— Taka ci jestem uradowana... matusiu, żeby to tak w niebie... Zasnęła.

Braciejowa, dnia 1-go maja 1889 roku.

Sewer.





CZAS.

V.

Najdawniejszy przyrząd do mierzenia czasu stanowią oczywiście zegary słoneczne, u nas kompasami zwane. Gdy bowiem bieg dzienny słońca następstwo godzin nam znaczy, trzeba było tylko ruch ten przenieść na przesuwanie się cienia, rzucanego przez pręt w ziemi utkwiony, by obserwacyi większą nadać dokładność. Wynalazek zegarów słonecznych przypisywano filozofom szkoły jońskiéj, następcom Talesa, Anaksymandrowi i Anaksymenesowi, z szóstego wieku przed Chr., niewątpliwie wszakże znane one były dawniejszym znacznie astronomom Chaldei i Egiptu. W pierwotnéj swéj formie był to zresztą zapewne tylko słup lub filar, pionowo na płaszczyźnie pozioméj wzniesiony, który oznaczał południe w chwili, gdy cień jego stawał się najkrótszym: jest-to sławny gnomon astronomów starożytnych, budowany troskliwie i w skromnym swym zakresie wciąż doskonalony, zanim ustąpił wobec przyrządów astronomii dzisiejszéj.

Aby wszakże zegar słoneczny zbudować, nie dosyć jest wbić pręt pionowy w ziemię i zatoczony dokoła niego okrąg na równe podzielić części, słońce bowiem wraz z całém niebem nie bieży dokoła linii pionowéj, ale obraca się dokoła osi, która w różnych punktach ziemi rozmaicie jest do poziomu pochyloną. Z najmniejszym tedy zachodem urządzićbyśmy mogli zegar słoneczny, ustawiając pręt ten czyli gnomon w kierunku osi świata, tj. zwracając go ku gwieździe biegunowéj; u nas pręt ten pochylonym by był do poziomu pod kątem 52°, a cień jego, przy zmiennem położeniu słońca, na tarczy do pręta prostopadłéj co godzina obiegałby drogi równe; tarcza ta ułożonąby więc była w płaszczyźnie do równika rów-

nogległéj, a kompas taki nazwano równikowym czyli równonocnym. Pomijając już wszakże niedogodność, wynikającą z pochyłego względem poziomu ułożenia tego zegara, pamiętać jeszcze należy, że słońce wznosi się na półkuli północnéj nad równik jedynie w ciągu półrocza letniego, górną zatém stronę tarczy oświeca tylko od końca marca do końca września, przez drugie zaś półrocze promienie jego padają na dolną jéj stronę, którą tedy podobnie jak górną zaopatrzyć należy w podziały, aby pręt, i ku dołowi wydłużony, mógł cieniem swym godziny w półroczu zimowém wskazywać.

By niedogodności tych uniknąć, korzystniéj jest tarczę kompasu umieszczać poziomo lub pionowo; w tym razie jednak odstępy kresek wskazujących godziny nie będą już równe, a konstrukcya takiego zegara słonecznego wymaga pewnych metod geometrycznych. Dla tego téż urządzanie kompasów stanowiło niegdyś ważną sprawę astronomii praktycznéj, a na rozwiązywanie nastręczających się tu zagadnień nie skąpiono pilności. Pomimo to wszakże zegar słoneczny być może bardzo niedostatecznym jedynie przyrządem. Nie mówiąc już o tém, że daje on czas prawdziwy, a nie średni, którym się posługiwać musimy, że godziny wskazywać może tylko za dnia i przy niebie pogodném, to nadto niepodobna jeszcze oznaczyć na nim dokładnych i drobnych podziałów. Trzebaby konstrukcyi niezwykle starannéj i wielkich wymiarów tarczy, aby odczytywać na niéj dokładnie minuty. Udoskonalenie zegarów mechanicznych odebrało kompasom wszelkie znaczenie praktyczne, z chluby astronomów stały się one jedynie ozdobą parków, zanim wreszcie z motywu tego skorzystali ogrodnicy, by w wielkie cyfry, z kwiatów różnobarwnych ułożone, trawniki swe ozdobić.

Również odległą przeszłość i koniec podobnież niesławny miały i zegary wodne czyli klepsydry. W najprostszéj formie były to dwa naczynia, stożkowatéj zwykle postaci, zbiegające się zwężonemi swemi końcami, gdzie przez szczupły otwór woda z naczynia górnego przepływała do dolnego. Wymiary przyrządu tak być mogą dobrane, że czas przepływu wody wynosi godzinę, kwadrans lub kilka minut tylko, a po przelaniu się wody do naczynia dolnego klepsydrę trzeba tylko odwrócić, by tenże sam przebieg znów się powtórzył. W tak prostém urządzeniu mogła wprawdzie klepsydra oznaczać upływ godziny, ale nie mogła służyć do wskazywania jéj części, woda bowiem nie z jednakową płynie wciąż szybkością. W miarę jak jéj ubywa, jak pod coraz słabszém pozostaje ciśnieniem, prędkość wypływu maleje; w równych przeto odstępach czasu woda w naczyniu dolném o niejednakowe wznosi się wysokości. Przy uwzględnieniu praw wypływu cieczy, które zresztą dopiero

Torricelli wykazał, można wprawdzie osiągnąć znaczną dokładność zegarów wodnych, budowa ich wszakże byłaby wtedy zbyt zawiłą. Można także przez stosowne doprowadzanie wody utrzymywać ją w naczyniu górném wciąż na jednym poziomie, a wtedy w równych czasach do naczynia dolnego przelewać się będą równe ilości wody; jeżeli więc naczynie to ma postać walcową, to umieszczony w niém pływak w jednakich odstępach czasu wysuwałby się w górę o jednakowe wysokości i za pośrednictwem połączonéj z nim wskazówki wskazywałby bieg czasu.

Można téż do tego celu skorzystać z energii wypływającéj cieczy, czyli z pracy, jaką wykonywać jest w możności. Jeżeli mianowicie strumień wypływający z pełnego wciąż naczynia uderza koło na osi osadzone, to pod naciskiem takim koło przechodzi w obrót jednostajny, który uregulować można tak, aby się dokonywał w ciągu godziny albo minuty. Zegary takie budowano rzeczywiście, a różne ich formy pod nazwą *horologium aquaticum*, *horologium hydraulicum* itd., opisuje słynny jezuita Kircher w wieku siedemnastym. Przy wszelkich wszakże podobnych urządzeniach nie możnaby na czas dosyć długi zapewnić zegarom wodnym biegu statecznego, niszczą go bowiem różne okoliczności uboczne, jak nieuniknione wstrząśnienia naczynia, zanieczyszczenie wody lub bezustanna zmienność temperatury.

Dziś więc zegary wodne pozostały w historyczném tylko wspomnieniu. Ostatnią rolę naukową odegrały chyba na usługach Galileusza, gdy przy doświadczeniach swych nad spadkiem ciał potrzebował oznaczać krótkie odstępy czasu. Zachował on wszakże tę ostrożność, że woda wązkim bardzo otworem wypływała z naczynia znacznych wymiarów; wtedy przez krótki czas wypływu poziom wody w naczyniu wyraźnym zmianom nie ulegał, odważone przeto ilości cieczy wypływającéj z dostateczném przybliżeniem miarę czasu dawały. Metoda ta zresztą i dziś jeszcze może być przydatna, gdy idzie o oznaczenie stosunku dwu niewielkich odstępów czasu; wodę w tym razie korzystnie zastąpić może rtęć.

Podobneż usługi, jak klepsydry wodne, oddawały i klepsydry piaskiem suchym wypełnione; sądzono nawet, że piasek przesypuje się wciąż jednostajnie, bez względu na wysokość, do jakiéj jest usypany. Dla tego nadano zbiegającym ze sobą naczyniom postać rur walcowych, a urządzona na nich podziałka pozwalała z niejaką dokładnością oznaczać jednakie odstępy czasu.

Wraz z kompasami i klepsydra poszła w zapomnienie. Gdy niedyś mówcy greccy według niéj długość swych mów oznaczali, dziś chyba klepsydra trzyminutowa służy do pilnowania się przy go-

towaniu jajek. Możnaby powiedzieć, że na zabawkę wyszła, gdyby z niéj nie zrobiono ponurego symbolu śmierci, zkąd nawet owe złowieszcze kartki, co rogi ulic obok obwieszczeń teatralnych pokrywają, przejęły u nas nazwę tych dawnych czasomierzy.

W braku zresztą prawdziwych zegarów musiano sobie radzić i innemi prostemi środkami mierzenia czasu, niewiele jednak o nich wiemy. Przytoczyć chyba można ocenę godzin z przebiegu płonięcia świecy walcowéj, która w równych odstępach czasu o jednakie opala się długości, przyczém odpowiedni materyał wybuchowy w oznaczonych punktach w świecę wprowadzony służyć może do sygnalizowania oznaczonych momentów. Szczątkowym zabytkiem tego mierzenia czasu są jeszcze świeczki przy licytacyach sądowych używane.

VI.

Do jakiéj epoki odnieść należy początek dzisiejszych naszych zegarów, polegających na połączeniu kół i kółek, wprawianych w ruch działaniem spadającego ciężaru lub rozwijającéj się sprężyny—trudno powiedzieć; w każdym razie w wieku czternastym mechaniczne takie czyli kółkowe zegary posiadały już pewien stopień dokładności.

Pomysł zastosowania spadku ciężaru czyli wagi do wprawiania w ruch mechanizmu zegarowego jest rzeczywiście bardzo prosty i dawno mógł się nasunąć; ciężar bowiem zawieszony na wale, dokoła swéj osi ruchomym, wprawia go spadkiem swym w obrót, a zarazem i osadzone na nim koło zębate, którego ruch przenosi się na kółka dalsze i na wskazówki. Zadanie to nie przedstawiałoby więc trudności, gdyby bieg wagi dokonywał się jednostajnie; wiemy wszakże, że spada ona biegiem przyśpieszonym, wał zatém i cały połączony z nim mechanizm obracałby się coraz prędzéj, a zegar wskazywałby godziny coraz krótsze. Trudność polegała przeto jedynie na obmyśleniu środków ujednostajnienia tego ruchu. Radzono sobie bądź przez zmianę momentu bezwładności obracającéj się bryły, bądź przez zwiększanie oporu, jaki przy ruchu swym przezwyciężać musiała, co do pewnego stopnia pozwalało utrzymywać ruch jednostajny, ani dokładnie wszakże ani na długo. W r. 1364 urządził Henryk von Wyk na gmachu parlamentu w Paryżu zegar bijący godziny, a odtąd zegary wieżowe zaczęły się mnożyć w Europie; zdaje się jednak, że zegary poruszane spadkiem wagi znane już były we Włoszech w wieku trzynastym, a są może wyna-

lazkiem arabskim, w r. 1232 bowiem miał Saladyn przesłać cesarzowi Fryderykowi II zegar, który oceniano na 5000 dukatów. Zaczęto się niemi nawet w miejsce zegarów wodnych posługiwać przy obserwacyach astronomicznych, wymagały wszakże codziennéj regulacyi i ulegały częstemu zakłóceniu. Wszystkie stare środki mechaniczne okazywały się niedostateczne do ujednostajnienia biegu zegarów, trzeba było szukać dróg nowych, a tę pomoc pożądaną przyniosło wreszcie wahadło.

Tu znowu do Galileusza zwrócić się nam wypada.

Od niepamiętnych czasów bujał się ciężarek na sznurku, a ruch ten powszedni nikogo nie zastanawiał, na drobne bowiem spostrzeżenia umysł genialny tylko uwagę zwrócić potrafi, a umiejętne z nich korzystanie twórczość naukową stanowi. W katedrze pizańskiéj rozbujał się świecznik kościelny na długim zwieszający sznurze,—było to w r. 1583, a ruch ten obserwował Galileusz, dziewiętnastoletni wówczas student medycyny, którego samodzielność i zdolność spostrzegawcza wyrywały się po za zaklęte nieruchomością średniowieczną szranki fizyki arystotelesowéj. Obszerne z początku łuki przez świecznik zataczane zwolna malały, a młody obserwator dostrzegał, że pomimo to każde wachnięcie dokonywało się w czasie jednakim; licząc więc uderzenia swego tętna wykrył, że rzeczywiście trwanie wachnięcia od obszerności jego nie zależy, byleby długość wahadła pozostawała niezmienną: zarówno rozległe jak i drobne wahania dokonywają się w czasie jednakim. Taki był początek naszéj znajomości wahadła, tego przyrządu prostego, któremu w dalszym rozwoju nauki przypaść miała rola tak wybitna.

Zrozumiano téż bezzwłocznie, że izochronizm ten wahadła, równoczesność jego wahnięć, czyni zeń pożądany czasomierz, i już sam Galileusz, a późniéj Riccioli, Grimaldi, Mersenne, Kircher, Heweliusz posługiwali się niém przy dostrzeżeniach astronomicznych i doświadczeniach fizycznych. Wahadło wszakże przedstawiało tę niedogodność, że nie zaznaczało czasu upłynionego, a niepotrącane na nowo rychło się uspakajało. Galileusz już przeto wpadł na pomysł połączenia wahadła z odpowiednim mechanizmem wskazówkowym, o czém w r. 1636 pisał do Laurensa Reaala, gubernatora Niderlandów; gdy wszakże przerwała się korespondencya ze stanami Holandyi, prowadzona w przedmiocie ściślejszéj metody oznaczania długości geograficznéj, nie słyszano już o czasomierzach Galileusza.

We dwadzieścia dopiéro lat późniéj zadanie to podjął Huyghens, który obok Galileusza i Newtona uzupełnia trójcę twórców

mechaniki nowożytnéj. Zamiast jednak urządzenie zegaru naginać do wahadła, zwrócił się on do dawnych zegarów wagowych i do nich zastosował wahadło, które równoczesnością swych wahań jednostajny im bieg zapewniło. W r. 1657 uzyskał Huyghens od stanów generalnych Holandyi patent na swoje zegary wahadłowe i opisał je w rozprawie „*Horologium*“, ogłoszonéj 1658 r.

Jak zwykle wszakże, nie obyło się i tu bez sporów o pierwszeństwo wynalazku. Galileusz już nie żył od lat szesnastu, ale uczeń jego i biograf, Viviani, starał się wykazać prawa swego mistrza do tego pierwszeństwa w przedstawieniu złożoném księciu toskańskiemu, Leopoldowi, w r. 1659. Viviani utrzymywał, że Galileusz od r. 1641 pracował nad udoskonaleniem swego czasomierza, że zamierzał właśnie nie używać wahadła do poruszania tego mechanizmu, ale przeciwnie, mechanizm utrzymywać w ruchu za pomocą wagi, a wahadło tak z niém połączyć, aby przez działanie mechanizmu w ustawicznym utrzymywało się ruchu.

Ponieważ w r. 1640 Galileusz zaniewidział zupełnie i sam robót tych prowadzić nie mógł, wykonanie powyższego planu poruczył synowi swemu, Wincentemu, który wszakże zajął się niém dopiéro w kwietniu r. 1649, ale zmarł w ciągu tegoż samego roku i rozpoczętéj roboty nie dokończył. Viviani podał nawet rysunek tego zegara, a z pozostałości po Wincentym sprzedanym być miał „*un oriuolo non finito di ferro col pendulo, prima invenzione del Galileo*“. Według tych danych przyjąć można, że Galileusz rzeczywiście obmyślił plan zbudowania zegara wahadłowego, ale z tego też wypływa, że otoczenie jego doniosłości pomysłu tego nie oceniło, inaczéj bowiem Viviani nie czekałby ze swém ogłoszeniem na pracę Huyghensa, któremu tedy bezspornie przypada chwała wynalazcy naszych dzisiejszych zegarów wahadłowych.

Oprócz Galileusza wszakże jest inny jeszcze współzawodnik Huyghensa, a mianowicie Jost Bürgi, którego Wolf w swéj historyi astronomii uważa za prawdopodobnego wynalazcę zegarów wahadłowych już około r. 1580. Wolf przytacza kilka dosyć chwiejnych dowodów na poparcie swego przypuszczenia, między innemi stary zegar wahadłowy, przechowywany w skarbcu wiedeńskim i uważany za dzieło Bürgiego. Podobnyż zegar znajduje się i w obserwatoryum w Cassel, gdzie Bürgi, zmarły 1632 r., ostatnie lata życia swego przepędził. Zegar ten wszakże wyrestaurowanym był w r. 1676 i wtedy dopiéro zapewne opatrzony został w wahadło. Krytyka też historyczna odparła nieuzasadnione przypuszczenia Wolfa, témbardziéj, że przypisując Bürgiemu wynalazek zegarów wahadłowych około r. 1580, należałoby mu przyznać i odkrycie zasady równoczesności wahnięć.

Nad dalszém udoskonaleniem zegarów pracował przedewszystkiem sam Huyghens, którego większe dzieło „*Horologium oscilatorium*“ (1673) szczególnie jest ważne, ze względu na przeprowadzone w niém badania teoretyczne nad wahadłem i wiążącemi się z niém innemi kwestyami mechaniki. Jakkolwiek w zasadzie ogólne urządzenie Huyghensa przetrwało dotąd, szczegółowe zmiany i ulepszenia oddzielnych części zegarów wprowadzały się i wprowadzają bezustannie, najważniejsze zaś znaczenie mają zmiany obmyślone przez Clementa (1680), Grahama (1675—1751) i Harrisona (1693—1776).

Nie zapuszczając się zresztą w szczegółowy opis budowy zegara, winniśmy jednak przytoczyć główne zasady tego mechanizmu. Ciężar czyli waga, zawieszona na wale wprawia w obrót wraz z tym wałem i obsadzone na nim koło zębate, które powoduje ruch dalszych kół przyrządu. Byłby to, jak wiemy, ruch przyśpieszony, ale wahadło przerywa go w jednakich odstępach czasu, a tém samém ujednostajnia go i reguluje. Pośrednikiem zaś między wahadłem a właściwym przyrządem zegarowym jest wychwyt czyli kotwica, tak z wahadłem związana, że wraz z niém się kołysze, zahaczając kolejno o zęby koła na wale osadzonego.

Wahadło samo przez się długo służyćby nie mogło, z powodu bowiem tarcia na osi, na której jest zawieszone, i z powodu oporu powietrza, rychłoby ruch swój wstrzymało, gdyby uderzenia wychwytu o zęby koła na wale osadzonego nie nadawały mu wciąż nowego impulsu. Waga więc opadająca stanowi siłę poruszającą dla całego systemu kół, a za pośrednictwem wychwytu podtrzymuje i kołysania wahadła; z drugiéj strony wahadło, za pośrednictwem tegoż wychwytu, stanowi regulator dla szybkości spadku wagi.

Szybkość wszakże kołysań wahadła zależy od jego długości; wahadło krótkie kołysze się szybciéj, długie wolniéj, na bieg zatém zegara wpływa temperatura, któréj wzrost powoduje wydłużenie wahadła. Zaradzić temu szkodliwemu oddziaływaniu temperatury próbował w r. 1715 Graham przez użycie wahadeł z drzewa, które się od ciepła słabiéj, aniżeli metale, rozszerza; gdy jednak sprowadzało to inne niedogodności, zamierzył osiągnąć niezmienną, czyli niezależną od temperatury długość wahadła przez stosowną kombinacyę kilku metali. Tego rodzaju kompensator wykończył wszakże dopiéro Harrison, Graham zaś znalazł również szczęśliwe rozwiązanie, złączywszy z prętem wahadła naczynie napełnione rtęcią. Te dwa rodzaje kompensatorów są dotąd najpowszechniéj używane.

Nadmienić również należy, że własność izochronizmu posiada wahadło zwykłe do pewnego tylko stopnia; skoro łuki przez nie

przebiegane wykraczają po za pewną granicę, czas wahnięcia staje się już nieco dłuższy. Doskonale izochronicznėm jest tylko wahadło cykloidalne, to jest wahadło, którego ciężarek przebiega nie po łuku kołowym, ale po innéj linii krzywéj, zwanéj cykloidą; w zegarze zatém, opatrzonym w wahadło tego rodzaju, nie potrzebaby się troszczyć, aby jednakowemu zawsze ulegało impulsowi. Rzeczywiście Huyghens wskazał już sposób takiego zawieszania wahadła, aby ono przebiegało drogę cykloidalną, a w czasach późniejszych do pomysłu tego nieraz wracano, z powodu wszakże trudności technicznych, z jakiemi urządzenie to jest połączone, nie weszło ono w użycie.

VII.

Drugą kategoryę czasomierzy, stanowią zegarki; zdrobniała nazwa nie odpowiada tu zmniejszonym tylko wymiarom, ale odmiennemu urządzeniu. W miejsce opadającéj wagi ruch mechanizmu wywołuje sprężyna, która, wyprowadzona ze stanu swéj równowagi przez nakręcenie zegarka, usiłuje do stanu tego wrócić, czém powoduje ruch połączonych z nią kółek.

Ruch ten wszakże, ciągłem rozkręcaniem się sprężyny utrzymywany, zachodziłby również coraz prędzéj; każda bowiem siła statecznie działająca, jakby przez coraz sumujące się impulsy, ruch przyśpieszony wywołuje. Potrzeba i tu zatém regulatora, któryby w jednakich odstępach czasu ciągłość tego ruchu przerywał, a regulatorem tym i tu jest wahadło. Nie wahadło zwykłe wprawdzie, kołyszące się pod działaniem siły ciężkości, niemniéj jednak kombinacya, która również ruchy wahadłowe wykonywa. Jest to bowiem małe, na osi osadzone kółko, opatrzone w bardzo cienką i spiralnie zwiniętą sprężynkę, zwaną włosem; skręty tego włosa, ze stanu równowagi usunięte, rozszerzają się i ściągają, przenosząc ruch ten na połączone z niemi kółko, które ztąd kręci się wciąż na prawo i na lewo. Balansyer ten zatém, działaniem sprężystości w ruchu utrzymywany, odegrywa zupełnie rolę wahadła i ze sprężyną poruszającą tak jest systemem wychwytów związany, że ciągłość jéj działania wciąż przerywa, sam zaś doznaje bezustannych popędów, które zapewniają jednostajność jego kołysań.

Aż dotąd zatém zupełną znajdujemy analogię w budowie zegarów wagowych i sprężynowych, w tych ostatnich wszakże nieuniknioną jest większa zawiłość. Siła bowiem ciężkości, przyciąganie ziemi, jednako zawsze na opadającą wagę działa, skąd bieg jéj jest jednostajnie przyśpieszony; ze sprężyną inaczéj się dzieje:

przez skręcenie wzbudzona w niéj sprężystość w miarę jéj rozwijania się słabnie, wywiéra ona przeto na mechanizm zegara ciśnienie coraz mniejsze i powodowałaby ruch niejednostajnie, przyśpieszony. Konieczne jest tu zatém urządzenie dodatkowe, któreby usuwało wpływ ciągłego słabnięcia siły poruszającéj; potrzeba pośrednika między sprężyną poruszającą a balansyerem. Pośrednikiem takim jest ślimak. Jestto stożek mosiężny, zwężający się ku górze, po którym wije się równia pochyła, ślimakowato skręcona, jak droga na górę wiodąca; gdy sprężyna rozkręca się i tém samém wprawia w obrót bęben, w którym się mieści, wtedy zarazem działa i na ślimak za pośrednictwem łańcucha, który się zwija dokoła coraz szerszych jego skrętów. Z początku więc działa na skręty niewielkie, następnie na coraz rozleglejsze, które, jakby coraz dłuższe ramiona drążka, coraz mniejszéj do obrotu wymagają siły. W ten sposób wynagradza się ciągły ubytek siły poruszającéj.

Aby otrzymać zegarki mniéj wypukłe, postarano się o wyrugowanie ślimaka i zastąpienie go innemi sposobami; zastosowano więc sprężyny niejednostajnéj grubości i szerokości, tak aby w miarę ubytku sprężystości coraz dzielniejsze części na widownię występowały, ale i przy użyciu jednostajnéj sprężyny zaradziły temu stosowne systemy wychwytów.

Jak na wahadło zegarów wagowych, tak téż wpływa ciepło i na balansyery zegarków, a nawet silniéj jeszcze; nietylko bowiem wzrost temperatury działa na sprężystość drgającego włosa, ale zarazem powiększa i średnicę kółka, w którém jest on osadzony. I tu zatém, jak przy wahadłach zwykłych, trzeba było wprowadzić kompensancyę, która zresztą na podobnych mniéj więcéj zasadach polega.

Zegary sprężynowe pojawiły się w początkach wieku szesnastego, a jako ich wynalazcę wymieniają Piotra Hele z Norymbergi; wynalazca ślimaka jest nieznany. Wprowadzenie sprężyny spiralnéj czyli włosa zawdzięczamy, podobnie jak zastosowanie wahadła do zegarów wagowych, Huyghensowi, a pierwszy zegarek kieszonkowy wedle jego wskazówek wyrobił zegarmistrz Turet w Paryżu 1674 r. I ten wszakże wynalazek dał również powód do zaciętego sporu, z roszczeniem bowiem do pierwszeństwa wystąpił namiętnie Robert Hooke, sławny sekretarz towarzystwa królewskiego w Londynie. Według własnego oświadczenia powziął on już w r. 1658 pomysł użycia sprężyny stalowéj, jako regulatora do zegarków, a następnie traktował z kilku uczonymi o wyjednanie na wynalazek ten patentu; zanim jednak zdołał pierwszy swój zegarek wykończyć. co nastąpiło w r. 1676, Huyghens skorzystał

z jego pomysłu, o którym miał się dowiedzieć od jednego z członków towarzystwa królewskiego. O ile uzasadnioném jest to wystąpienie, trudno powiedzieć; Hooke bowiem, człowiek niewątpliwie rozległéj nauki i wysokich zdolności, cechował się przedewszystkiem charakterem kłótliwym i ambicyą niesłychaną: wszystko wiedział, sobie przypisywał pierwszeństwo wszystkich niemal współczesnych mu odkryć i wynalazków, Newtona nawet oskarżał o plagiat w odkryciu praw ciążenia powszechnego.

Huyghens wykazał nadto pożytek, jaki przynieść mogą podobne zegary przenośne przy oznaczaniu długości geograficznéj, zwłaszcza na morzu, a z tego względu parlament angielski wyznaczył nagrodę 20,000 funtów za takie udoskonalenie tych zegarów, aby przy ich pomocy można było długość geograficzną oznaczać z błędem nieprzechodzącym pół stopnia. Połowę téj znacznéj nagrody osiągnął znany nam już Harrison dopiéro w r. 1764, gdy, wprowadziwszy kompensacyę i inne ulepszenia, dostarczył admiralicyi brytańskiéj chronometr, przedstawiający pożądaną ścisłość, a od owego czasu sztuka wyrabiania dokładnych chronometrów tak się rozwinęła, że, zdaje się, doszła już do granicy dla biegłości człowieka dostepnéj.

Dobry zegar nie powinien rzeczywiście dawać błędu większego nad pół sekundy na dobę, czyli przekraczającego drobny ułamek $\frac{1}{172800}$, a tanie nawet zegarki błądzą zaledwie o dwie lub trzy minuty na tydzień, dokładność ich zatém wynosi $\frac{3}{10000}$. Wyborne chronometry dochodzą ścisłości $\frac{1}{432000}$, w ciągu doby bowiem dają różnicę, nie przechodzącą piątéj części sekundy. Aby podobną osiągnąć ścisłość przy ocenie długości lub masy, trzeba przyrządów wyjątkowéj dokładności przy szczególnéj baczności i wprawie; przy zwykłém mierzeniu i ważeniu popełniamy błędy wielokrotnie większe. Długość, masa i czas stanowią, jak zaznaczyliśmy wyżéj, wielkości zasadnicze, do których sprowadzają się wszelkie pomiary, ale czas mierzymy z najznaczniejszą dokładnością i największą łatwością. Jestto wielkość, która nas widocznie najbliżéj dotyczy, niewielu bowiem tylko dźwiga przy sobie łokieć, a nikt prawie nie zabiéra ze sobą wagi i gwichtów; z zegarkiem tylko nie rozstajemy się nigdy, jest on najbliższym towarzyszem naszym i doradcą wiernym. Posiadanie zegarka jest marzeniem chłopca i stanowi nagrodę jego pilności; czeladnik z terminatora wyzwolony chlubi się nim wobec towarzyszy, jako dowodem swéj

rządności, a skromny, srebrny zegarek studenta ileż to razy od głodu i chłodu ratuje swego właściciela. Pozór życia mający mechanizm zegarka budzi podziw dziecka, ale téż — rzecz dziwna zaiste — z całego zastępu przyrządów, którym nas postęp techniki obdarzył, jest on najmniéj może znany, a mechanika i fizyka szkolna nie zadają sobie nawet trudu, by wyjaśnić tę gmatwaninę kół i kółek, co przecież istotny ich tryumf stanowią.

VIII.

Unormowanie stosunków w wielkich ogniskach działalności ludzkiéj wywołało potrzebę zaprowadzenia dokładnéj obsługi czasu, polegającéj na tém, aby wszystkie zegary miejskie jednaki czas wskazywały. Obecnie, gdy telegraf elektryczny w jednéj chwili roznosi wieści w najodleglejsze okolice ziemi, urządzenie takie trudności nie przedstawia; w saméj téż rzeczy rozsyłanie godziny albo regulowanie zegarów stanowi poniekąd rodzaj telegrafii. Jeden bowiem zegar normalny wywołuje ruch wskazówek na setkach tarcz zegarowych, po całém mieście rozrzuconych, a cel ten osiągnąć się daje w ten sposób, że zegar normalny w oznaczonych odstępach czasu, co minuta zwykle, zamyka automatycznie prąd elektryczny, który, rozbiegając się po drutach, wzbudza elektomagnesy i powoduje tém na połączonych z niemi tarczach przeskok skazówki minutowéj o jedną kreskę podziałki. System ten wszakże nie jest wolny od niedogodności, druty bowiem w miastach łatwo uszkodzeniu ulegać mogą, a niekiedy i elektryczność atmosferyczna przeszkadza należytéj działalności prądu galwanicznego. Dla tego téż korzystniejszém okazało się pozostawienie zegarów niezależnych, które tylko co godzina albo i raz na dobę za pośrednictwem prądu elektrycznego doprowadzają się do zupełnéj zgody z zegarem normalnym.

Ze szczególną zwłaszcza starannością system przesyłania godziny rozwinięty jest w Stanach Zjednoczonych, stanowi to nawet jedno z głównych zadań obserwatoryum waszyngtońskiego. Godzina z Waszyngtonu przesyła się codziennie do głównych portów atlantyckich. Poczynając od trzech minut przed południem aż do chwili południa przesyła się czas co sekunda, a na każdéj stacyi elektromagnes, wzbudzony prądem nadsyłanym, odtwarza każde uderzenie chronometru, znajdującego się w sali obserwatoryum stołecznego; w kilku zaś miastach w chwili południa, pod wpływem prądu, spadają w widocznych punktach osadzone kule. Prąd również poprawia, w południe, trzysta lub czterysta zegarów rozrzu-

conych po szkołach, ministeryach i zakładach publicznych Waszyngtonu. W podobnyż sposób obserwatoryum w Neufchatel przesyła codziennie godzinę do głównych ognisk fabrykacyi zegarów w Szwajcaryi.

Przy usługach wszakże, jakie nam elektryczność na wszelkich polach oddaje, byłoby dziwném, gdyby li tylko w roli pośrednika przy mierzeniu czasu występować mogła. Rzeczywiście téż posiadamy i prawdziwe zegary elektryczne, zegary zatém, gdzie elektryczność jest sama motorem i zastępuje działanie wagi lub sprężyny. Wobec jednakże doskonałości zegarów mechanicznych, zegary elektryczne donioślejszego znaczenia zdobyć nie mogą, a lubo w pewnych szczególnych przypadkach użyteczne, stanowią wogóle przyrządy ciekawości raczéj, aniżeli istotnego pożytku praktycznego.

IX.

Jakkolwiek nikłym ciągiem czasu wydaje się nam sekunda, przy wielu badaniach naukowych a nawet i w celach praktycznych zachodzi potrzeba ujmowania drobnych jéj części, setnych, tysiącznych. Na zegarze zwyczajnym sekundy dzielić nie można, chociaż bowiem wszystkie wachnięcia są między sobą izochroniczne, każde oddzielnie wszakże ma przebieg wcale niejednostajny; trzebaby więc radzić sobie użyciem wahadła krótkiego, którego ruchy dokonywają się bardzo szybko, jak to ma miejsce w znanych taktomiarach muzycznych, gdzie nawet przesuwanie ciężarka pozwala wahadło takie dowolnie skracać i wydłużać, a tém samém szybkość jego kołysań zmieniać. Gdy wszakże idzie o czasy bardzo drobne, wahadła musiałyby być nader krótkie, a jak łatwo pojąć, różne względy kładą rychło kres zbytniemu jego skracaniu.

Trzeba więc było szukać metod innych, a chociaż przyrządy do celu tego służące są często bardzo zawiłe, polegają w ogólności na prostych zasadach. Wyobraźmy sobie walec uczerniony sadzą i który za pomocą mechanizmu zegarowego obraca się, dajmy, raz na sekundę; pręcik, dotykający tego walca ściera przy obrocie sadzę i kreśli na nim linię, stosowne zaś urządzenie pozwala pręcikiem tym tak manewrować, że w żądanéj chwili może on być do walca zbliżanym lub od niego oddalanym. W ciągu całego obrotu pręcik oczywiście opisze na walcu pełny okrąg, przez dziesiątą zatem lub setną część sekundy nakreśli tylko dziesiątą lub setną część okręgu, z długości tedy linii na walcu wypisanéj odczytujemy długość czasu obserwacyi. Przez zwiększenie wymiarów walca

i przez podwyższenie szybkości jego obrotu mamy nieograniczoną prawie drogę ujmowania by najdrobniejszych cząstek czasu, idzie więc o to tylko, aby pręcik dokładnie zaznaczał początek i koniec obserwowanego zjawiska, a do należytego posłuszeństwa znaglamy go dobrze za pośrednictwem prądu galwanicznego.

Chronoskop tego rodzaju jest najczęściéj używany, nie brak wszakże przyrządów, polegających i na odmiennych zasadach. Metody doświadczalne tak dalece się rozwinęły, a na usługi mają narzędzia tak doskonałe i tak starannie wyrobione, że nauka podjąć zdoła badania, które niezbyt dawno mrzonkami tylko wydawać się mogły. Szybkość światła, którą poznano z obserwacyi astronomicznych, jest tak wielka, że wydawało się niemożebném, by ją potrafiono drogą doświadczalną ująć; a wszakże już przed kilku dziesiątkami lat Fizeau i Foucault obmyślili metody, które dozwoliły zadanie to szczęśliwie rozwiązać, chociaż milę geograficzną światło przebiega w czasie krótszym nad jednę czterdziesto-tysiączną część sekundy. Wheatstone, późniéj Casin i Lucas, dochodzili, jak długo trwa przebieg iskry elektrycznéj, a doświadczenia wykazały im ledwie stutysiączne i milionowe części sekundy. Wiadomo, że są ciała, posiadające zdolność fosforescencyi czyli świecenia po poprzedniém wystawieniu ich na światło: Becquerel okazał, że własność ta zgoła nie jest rzadką i przypada przeważnéj ilości ciał, trwa jednak tak krótko, że uchodzi zwykłym dostrzeżeniom, w wielu bowiem razach nie przenosi trzechsetnéj części sekundy.

Podobneż badania napotykamy obecnie już nietylko w fizyce, ale i w innych dziedzinach wiedzy przyrodniczéj. Chemik wyczytuje czas przebiegu procesów chemicznych i oznacza szybkość rozchodzenia się fal, przez eksplozyę wzbudzonych. Artylerzysta wykrywa szybkość biegu kuli armatniéj lub czas, przez jaki w lufie bawi, a fizyolog ocenia czas, jaki upływa, zanim wrażenie na zmysł wywarte do mózgu dobiega.

Po przykłady czasów tak drobnych, sięgnąć możemy i do fotografii. Aby uchwycić szczegóły na powierzchni słońca występujące, trzeba było jak najbardziéj zredukować czas wystawienia płyty fotograficznéj, inaczéj bowiem, pod bezpośredniem działaniem promieni słonecznych, ulega ona tylko jednostajnemu sczernieniu; głośny astronom francuski, Janssen, zdołał aparat swój tak urządzić, że czas ten zeszedł do $\frac{1}{3000}$ części sekundy, a w ten sposób odfotografował nietylko plamy słoneczne, ale i szczegóły budowy fotosfery, czyli najgłębszéj warstwy słońca, dostrzeżeniom naszym jesz-

cze dostępnéj. — Fuzya fotograficzna Mareya, za pomocą któréj badacz ten ruchów zwierzęcych, chwyta obrazy konia w biegu lub ptaka w locie, daje dwanaście obrazów na sekundę, czas zaś wystawienia płyty wynosi ledwie $\frac{1}{720}$ sekundy, a Muybridge podaje nawet, że do ujęcia obrazu zwierzęcia w biegu starczyła mu dwutysiączna część sekundy.

A wreszcie, gdy chwila jest już tak niewypowiedzianie drobną, że doświadczenie bezpośrednie żadną miarą ująćby jéj nie zdołało, nastręczają się drogi pośrednie, teoretycznie uzasadnione i niewątpliwe. Światło podobnie jak głos jest objawem drgania; ale gdy struna brzmiąca wydaje na sekundę 16 do 70000 drgań, ciało świeci wtedy dopiéro, gdy cząstki jego dokonywają na sekundę 400 do 800 trylionów drgań. Drganie zatém, które wzbudza w nas poczucie czerwieni, trwa ledwie $\frac{1}{400,000,000,000,000}$, wrażenia zaś fioletu doznajemy, gdy drganie wynosi tylko $\frac{1}{800,000,000,000,000}$ część sekundy. Ułamki tak drobne wydają się fantastyczne, odcyfrowane wszakże zostały z rzetelnością niekłamaną; podobnéj pewności nie znajdziemy już na nieszczęście, gdy od tych chwilek nikłych zwrócimy się do okresów olbrzymich, odnoszących się do czasu istnienia i rozwoju naszéj bryły ziemskiéj.

X.

Więcéj, aniżeli jakakolwiek inna gałęź wiedzy przyrodniczéj, wpływowi legend biblijnych uległa geologia; jakkolwiek bowiem przez dni z powieści hebrajskiéj o stworzeniu świata rozumiéć zaczęto długie okresy, to wszakże na tle tém wyrosła teorya przewrotów czyli katastrof w dziejach rozwoju ziemi. Poglądom tym początek dał mianowicie Cuvier, gdy w szczątkach istot niegdyś na ziemi żyjących poznał dokumenty do odczytania jéj dziejów posłużyć mogące. Widząc, że badane przezeń skamieniałości dawnych istot kręgowych niepodobne są do istot dzisiejszych, a nadto, że i szczątki w różnych piętrach ziemi zagrzebane są różne jedne od drugich, podzielił cały bieg dziejów ziemi jakby na odrębne okresy, odgraniczone między sobą stanowczo potężnemi katastrofami, których groza całą powierzchnią globu naszego wstrząsała, sprowadzając zgubę wszystkiego na niéj życia. Każdy okres dziejów ziemi posiadał właściwy sobie świat organiczny, a po każdéj jego zagładzie nowy znów akt stworzenia nowe istoty do ży-

cia powoływał; wyjątkowo chyba tylko wytrwały jakiś gatunek zdołał ujść zniszczeniu i śród przeobrażonéj przyrody byt swój utrzymał. W teoryi téj przeto oddzielne okresy mają znaczenie dawnych dni biblijnych, ale dnie te, w ciągu których przemijały długie szeregi całych pokoleń istot żyjących, urastać już musiały w długie ciągi czasu, w całe setki tysięcy i miliony lat.

Hipoteza przewrotów takich ustąpić wszakże musiała, skoro Lyell wykazał, że cały ogół przeobrażeń, jakim ziemia w stopniowym swym rozwoju ulega, wyjaśnić się daje na podstawie dotąd jeszcze zachodzących objawów i sił obecnie jeszcze występujących; przeobrażenia zatém, jakie dokonywały się na powierzchni globu naszego, nie odbywały się przez nagłe i powszechne przewroty, ale były następstwem zmian powolnych i drobnych, które nie przerywały zgoła ciągłości życia organicznego. Rzecz jasna, że wobec tych nowych poglądów na historyę ziemi rozsunąć się jeszcze musiał obszar czasu, potrzebnego do wytworzenia jéj skorupy, trzeba już bowiem było całych setek milionów lat, aby przez sumowanie zmian tak nikłych i niedostrzegalnych, jakie się i za naszych czasów dokonywają, wyjaśnić rozwinięcie się potężnych pokładów i ich przeobrażanie, powstawanie i zagładę pasm górskich. Czas stał się sprzymierzeńcem geologa, jako czynnik dowolny, jako jedyna zmienna niezależna, którą w spekulacyach swoich dowolnie mógł rozporządzać, A zaiste, rachunek geologów nieledwie skromnym okazać się musiał, gdy wystąpiła i teorya descedencyi, wyprowadzająca wszystek świat dzisiejszy istot żyjących ze wspólnego początku również drogą stopniowych i nieznacznych tylko przeobrażeń, i biologia bowiem, tak samo jak geologia, na odparcie nastręczających się w teoryi rozwoju istot trudności za każdym razem działanie czasu na pomoc powołać może.

Długością okresów istnienia ziemi geologia rzeczywiście rozporządzać może dowolnie, nie posiadamy bowiem zgoła sposobów, któreby nam chronologię ziemi z przybliżoną choćby dokładnością odczytać dozwoliły. Przyjrzyjmy się jednak środkom, któremi zadanie to zaatakować przynajmniéj probowano.

W duchu dzisiejszych poglądów swoich, że przyczyny powodujące przeobrażenia skorupy ziemskiéj działały zawsze z jednakiém natężeniem, wnioskuje geologia o przeszłości z tego, co się dzieje obecnie. Do takiego zaś wnioskowania nadaje się najdogodniéj narastanie pokładów osadowych.

Wielkie rzeki, przy corocznych swych wylewach, pozostawiają zawsze na obszarach zajmowanych przez wezbrane wody pewien osad; powolne narastanie takich napływów zauważono już dawno,

a następnie zapragnięto obliczyć czas, jakiego rzeki do ich wytworzenia potrzebują. Jako taki utwór napływowy słynie oddawna delta nilowa. I dziś jeszcze Nil wylewa jak w czasach starożytnych, i dziś jeszcze pozostawia swój muł użyzniający, skutkiem czego pola zalewane w górę narastają.

Delta nilowa ma postać trójkąta, o powierzchni około 400 mil kw., którego wierzchołek przypada obok Kairu, w pobliżu piramid i dawnego Memfisu, podstawa zaś długim łukiem opiéra się o morze. Przybór Nilu ma miejsce w połowie czerwca, a to w następstwie wzbierania dopływów jego, przerzynających Abisynię; skutkiem tego przyboru Egipt dolny ulega zalewom, które wytworzyły deltę. Naukowe badania delty nilowéj datują się od czasu pamiętnéj wyprawy Bonapartego 1798, w któréj uczestniczył zastęp uczonych. Pod warstwą mułu napotkał Girard gruboziarnisty piasek morski; na tym więc pokładzie składał Nil muł swój w ciągu wieków i wypełnił dawną zatokę morską, któréj ostatnie ślady występują jeszcze w lagunach. Gdyby Nil corocznie osadzał warstwę wyraźną, możnaby łatwo z ilości warstew takich odczytać liczbę lat i ciąg czasu oznaczyć; delta nilowa wszakże nie okazuje uwarstwowania wyraźnego, dla odczytania tedy czasu odwołać się musiał Girard do dawnych wodoskazów, które służyły do zaznaczania wysokości przyborów. Dno rzeki podnosi się według tegoż samego prawa, któremu ulega podnoszenie się czyli narost delty; jeżeli więc wodoskaz pozostaje przez czas długi nienaruszonym, dojść musi wreszcie do tego, że wskazywany przezeń najwyższy stan wód wznosić się musi znacznie po nad najwyższy stan wód w czasach dawniejszych.

Girard zbadał tedy dwa takie wodoskazy, jeden pod Kairem, zbudowany czy raczéj odbudowany przez kalifów w połowie wieku dziewiątego, i drugi daleko dawniejszy, obok Elefantyny, opisany przez Strabona. Na obu wodoskazach wykryto znaki, dające wysokości dawnych przyborów, a przez zestawienie ich z przyborami obecnemi wyczytał Girard, że dno Nilu w ciągu stulecia podnosi się o 0,126 metra; w tymże samym stosunku zachodzi przeto i przyrost delty w kierunku pionowym, a ztąd, zmierzywszy wysokość nasypów, okalających stare pomniki, wniósł Girard, że czas zabudowania Teb przypada na rok 2960 przed Chr., założenia zaś pomników luksorskich na rok 1400 przed Chr.

W czasach późniejszych rozkopywano deltę w różnych miejscach, wiercono w niéj otwory świdrowe. W r. 1854 znaleziono pod Heliopolis w głębokości 60 stóp ang. skorupy naczyń z gliny palonéj, stąd Karol Lyell, przyjmując, że grunt w ciągu stulecia na-

rasta tam o sześć cali, obliczył wiek tych skorup na lat 12000. Podobnież odłamki znaleziono prawie w samym wierzchołku delty w głębokości 72 stóp ang.; gdy tu przyrost stuletni oceniono tylko na dwa cale i trzy linie, trzeba było skorupom tym przypisać starość 30000 lat.

Na podstawie tedy tak wątłych dowodów chciano utrzymywać, że przed dwunastu i trzydziestu tysiącami lat żył tam już człowiek i dosięgnął tego stopnia kultury, który się cechuje sztuką wyrabiania naczyń glinianych. Zwrócono wszakże później uwagę, że w Egipcie wykopywano zawsze studnie i kanały do znacznéj głębokości; szczątki przeto naczyń, rozrzucone po ziemi, łatwo dostawać się mogły do takich dołów, zwłaszcza, że drogi wiodły wzdłuż kanałów, a podróżni zabierali ze sobą dzbanki do wody; wydobywane zatém z ziemi skorupki nie upoważniają bynajmniéj do wniosków istotnego znaczenia.

W okolicach Kairu pokład spoczywający na podłożu piaszczystém posiada 8 metrów grubości; ponieważ według Girarda wysokość narostu gruntu wynosi w ciągu stulecia 0,126 metra, czyli 1,26 m. na tysiącolecie, wypływa stąd, że utworzenie całéj delty, licząc od jéj wierzchołka pod Kairem, trwało lat 6350. — Kjerulf w inny znów sposób czas ten oblicza. Powierzchnia delty nilowéj, jak przytoczyliśmy wyżéj, wynosi około 400 mil kw., co czyni 264960 milionów stóp kw.; jeżeli głębokość jéj ocenimy na 10 metrów czyli 31,8 stóp ang., to objętość całéj delty okazuje się równą 8,425,728 milionom stóp sześc. Z drugiéj strony ilość części stałych, jaka z Nilu w czasie wezbrania w ciągu sekundy opada, wynosi 130,9 stóp sześć, co na rok czyni 2064 milionów stóp sześć; wszystka przeto masa, stanowiąca deltę nilową, zniesioną być mogła w ciągu 8,425,728 : 2064=4082 lat. Rezultat tego rachunku niewiele wprawdzie od poprzedniego odstępuje, widzimy jednak łatwo na jak wątłych podstawach oba polegają. Bardzo dobitnie streszcza zarzuty, jakieby tu stawiać można było, Maks Eyth, naczelny inżynier w Egipcie za Halima-paszy: „Fellah, który brzeg swojéj łąki tamą otacza, może w ciągu jednego roku dorzucić kilka tysięcy lat do mozolnych obliczeń uczonych europejskich“.

Bardziéj jeszcze uderzający przykład takich trudności przedstawia nam inna delta, która także była przedmiotem wielu badań, mianowicie delta olbrzymiéj Mississipi, która z materyału doprowadzanego jéj przez ogromne dopływy buduje deltę przy swém ujściu do zatoki meksykańskiéj. Przyjmując rozległość téj delty na 13600 mil kw. ang., głębokość na $^1/_{10}$ mili ang., a ilość mułu sprowadzanego przez rzekę w ciągu roku na 3,702,758,400 stóp sześc.

ang., obliczył Lyell wiek téj delty na lat 67000, a w słynném swém dziele „o starożytności człowieka“ zaokrąglił go do 100000 lat. Ponieważ nadto pod Natchez, w górze doliny Mississipi, w pokładach dawniejszych aniżeli napływy delty, napotkano kości ludzkie, skłania się Lyell do wniosku, że człowiek w Ameryce północnéj żył już przed stu tysiącami lat, współcześnie z wygasłym mastodontem. Na podstawie danych nieco odmiennych okres tworzenia się delty Mississipi przedłuża Karol Vogt do 126000 lat.

Błyskotliwym tym wszakże liczbom przeczą rachunki o wiele skromniejsze, przeprowadzone przez inżynierów Humphreya i Abbota, którzy w latach 1851—61 zajmowali się opracowywaniem planu ochrony wybrzeży od niszczących je zalewów. Poznali oni przedewszystkiém, że grubość pokładów napływowych, przyjmowana dawniéj na $1/_{10}$ mili ang. czyli 528 stóp, w saméj rzeczy wynosi średnio 20 do 40 stóp zaledwie; ocenili daléj, że objętość mułu czyni $\frac{1}{2000}$ objętości wody, któréj rzeka unosi rocznie 20 trylionów stóp sześc., a z tych danych wywnioskowali, że dla wypełnienia całéj delty starczyło 2460 lat. Uderzająca sprzeczność tych obliczeń wystarcza do wykazania, że napływy rzeczne są to chronometry zbyt niepewne, by z nich czasy dziejów ziemi odczytywać można było. Tém trudniéj nadawaćby się mogły do tego osady morskie, które pod wpływém mnóstwa różnorodnych czynników znacznéj ulegać mogą w biegu wieków zmienności. Wszelkie zatém usiłowania, dążące do oznaczenia czasu z grubości pokładów geologicznych, uważać trzeba za daremne.

Inna metoda dochodzenia długości najnowszych przynajmniéj okresów geologicznych posługuje się drogą niejako wręcz przeciwną; zamiast obliczać przeciąg czasu potrzebny do utworzenia pewnego pokładu, stara się ona oznaczyć szereg lat, konieczny do jego zniszczenia. Szczególnie téż zwracano pod tym względem uwagę na działanie wodospadów.

Najwięcéj znany przykład przedstawia wodospad Niagary. Rzeka Niagara, sprowadzając wody z jeziora Erie do niżéj położonego jeziora Ontario, rzuca się z wysokości 54 metrów do głębokiego parowu, który sama sobie wyżłobić miała. Ściana skalista, obok któréj woda spada, składa się w górnéj swéj części z grubego pokładu twardego wapienia, pod którym spoczywają łatwo niszczące się warstwy marglu i gliny łupkowéj, a niżéj jeszcze piaskowiec stanowiący dno parowu. Potężny rzut wody spłukuje margiel i glinę, podmywając pokład wapienia, który, pozbawiony w ten sposób podparcia, załamuje się i opada bryłami w przepaść. Wodospad za-

tém cofa się wstecz ku jezioru Erie, a w dalekiéj przyszłości, gdy spód parowu dobiegnie dna tego jeziora, ulegnie zupełnéj zagładzie.

Z danych, zebranych od osadników, którzy okolicę tę zajęli przed kilkudziesięciu laty, okazuje się, że w ciągu roku wodospad cofa się mniéj więcéj o trzecią część metra. Ponieważ zaś długość dotąd wyżłobionego jaru wynosi około 10 kilometrów, na dokonanie téj pracy przeto Niagara, znowu według rachunku Lyella, potrzebowała około 36.000 lat. Niedawno wszakże zmarły geolog norwegski Kjerulf, który wogóle nie godzi się z obliczeniami prowadzącemi do liczb tak wielkich, nie ufa także i chronometrowi Niagary, znajduje bowiem dowody, że rzeka toczyła niegdyś znaczniejsze ilości wody, a tém samém powodować mogła szybsze niszczenie, katastrofa zaś, wywołana trzęsieniem ziemi, w jednéj chwili sprowadzić mogła zagładę, na jaką w warunkach normalnych trzebaby było kilku tysiącoleci.

W ogólności jednak geologowie, chociaż za ścisłością obliczeń takich nie obstają, widzą w nich dowód, jak olbrzymiego czasu dla ujawnienia swych działań wymagają erozye, których skutki należą do najnowszych okresów dziejów ziemi. Okazują to w szczególności rachunki, przeprowadzone przez Heima nad erozyą w obszarze szwajcarskiéj rzeki Reuss, uchodzącéj do jeziora Czterech Kantonów. Przez zestawienie ilości materyału, jaką rzeka corocznie do ujścia swego unosi, z obszarem przez rzekę wymulonym, którego wymiary ocenić można ze śladów dawnych ograniczeń doliny, oblicza wspomniony geolog, że na dokonanie całéj téj roboty, czyli na wyżłobienie doliny, potrzebowała rzeka 1151 tysiącoleci.

Za również długiemi, albo i dłuższemi jeszcze okresami przemawiają i inne objawy geologiczne, których rezultaty na powierzchni ziemi dostrzegamy. Wielkie wulkany nie wytworzyły się skutkiem pojedyńczego wybuchu, ale są następstwem długiego szeregu następujących po sobie wybuchów; jeżeli zaś dla zbudowania góry, jak Etna, trzeba było niezliczonych chyba wybuchów, cóż sądzić można o olbrzymich wulkanach hawajskich, wznoszących się od dna morskiego na 10000 metrów w górę i utworzonych przeważnie z cieńkich warstw zeszklonéj lawy, rozlanych jedne nad drugiemi. Pod działaniem znów wód i powietrza wulkany ulegają stopniowéj zagładzie, pozostawiając w swych szczątkach i ruinach wymownych świadków téj roboty niszczącéj, która zapewne ciągnąć się musiała dłużéj, aniżeli pierwotne narastanie wulkanu do olbrzymich wymiarów. Tak samo zresztą i całe pasma gór, według pojęć obecnie w geologii panujących, są następstwem powolnego mar-

szczenia się, fałdowania skorupy ziemskiéj, i tak samo są na pożerającą je walkę z czynnikami zewnętrznemi wystawione; według Heima, szczyty Alp centralnych wznosiły się dawniéj o tysiąc albo dwa tysiące może metrów wyżéj aniżeli za czasów naszych, a cały ich ogrom dzisiejszy jest już połową tylko masy pierwotnie wzniesionéj. Jakżeż długie miliony lat oznaczyć musi geologia na stopniowe wytwarzanie się takich potężnych pasm górskich, a potém na ich ścieranie i niszczenie.

Wszystkie te wszakże chronometry ziemi nie mogą posłużyć do dokładnego, a choćby i przybliżonego tylko odczytania czasu, jakikolwiek bowiem objaw za podstawę obliczeń przyjmiemy, wszędzie nastręczają się sprzeczności podobne, jakie wiedzieliśmy na przykładach wyżéj przytoczonych. Odkąd Svedenborg złożył królowi szwedzkiemu powinszowanie, że panuje nad krajem, który się kosztem morza powiększa, starano się wykryć skalę tego podnoszenia się lądu; ale gdy badacze jedni wnosili ztąd, że ruch ten od półmiliona lat zachodzi, widzą tu inni ślady działalności sięgającéj wstecz ledwie o dwa dziesiątki tysiącoleci.

Do powyższych czysto geologicznych metod rachuby czasu w dziejach ziemi przybyła jeszcze świeżo metoda, którąby nazwać można astronomiczno-geologiczną, powołuje ona bowiem na pomoc wielkie okresy astronomiczne, na których znaczenie zwrócił uwagę szczególniéj Adhémar.

W punkcie przysłonecznym swéj drogi, czyli poprostu najbliżéj słońca, znajduje się obecnie ziemia w tym czasie, gdy na półkuli północnéj panuje zima, a na południowéj lato; zkąd wypada, że półrocze zimowe trwa dla półkuli północnéj nieco krócéj aniżeli letnie, gdy dla półkuli południowéj stosunek jest przeciwny. Korzystne to wszakże położenie półkuli północnéj nie jest niezmienne, punkt bowiem przysłoneczny przesuwa się po ekliptyce i na jéj obieżenie potrzebuje około 21000 lat; po upływie zatém połowy tego okresu, za lat 10500, półkula południowa doznawać będzie przyjaźniejszych warunków klimatycznych, a po dalszych 10500 latach korzyść ta przejdzie znów na rzecz półkuli północnéj. Poglądy Adhémara rozwinęli głównie Croll i Schmick; pierwszy za następstwo tych okresów astronomicznych uważa przedewszystkiém peryodyczną zmianę temperatury na obu półkulach, drugi zaś kładzie nacisk na to, że ztąd zachodzi kolejne gromadzenie się wód koło jednego lub drugiego bieguna, zaczém idą kolejne zmiany klimatu.

Objawy te posłużyły do wyjaśnienia owego zagadkowego zniżenia temperatury w pewnéj epoce istnienia ziemi, którą nazwano

okresem lodowym. W takim razie jednak okres lodowy nie obejmował całéj naraz ziemi, ale przypadał naprzemian na półkuli północnéj lub południowéj i powtarzać się musiał za każdym obiegiem punktu przysłonecznego, mniéj więcéj zatém co lat 21000. Według tych zatém poglądów okres lodowy jest zjawiskiem peryodyczném, powtarzającém się statecznie w dziejach ziemi, a każda półkula przechodzić już musiała cały szereg takich okresów lodowych.

Otóż, chociaż peryodyczność okresów lodowych jest domysłem bardzo wątpliwym, probowano już zastosować te okresy do celów chronologii ziemi, Mayer - Eymar, mianowicie, przyjmując, że w tworzeniu się skorupy ziemskiéj rozróżnić należy piętra, odpowiadające okresom obiegu punktu przysłonecznego, obejmujące zatém po 21000 lat dziejów ziemi, naliczył od początku epoki trzeciorzędowéj takich piętr piętnaście, skąd tedy wynika, że od początku téj doby geologicznéj do czasów naszych upłynęło około 315000 lat. Blytt wszakże, opierając się na innych dostrzeżeniach i rozumowaniach, podobnemi piętrami, a tém samém i tysiącoleciami, szafuje daleko obficiéj. W pewnym mianowicie profilu utworów trzeciorzędowych, odsłoniętym przy budowie kolei pod Méry-sur-Oise, dojrzał on szereg warstw, odpowiadający 47 obiegom punktu przysłonecznego; w systemacie zaś Mayera temuż samemu układowi warstw odpowiadają dwa tylko piętra, dwa obiegi punktu przysłonecznego. Znaczy to innemi słowy, że jeden i tenże sam ustęp dziejów ziemi według jednego z tych badaczy trwać miał ledwie 42000, według drugiego milion lat z górą.

Tak uderzająca sprzeczność dowodzi zapewne dostatecznie, że i tego chronometru geologia odczytać nie może, albo téż że odwoływanie się do niego jest nieuzasadnione i niewłaściwe.

XI.

Niepomyślne te próby odcyfrowania wieku ziemi nie przeszkadzają geologom rozpościerać dziejów naszéj planety na tle nieokreślonego i dowolnie długiego przeciągu czasu; w ostatnich wszakże czasach nasunęła się wątpliwość, czy w spekulacyach tyczących się dziejów ziemi możemy tak dowolnie rozporządzać nieograniczonością czasu. Jeden z najznakomitszych mianowicie fizyków dzisiejszych, William Thomson, opierając się na argumentach porządku fizyczno-astronomicznego, kładzie poważne swe *veto* przeciw téj dowolności, wykazując, że od wytworzenia się skorupy ziemskiéj, a przynajmniéj od chwili, gdy stała się ona zdolną do przy-

jęcia istot żyjących, upłynęło nie więcéj nad dziesięć, lub co najwyżéj piętnaście milionów lat.

Pierwszy swój dowód czerpie fizyk angielski z objawów ciepła wewnętrznego naszéj planety, o którém świadczy przyrost temperatury, jaki napotykamy w miarę zagłębiania się w ziemię (1). Skoro zaś wnętrze ziemi posiada temperaturę wyższą, ciepło przepływać ztamtąd musi bezustannie ku zimniejszéj jéj powierzchni, zkąd rozchodzi się w przestrzeń światową; ziemia przeto i obecnie jeszcze traci ciepło w pewnym stosunku, który oznaczyć i obliczyć można. W takim razie, na podstawie znanych praw fizycznych, można też z teraźniejszego rozkładu temperatury wywnioskować, jak ciepło rozłożone było w ziemi przed stu tysiącami lub przed milionem lat, tak samo, jakbyśmy na podstawie obliczeń matematycznych przepowiedzieć mogli, jaki będzie rozkład ciepła w przyszłości. Przeprowadzone dotąd badania wskazują, że temperatura ku wnętrzu ziemi wzrasta przecięciowo o 1°F na każde 100 stóp ang., a na podstawie téj, drogą wyżéj wskazaną, doszedł Thomson, że przed dziesięciu mniéj więcéj milionami lat ziemia właśnie co skrzepła, albo też poczynała krzepnąć, i że następnie, po upływie niewielu stosunkowo tysięcy lat zakrzepła powierzchnia ziemi tak dalece już zastygła, że w niektórych przynajmniéj miejscach była już przydatną na siedlisko istot żyjących, jakie obecnie znamy. Temperatura bowiem powierzchni, w niektórych przynajmniéj okolicach, nie przenosiła już tego stanu ciepła, jaki teraz zwierzęta i rośliny znoszą łatwo w stronach zwrotnikowych, przyrost zaś temperatury w głąb' ziemi mógł wtedy wynosić 1° na każde sześć lub dziesięć cali, coby nie przeszkadzało utrzymywaniu się życia roślin. W przeszłości odleglejszéj, jak uczy tenże sam rachunek, powierzchnia ziemi musiała być ciekłą i rozżarzoną do silnéj białości, zgoła nieprzydatną do utrzymywania życia jakichkolwiekbądź istot. Wynika z tego zatém, że najniższe nawet organizmy nie mogły się ukazać na ziemi przed dziesięciu lub co najwyżéj przed piętnastu milionami lat.

Drugi swój argument opiera Thomson na spostrzeżeniu, że obrót dzienny się zwalnia, co innemi słowy znaczy, że długość doby wzrasta. Zdumiewający i niespodziany dla nas ten objaw wyczytano w ruchach księżyca; przez zestawienie, mianowicie, dawnych jego zaćmień z obserwacyami nowszemi poznano, że ruch naszego satelity stopniowo się przyśpiesza, chociaż przyrost ten szybkości jest drobny, wynosi bowiem tylko 12″ na stulecie. Spostrzeże-

(1) Ob. „Zagadka wnętrza ziemi", „Ateneum" z r. 1888, t. I. str. 426 i nast.

nie to wywołało długą dyskusyę astronomiczną i matematyczną, z której się wreszcie okazało, że na karb ruchu samego księżyca przypada część tylko tego przyśpieszenia, reszta jest następstwem zmniejszania szybkości obrotu ziemi. Skoro bowiem szybkość ta maleje w ciągu wieków, czyli skoro wzrasta długość dnia, która stanowi jednostkę czasu, czas przez nas liczony ciągle opóźniać się musi; księżyc więc bieży pozornie coraz prędzéj, gdy w saméj rzeczy to ziemia coraz powolniéj wiruje. Zwalnianie szybkości obrotu ziemi jest zresztą bardzo nieznaczne, wynosi bowiem, wedle rachunków Adamsa, godzinę ledwie na 16000 lat, fakt ten jednak obecnie zaprzeczeniu już ulegać nie może.

Przyczyną tego powolnego zmniejszania się szybkości obrotu ziemi jest działanie przypływów morskich. Pod wpływem przyciągania księżyca i słońca woda oceanu wznosi się i rozlewa kolejno w różnych punktach globu, jakby przyciąganiem tém powstrzymywana, ziemia przeto ustawicznie wiruje wewnątrz téj masy ciekłéj; sprowadza to bezustanne tarcie, opór ciągły, który osłabia energię obrotu ziemi dokoła jéj osi. Dopóki więc przypływy i odpływy morza istniéć będą, szybkość obrotu ziemi ustawicznie zmniejszać się musi.

Wypływa stąd tedy daléj, że w przeszłości ziemia wirować musiała prędzéj. Dajmy, że od czasu zakrzepnięcia powierzchni ziemi upłynęło lat tysiąc milionów; w takim razie rachunek uczy, że planeta nasza wirować wtedy musiała co najmniéj dwa razy prędzéj aniżeli obecnie, czyli że doba trwała wówczas 12 tylko a nie 24 godzin. W takim jednak razie nastręcza się nam inna niemożebność. Wiadomo bowiem, że następstwem osiowego obrotu ziemi jest jéj podbiegunowe spłaszczenie; przy ruchu tedy dwa razy szybszym wzbudzałaby się na równiku siła odśrodkowa czterokrotnie większa, a stąd i spłaszczenie ziemi musiałoby być o wiele znaczniejszém, aniżeli jest obecnie.

Skoro zaś ziemia tak słabe tylko posiada spłaszczenie, w czasie przeto, gdy powierzchnia jéj zakrzepła, wirować ona musiała z prędkością niewiele tylko większą niż obecnie; a że, daléj, szybkość obrotu ustawicznie maleje, epoka skrzepnięcia bryły ziemskiéj przypadać mogła stosunkowo niezbyt dawno, na podstawie zaś rachunku swego wykazuje Thomson, że mogło to miéć miejsce przed dziesięciu milionami lat niespełna.

Wnioski swoje wypowiada fizyk angielski ze wszelką stanowczością, nie zwróciły one wszakże uwagi geologów i na ich poglądy nie oddziałały. Dzieje rozwoju ziemi, podobnie jak i rozwoju żyjących na niéj istot, obywają się dotąd bez chronologii, czas jest

w nich czynnikiem nieokreślonym, którego pod istotny rachunek nie biorą. Ale jak legendy odnoszące się do pierwotnego bytu człowieka wtedy dopiero w poważną historyę rodu ludzkiego przechodzą, gdy mogą się na chronologii oprzéć, tak samo i geologia zdobyć winna środki, któreby jéj pozwoliły dokładniéj mierzyć rozległe obszary jéj czasów.

XII.

Jeżeli tyle szkopułów napotykamy przy rachubie czasów minionych, to trudności jeżą się więcéj jeszcze, gdy od przeszłości wzrok ku przyszłości odwrócimy, by odgadnąć, jak długo jeszcze ziemską naszą bryłę darzyć będzie słońce dostatecznym zasobem ciepła i światła, by życie na niéj istniéć i utrzymywać się mogło. I tu jednak wydobyła nauka niejakie wskazówki, by na nich domysły swe oprzéć, a w kwestyi téj pójdziemy znowu za Thomsonem, który poglądy swe w téj kwestyi wypowiedział przed kilku laty w odczycie publicznym.

Rozsyłając na wszystkie strony przestrzeni promienie ciepła swego, traci słońce bezustannie olbrzymie zasoby energii. Z przeprowadzonych niegdyś przez Pouilleta badań nad natężeniem promieniowania słonecznego oceniono, że ciepło przez słońce w ciągu każdéj sekundy wysyłane odpowiada pracy, wyrażającéj się przez niezmierną liczbę 476 sekstylionów (476 z 21 zerami) koni parowych, a proces ten trwa w tymże samym stosunku od kilku albo i wielu milionów lat. Jakże zdołamy proces ten wytłómaczyć?

Na podstawie przeprowadzonych dotąd badań naukowych wiemy w ogólności, że słońce składa się z masy ognisto-płynnéj, która ulegać musi stopniowemu oziębianiu, choćby może otrzymywała niekiedy drobny dopływ nowéj energii przez przypadkowo spadające meteory. W ogólności znaną jest teorya Helmholtza, mająca za sobą znaczny stopień ścisłości naukowéj i przy pomocy któréj objawy bytu słońca śledzić można aż do czasów przedhistorycznych. Teorya ta da się treściwie w następujący sposób przedstawić.

W pewnym czasie, który przypada w przeszłości już prawie niedościgłéj, wytworzyło się ciepło słoneczne przez skupienie części materyi, przyciągniętych ku sobie z przestrzeni światowéj pod wpływem działania siły ciężkości; części te materyi przez swe złączenie utworzyły masę dzisiejszego układu słonecznego. Żar potężny téj masy, jaki powstał przez wzajemne uderzenia tych części, zmniejszał się przez stopniowe oziębianie, a w skutek tego masa mogła się ściągać i objętość swą zmniejszać.

Teorya Helmholtza opiera się niezbędnie na przypuszczeniu, że masa słoneczna pozostaje dotąd w stanie płynnym, gdyż ciało stałe, choćby do najwyższéj jasności rozżarzone, musiałoby po krótkim czasie utracić żar swój na powierzchni i przybrać powłokę ciemną. Powierzchnia bowiem tego ciała stałego otrzymywaćby mogła ciepło z warstw głębszych jedynie przez przewodnictwo, a dopływ taki nie wynagradzałby ubytku, powodowanego stygnięciem powierzchni. Przy masie płynnéj, natomiast, substancya zewnętrznych warstw słońca, która ciepło wysyła, gęstniejąc przy stygnięciu, musi się cofać ku wnętrzu, podczas gdy gorętsza substancya płynna pędzona jest z wnętrza i wydostaje się na powierzchnię. Straszliwe to prądowanie, utrzymujące się bezustannie w olbrzymiéj, ognisto płynnéj masie słonecznéj, stanowi podstawę dzisiejszéj fizyki słońca, która się coraz więcéj rozwija przy pomocy badań spektralnych.

Aby powziąć dokładniejsze wyobrażenie o ilości ciepła, jaka bezustannie doprowadzana jest do powierzchni słońca i w przestrzeń wysyłana, należy wyżéj podaną, olbrzymią liczbę 476×10^{21} koni parowych podzielić przez wielkość powierzchni słońca $6{,}1 \times 10^{18}$ metrów kwadratowych, a wypadający stąd iloraz 78000 koni parowych daje nam wielkość promieniowania słonecznego w ciągu sekundy z każdego metra kwadratowego, wyrażoną w jednostkach mechanicznych.

Wyobraźmy sobie ośm machin parowych, każdą o sile 10000 koni, któreby nakładem wszystkiéj swéj pracy wprawiały w ruch koło łopatkowe, umieszczone w cieczy zapełniającéj koryto o przecięciu jednego metra kwadratowego: metr kwadratowy cieczy, w tak niesłychany sposób wzburzonéj, wysyłałby tęż samę ilość ciepła, co każdy metr kwadratowy powierzchni słońca.

Natężenie to promieniowania słonecznego pozwala obliczyć, że idące za tém ściąganie się promienia słonecznego wynosi około 35 metrów rocznie, co w ciągu dwu tysięcy lat czyni dziesięciotysiączną część jego długości. Jeżeli więc promieniowanie słońca jest obecnie takiém samém, jakiém było przed 200.000 lat, to promień słoneczny musiał być podówczas o jednę odsetkę większy.

Jeżeli zaś działalność słoneczna w takiém samém, jak obecnie, natężeniu promieniowania utrzymywać się ma jeszcze przez dwadzieścia milionów lat, to promień słoneczny zmniejszyłby się przeszło o połowę. Dodać wszakże należy, że w takim razie gęstość słońca byłaby wtedy jedenaście razy większą od gęstości wody, czyli wyrównałaby gęstości ołowiu, nie mogłoby przeto już zachodzić prawidłowe zagęszczenie, jak to ma miejsce co do gazów.

Należy więc przyjąć, że w przyszłości ilość ciepła wysyłanego przez słońce zmniejszy się nader znacznie, zwłaszcza przy zmniejszeniu powierzchni promieniującéj.

Wskazana tu ocena promieniowania słonecznego polega, jak powiedzieliśmy, na dawniejszych obserwacyach Pouilleta. Dokładniejsze pomiary natężenia tego promieniowania przeprowadził niedawno Langley na górze Whitney w Kalifornii, w wysokości około 15000 stóp ang. nad poziomem morza. Na podstawie tych obliczeń przyjąć należy, że ciepło wysyłane w ciągu sekundy przez jeden metr kwadratowy jego powierzchni wyraża się przez 133000 koni parowych, zamiast podanéj wyżéj liczby 78000, co znaczy powiększenie w stosunku 1 : 1,7. Skoro zaś słońce przez promieniowanie traci więcéj ciepła, aniżeli w powyższych obliczeniach przyjmowano, przeto téż i otrzymane z rachunków tych długości czasów skrócić należy w stosunku 1 : 1,7. Zamiast więc obliczonych wyżéj dwudziestu milionów lat, wypada, że promieniowanie słońca, niezbędne do utrzymania życia na ziemi, trwać może jeszcze przez dwanaście milionów lat tylko. Uwzględniając zaś inne jeszcze okoliczności, a zwłaszcza to, że wnętrze słońca posiadać może gęstość większą, i że promieniowanie w czasach ubiegłych odbywać się mogło z żywością odmienną, przypisuje Thomson słońcu nie więcéj nad jakie dwadzieścia milionów lat działalności w czasach ubiegłych i pięć do sześciu milionów lat w przyszłości.

Cokolwiekbyśmy o ścisłości obliczeń tych trzymali, nie może to uwłaczać bynajmniéj saméj ich zasadzie. Zanim zaś, w miarę oziębiania słońca, zamrze przyroda ziemska, o wiele wcześniéj zapewne ród ludzki znajdzie kres bytu swego; a wtedy téż dopiero uleczą się choroby jego i rany ukoją, bo nad medykamenty wszelkie, nad żelazo i nad ogień, czas najdzielniejszym jest lekarzem.

Stanisław Kramsztyk.





JAN COLINS I JEGO NASTĘPCY.

I.

Krótki życiorys Jana Colinsa. — Napoleonista. — Badania jego nad przyczynami pauperyzmu. — Projekt stowarzyszenia przyjaciół ludzkości. — Nadzieja pokładana w Napoleonie III. — Dzieła Colinsa.

Filiacya myśli, rodowód pomysłów — stanowi jednę z ciekawych i bardzo pouczających stronic księgi życia umysłowego ludzkości, chociaż niezawodnie należy do tych, które z wielką trudnością dają się odczytywać. Widzimy, że w jednym z krajów europejskich powstaje pewien pomysł i wywoławszy gwar i zajęcie wielkie, następnie uchodzi gdzieś w głębiny, i umysłowość narodu przestaje się nim interesować. Mijają lata, i oto wśród innego narodu i wśród innych okoliczności, pojawia się podobny do poprzedniego pomysł. Zajmują się nim ludzie. I spostrzegamy, że i w pierwotnéj jego ojczyźnie znowu się wznoszą i wysoko piętrzą fale duchowe, unosząc na swym grzbiecie ów dawny a — jak się zdawało — porzucony ostatecznie pomysł. Czy się wynurzył z zapomnienia dawny, czy téż późniejszy wzburzył na nowo uspokojoną już powierzchnię? Pytania te nasuwają się same, gdy rozważymy historyą kwestyi upaństwowienia czyli raczéj unarodowienia ziemi. Czy jest ona przypomnieniem z dawniéjszych czasów? Czy powstała naraz w wielu umysłach? Czy téż przypisać ją raczéj temu, który w naszém stuleciu zastanawiał się nad tym przedmiotem nietylko najwcześniéj, ale z wielką systematycznością i gruntownością? Mówię o Janie Colinsie, wielce cenionym przez belgijskich socyalistów pisarzu, ale mało rozgłośnym, albowiem nie olśniewał świetnością stylu, a więcéj komentował innych, aniżeli sam od siebie mówił, a z tego powodu nużył czytelnika swemi rozwlekłemi dziełami.

Jan Wilhelm Cezar Hipolit Colins urodził się 24 grudnia 1783 r. w Brukseli. Ojciec jego, baron, stary szlachcic wyprowadzał swoję genealogią aż od Karola Śmiałego. Jan pobiérał pierwszą naukę od księdza, przyjaciela swego ojca. Kiedy miał lat 17, posłano go do Paryża, do szkoły politechnicznéj—Belgia należała wówczas do Francyi. W Paryżu młodego chłopca olśniła sława wojenna, którą armia francuska zdobywała na polach europejskich, i bez długiego namysłu, zaciągnął się on do huzarów. W wojsku był dobrym kolegą i dzielnym żołnierzem; raz nie przyjął nawet nagrody, albowiem — jak powiadał — wielu godniejszych od niego jéj nie otrzymało; w r. 1815 w bitwie pod Fleurus, jako adjutant jenerała Excelmanns'a, wykonał na czele jazdy świetny atak do pozycyi mocno obsadzonéj na moście nad Sambrą, przyczém zabrał nieprzyjacielowi 6 dział.

Colins stał się gorącym i szczerym napoleonistą. W r. 1815 nawoływał on do walki zawziętéj w obronie cesarza, do walki na śmierć i życie przeciwko najazdowi. Jeden z jego wyznawców, Fryderyk Borde, podaje ciekawy szczegół z bitwy pod Waterloo. Colins był 18 czerwca wraz z korpusem Grouchy w Wavres. Kiedy posłyszano kanonadę pod Waterloo, zrobił on rekonesans i przekonał się, że można było, przeszedłszy most Saint-Etienne, dać pomoc Napoleonowi. Pośpieszył więc coprędzéj do jenerała Excelmans'a i prosił go, by ten natychmiast dał wojsku rozkaz do marszu.

— Nie można — odrzekł jenerał— Grouchy nie pozwala.

— Jakto nie pozwala?! — wykrzyknął Colins — a więc wymów mu posłuszeństwo i każ go aresztować, jenerale!

Podobnąż radę dawał Excelmans'owi, kiedy rozeszła się pogłoska o kapitulacyi Paryża.

— Jenerale — zawołał — trzeba rozstrzelać zdrajców Fouché'go i Taleyrand'a i uwięzić deputowanych antipatryotów, a potém wywieśmy chorągiew czerwoną, ogłośmy ojczyznę w niebezpieczeństwie i umrzyjmy z bronią w rękach, albo ocalmy Francyą!

Kiedy ogłoszono detronizacyą Napoleona, Colins był naczelnikiem szwadronu. Podał się natychmiast do dymisyi. Chcąc go zatrzymać w armii, obiecywano mu awans, ale miał on odrzec na to: „nigdym jeszcze nie przewracał kaftana".

Opuściwszy służbę wojskową, udał się do Belgii a następnie do Ameryki. Tam zajmował się naukami przyrodniczemi i techniką: jak opowiadają — studyował głównie marynarkę podwodną i balony, chcąc je użyć za narzędzie oswobodzenia więźnia wyspy Św. Heleny. Zresztą Colins poprzednio już okazywał skłonność do pracy naukowéj. W r. 1811, stojąc z pułkiem w Alfort, uczęszczał

na wykłady szkoły weterynaryjnéj i otrzymał pierwszą nagrodę z rolnictwa. W r. 1818, kiedy znajdował się z wojskiem pod Lipskiem, otrzymał za swoję pracę od cesarskiéj akademii rolniczéj medal złoty, a w 1814 r. był powołany na jéj członka. W Ameryce rychło pozyskał także uznanie: w r. 1818 akademia nauk przyrodniczych w Filadelfii, mianowała go swoim członkiem. W następnych latach widzimy go na wyspie Kubie, gdzie się zajmował rolnictwem i praktyką lekarską. „Najpiękniejsze moje lata — powiadał późniéj — przepędziłem na Kubie, albowiem zajmowałem się leczeniem ubogich“.

Kiedy w r. 1830 wybuchła rewulucya w Paryżu, Colins wrócił do Francyi z zamiarem agitowania na korzyść syna Napoleona. Prawdopodobnie, nie znajdując poparcia, nie mógł w tym kierunku rozwinąć swéj czynności; przynajmniéj, nic nie wiemy o niéj. Wiadomo tylko, że osiadłszy w Paryżu, żył bardzo skromnie, prawie ubogo, czytał dużo, chodził niemal na wszystkie wykłady uniwersyteckie, przestawał przeważnie z robotnikami i dzielił się z nimi, nietylko myślami i poglądami, ale także i szczupłym swym dochodem. „Wielu z was mnie zna, a że życie moje pełne jest poświęcenia się, to łatwo sprawdzić możecie“, — pisał w r. 1848 do robotników w memoryale o urządzeniu własności. Gotowości swéj do poświęcania się omal nie przypłacił życiem w strasznych dniach czerwcowych.

Za czasów rzeczypospolitéj r. 1848 i 1849, Colins zajmował się czynnie propagandą swoich poglądów. Przedstawił on parlamentowi robotniczemu, obradującemu pod prezydencyą Ludwika Blanc'a, projekt p. t. *Association universelle des Amis de l'humanité, du droit dominant la force, de la paix, du bien-être genéral, pour l'abolition du prolétariat et des révolutions* (Stowarzyszenie powszechne przyjaciół ludzkości, prawa przed siłą, pokoju, dobrobytu ogólnego, w celu usunięcia proletaryatu i położenia końca rewolucyom). *La Tribune des Peuples*, wychodząca nakładem Ksawerego Branickiego pod redakcyą Adama Mickiewicza, ogłosiła w maju 1840 r. w swych łamach ten projekt. Taż sama *Tribune* wydrukowała we wrześniu drugi artykuł Colinsa p. t. *Socialisme rationel*, w którym autor przedstawiał korzyść, potrzebę i możność utworzenia powszechnego stowarzyszenia proletaryuszów, w celu zniweczenia pauperyzmu i położenia końca rewolucyom. Proletaryuszów dzielił on na ekonomicznych i „moralnych“, zaliczając do ostatniéj kategoryi tych wszystkich ludzi, którzy popierali sprawę proletaryatu. „Po roku 48 — pisał on — każdego, który popierał sprawę szlachty, nazywano a r y s t o k r a t ą, chociażby to był chłop poślednі; tego zaś,

który popiérał sprawę burżuazyi nazywano demokratą, chociażby był szlachcicem, jak Montmorency lub Mirabeau" (1). To samo daje się zastosować i do sprawy proletaryuszów. Zdaniem Colinsa, należało nawet przeważnie rachować na proletaryuszów moralnych, zwłaszcza na księży, jako tych, co z zasady poświęcać się powinni. Proletaryusze ekonomiczni, nie będąc samodzielnymi, potrzebują kierownictwa proletaryatu moralnego. „Są oni rzeczami, nie osobami. To téż zdolni być tylko narzędziem rewolucyi" (2). Na socyalistów ówczesnych także nie rachował, albowiem każdy z nich — zdaniem autora — uważał tylko własną teoryą za jedynie zbawienie przynoszącą. „Jak słońce rozprasza mgłę, tak stowarzyszenie powszechne — mawiał — zmiecie wszystkie socyalizmy".

Wkrótce jednak Colins przekonał się, że nie można rachować na duchowieństwo, które z opozycyi przeciwko ruchowi rewolucyjnemu stało się jeszcze więcéj teokratyczném, aniżeli poprzednie, prawdziwie ultramontańskie. Znowu więc, z wejściem na tron Napoleona III, ożyła w nim dawna wiara w wielką misyą dynastyi napoleonowskiéj. Zdawało mu się, że autokrata tylko, silny i światły, zdolen byłby przeprowadzić radykalne reformy ekonomiczne i zaprowadzić w szkołach racyonalne nauczanie. Nie miało się jednak spełnić jego *pium desiderium*.

Obie rozprawki, drukowane w dzienniku Mickiewicza, wyszły oddzielnie. Zawiérają one zwięźle i logicznie napisany całkowity system Colinsa. Następne dzieła jego rozwałkowywały tylko — można powiedziéć — ich treść. Tytuły tych dzieł są następujące:

Qu'est-ce que la science sociale? (1851—1854), 4 tomy;

L'économie politique, source des revolutions et des utopies prétendues socialistes (1856), 3 tomy;

Sociéte nouvelle, sa nécessité (1857), 2 tomy;

De la souveraineté, 2 tomy;

Science sociale, 5 tomów;

De la justice dans la science hors l'Eglise et hors la Révolution (1861), 3 tomy.

Ostatnie dzieło, napisane z powodu dzieła Proudhona p. t. O sprawiedliwości w rewolucyi i kościele, jest krytyką poglądów tego autora, któremu głównie zarzuca, że szuka sprawiedliwości nie tam, gdzie należy, albowiem szukać jéj trzeba w wiedzy.

---

(1) La Tribune des Peuples. N. 93, 1849 r. — (2) *L. c.* N. 107.

Wydawcą dzieł Colinsa był jego uczeń, Szwajcar Hugentobler. Oprócz powyższych dzieł, wyszło jeszcze parę broszur i zostało sporo rękopismów, które jego wyznawcy ogłaszają częściowo obecnie.

Colins umarł w Paryżu 12 listopadą 1859 r.

II.

Porządek i anarchia. — Antropomorfizm i pauperyzm materyalny. — Z wzrostem oświaty rozpoczyna się krytyka: naprzód antropomorfizmu, następnie rządu, wreszcie porządku społecznego. — Nowe społeczeństwo: jego podstawa materyalna i moralna. — Prawda negatywna i pozytywna. — Metafizyka Colinsa. — Wspólne cechy z Proudhonem: kwestya narodowości i anarchii. — Uznanie dla Leroux i Pascala — Przyszły ustrój: dzierżawy, dochody społeczne, wychowanie i nauczanie publiczne. — Zarobki, rodzina, opieka nad nieszczęśliwymi. — Nowy porządek nie może się zamknąć w jedném jakiém państwie.

Podobnie jak Saint-Simon, Colins wychodzi także z założenia, że porządek jest podstawą, warunkiem niezbędnym życia społecznego. Najgorszy porządek jest jeszcze lepszy od nieporządku, który jest tak dolegliwy, że społeczeństwo woli najuciążliwszy despotyzm, byle wydobyć się tylko mogło ze stanu anarchicznego. Utrzymać porządek można albo siłą, albo rozumem. Tylko oparty na rozumie, na wiedzy, porządek jest trwały i niewzruszony. Porządek, który opiera się na sile, czyli na przewadze materyalnéj jednych nad drugimi, zawsze jest słaby i, ażeby mógł się utrzymać, potrzebuje pewnej podstawy, któraby dawała mu sankcyą i stosowała pewien porządek moralny. Podstawę taką moralną przedstawia religia, która właściwie jest spólnością przekonań tak o dobrém jak o złém. Spólność taką może dać albo wiara, albo rozum. W czasach niedojrzałości umysłowéj, ciemnoty powszechnéj, może wytworzyć ją tylko wiara. Pozostaje wówczas antropomorfizm tj. hipoteza bogów albo Boga. W miarę jednak dojrzewania umysłów, ludzie zaczynają rozumować tj. filozofować i przekonywają się o niedorzeczności antropomorfizmu. To prowadzi ich do panteizmu, czyli zamaskowanego materyalizmu, a następnie do odrzucenia wszelkiej powagi, czyli wszelkiej sankcyi prawa i obowiązku, tj. do anarchii moralnéj i społecznéj, któréj wynikiem ostatecznym i koniecznym musi być rozprzężenie społeczne, *śmierć społeczna*. Ażeby zapobiedz temu, ażeby powstrzymać szerzenie się anarchii, trzeba było nie dopuścić szerzenia się rozumowania, trzeba było okiełznać, spętać umysły, trzeba było ugruntować *ciemnotę społeczną, pauperyzm moralny*. Prawodawca więc związał mniejszość rozumującą interesem, który

skłania ją do podtrzymywania religii przesądnéj w masach i do tajenia tych prawd, których ogólna znajomość uczyniłaby istniejący porządek niemożliwym: oddał mniejszości całą ziemię i płynące z niéj bogactwa, większość zaś skazał na pauperyzm materyalny, który zmusza ją do ciężkiej pracy i nie daje jéj swobodnego czasu ani na kształcenie się, ani na rozumowanie, który słowem, utrzymuje ją w ciągłéj ciemnocie. Prawdopodobnie Prawa Platona, w których ten określa rolę prawodawcy, nasunęły Colinsowi myśl podobnego objaśnienia organizacyi własności ziemskiéj. Jest ono jednak historycznie mylne. Dzisiaj wiemy, że pierwotna forma własności ziemskiéj miała charakter spólnościowy, gromadzki, gminny, należała do ogółu, nie zaś do pewnych tylko jednostek, tworzących mniejszość.

Ustrój, oparty na antropomorfizmie i własności prywatnéj, był w czasach ciemnoty umysłowéj sprawiedliwy, dopóki można było tłumić myślenie, albowiem tylko w ten sposób dawał się utrzymać porządek społeczny. Kiedy jednak umysłowość ludzka dojrzała wpłynęła ona na wzrost bogactwa, które znowu ze swojéj strony przyczyniało się do rozwoju umysłowego: liczba więc rozumujących powiększała się, wiara słabła, i nastąpił drugi okres w życiu ludzkości, w którym panuje jeszcze ciemnota, ale w którym staje się niemożliwém tłumienie myśli i przeszkadzanie badaniu krytycznemu. Rozpoczyna więc krytyka swoje działanie rozkładowe. Zwraca się ona przedewszystkiém ku religii. Hypoteza antropomorfizmu jako niedorzeczna nie wytrzymuje krytyki, i myśl stacza się do panteizmu, czyli materyalizmu tj. do zaprzeczenia wszelkiéj religii, albowiem co może być łącznikiem spólnym pomiędzy materyalistami? Chyba nicość. Następnie krytyka zwraca się ku rządówi i ku instytucyom politycznym. Wykrywa, że wszystkie rządy są złe i niesprawiedliwe, albowiem opierają się na sile, któréj jedyną sankcyą daje kat. Rozpoczyna się więc zmiana nieustanna rządów, odbywają się nieustanne rewolucye polityczne. Wreszcie krytyka zwraca się ku porządkowi społecznemu tj. ku własności, albowiem „porządek społeczny jest jeno organizacyą własności“ (1). Krytyka więc wykazuje pauperyzm materyalny większości, wyzyskiwanie jéj przez mniejszość, nieracyonalne podstawy samego ustroju, w którym pauperyzm rośnie równorzędnie z bogactwem Odtąd istniejący ustrój społeczny nie daje się usprawiedliwić, albowiem nie tylko że nie podtrzymuje porządku, ale nadto staje się sam nieustanną przyczyną nieporządku. Wszystko więc wskazuje, że nowe społeczeństwo jest koniecznėm.

---

(1) Colins. Société Nouvelle. Sa Nécessité. Paris. 1857. t. I, str. 200.

„Społeczeństwo nowe polega: 1) na podstawie moralnéj, niedającéj się przez rozum zaprzeczyć i niweczącéj w ten sposób pauperyzm moralny, czyniący absolutnie koniecznym pauperyzm materyalny; oraz 2) na podstawie materyalnéj, któréj koniecznéṁ następstwem jest zniweczenie pauperyzmu materyalnego. Podstawą tą jest przejście ziemi na własność kolektywną, spólną“ (1). Samo jednak przejście ziemi na własność spólną nie ugruntuje nowego społeczeństwa. Przeciwnie, zniweczenie pauperyzmu materyalnego, bez równoczesnego zniweczenia pauperyzmu moralnego, przyczyni się tylko do powiększenia anarchii. Nowy porządek materyalny potrzebuje także sankcyi moralnéj, którą da religia, oparta na rozumie, wiedzy, poznaniu prawdy, poznaniu jednak prawdy nie negatywnéj, lecz pozytywnéj, na społecznéṁ, a nie indywidualnéṁ poznaniu téj prawdy. Saint-Simon szukał sankcyi także u wiedzy, ale szukał wiedzy pozytywnéj tam, gdzie jéj niema, u przedstawicieli dzisiejszéj nauki. Tymczasem posiadają oni tylko prawdę negatywną, która wykazuje to, co nie ma podstawy racyonalnéj, ale rzeczywistéj, racyonalnéj podstawy nie wskazuje. Jest ona jednak ważną podnietą, olbrzymią pobudką. „Nic niema tak zapalnego jak prawda negatywna. Jest to jéj jedyna zasługa. Pożar, który ona roznieca, sam jest w stanie tylko dać uczuć potrzebę prawdy pozytywnéj“ (2). Poznaje się tu prawda pozytywna bezpośrednio, przez dedukcyą; przez indukcyą można dojść jeno do prawdopodobieństwa, nigdy zaś do prawdy. „Indukcya, macierz zdań, jest jedynie możliwéṁ kryteryum w epoce ciemnoty, ponieważ dedukcya należy wyłącznie do epoki wiedzy, do epoki prawdy niezaprzeczalnie wykazanéj“ (3).

Jakaż to jest prawda pozytywna? „Prawda jest wieczna—rozumuje Colins—albo jéj niema. Prawda wieczna może należéć tylko do całostek wiecznych, całostki bowiem czasowe są tylko całostkami pozornemi. Całostki wieczne są koniecznie niemateryalne, całostki materyalne bowiem są tylko całostkami pozornemi. Jeżeli istnieje w nas istota niemateryalna, to ona koniecznie być musi istotą czującą, czuciem, ponieważ rozumowanie jest tylko stosunkiem do wrażliwości, do duszy. A więc prawda, j e ż e l i i s t n i e j e, może być tylko istotą czującą, duszą, czuciem, uznaną całostką, niemateryalną, wieczną“ (4).

Taki jest punkt wyjścia metafizyki Colins'a, którą tu przedstawię w krótkiéṁ streszczeniu. Istnieją—zdaniem naszego autora—dwa światy zupełnie oddzielne: świat materyalny czyli raczéj ma-

(1) *L. c.* I. 49. — (2) *L. c.* I. 280. — (3) *L. c.* II. 220. — (4) *L. c.* I. 157.

terya, w której panuje konieczność, i świat duchowy czyli dusze, które są zupełnie wolne. Materya ulega ciągłym zmianom, przeobrażaniu się, przeistaczaniu. Dusze są niezmienne, wieczne. Wcielają się one w twory materyalne, dopiéro kiedy te dojdą do pewnéj doskonałości, kiedy wykształcą się w nich organy, przez które mogą one objawiać swą czynność. Ludzkie tylko istoty mają dusze. Świat więc widoczny rozpada się na dwa światy: materyalny i ludzki. Jeno ludzie mają czucie, albowiem czucie może być tylko świadome. „Czuć, w moralnym stosunku, jest to znać, a znać jest to rozumować. C z u ć, w czasie, w stosunku fizycznym, znaczy także rozumować. Wrażenie otrzymane jest to rozumowanie“ (1). Zwierzęta nie mają czucia: ich czucie jest tylko pozorne. Twierdzenie to, przypominające zdanie Kartezyusza o automatyczności zwierząt, stara się zwęzić dziedzinę czucia, kiedy tymczasem przeciwnie badania naukowe z ostatnich czasów ogromnie ją rozszerzyły. Niektórzy przypuszczają nawet, że atomy mają czucie.

Przyjąwszy teoryą wiecznie istniejących dusz, Colins przyjmuje także metampsychozę i lubo oświadcza się wrogiem mistycyzmu, mówi jednak o pokucie dusz i odkupieniu grzechów.

Colins, jakkolwiek walczył z meteryalizmem Proudhona, stawiącym siłę przed prawem, sam w dwóch kwestyach zajął bardzo zbliżone do niego stanowisko i negował odrębność narodową i uznawał konieczność anarchii.

Zdaniem Colinsa, socyalizm racyonalny musi zniweczyć narodowości. Jedyną bowiem—mniema on—podstawą pojęcia ojczyzny, odrębności narodowéj jest religia. Dopóki są różne religie, dopóty są różne narodowości. Prawda atoli jest jedna, więc i religia w przyszłości może być tylko jedna, a wówczas narody połączą się w jedną ludzkość. Utożsamianie jednak religii z narodowością, jakie widzimy w twierdzeniu Colinsa, nie daje się uzasadnić. Przecież pod skrzydłem jedności kościoła katolickiego, większa część dzisiejszych narodów europejskich wykształciła właściwe sobie cechy odrębności. Hiszpanie, Włosi, Francuzi, Belgowie—pomimo jedności swéj religijnéj—nie przestają być odrębnemi narodami. Niemcy katolicy i Niemcy protestanci, pomimo swéj różnicy religijnéj, uznają wszakże swoję spólność narodową. Bezwątpienia, że różnica religijna przyczynia się do podtrzymania niechęci i nienawiści narodowych. Spólność jednak religijna pomiędzy Włochami i Węgrami z jednéj strony, a Niemcami austryackimi z drugiéj, nie przeszkodziła rozwinięciu się strasznéj nienawiści jednych do drugich

(1) *L. c.* I. 463.

Tymczasem Szwajcarya i Stany-Zjednoczone w północnéj Ameryce świadczą, że różnoreligijne ludy mogą żyć w zgodnych i życzliwych pomiędzy sobą stosunkach. Z tego wszystkiego, co Colins mówi, widać, że nie chodzi mu o odrębność narodową, ale raczéj o odrębność państwową. „Drugim stopniem—powiada—ostatnim stopniem, ostatnią fazą porządku, porządku realnego względnie do prawdy, jest zniweczenie narodowości, o ile są one samorządne (*autonomes*); tak samo jak zniweczenie rodzin, o ile te były samorządne, przedstawiało pierwszą możliwą fazę porządku społecznego" (1). Porównanie narodowości do rodzin właśnie—powiedziałbym—przemawia za utrzymaniem samorządu narodowego. Niepodległość rodzin wcale nie jest mniejszą w porządku narodowym, aniżeli ta, jaka była w porządku rodowym. Przeciwnie. Zdaje się, że Colins, który wcale nie był zwolennikiem nieczułego na cierpienia narodowe kosmopolityzmu, pomieszał dwie rzeczy, które niekoniecznie powinny łączyć się z sobą: samorząd i odgraniczanie się trwożliwe i samolubne narodów od siebie. Granice strzeżone przez celników, przeszkadzające braterskiéj solidarności ludów, nie są wszakże konieczne do utrzymania samorządu narodowego. Gminny samorząd przecież nie przeszkadza łączności narodowéj.

Dla Proudhona anarchia była celem, dla Colinsa jest ona tylko środkiem, środkiem koniecznym, niezbędnym, bez którego ludzkość nie osiągnie jedynie rzeczywistego porządku, mogącego jéj zapewnić stateczność i szczęście. Nowe społeczeństwo j e s t n i e m o ż l i w e, d o p ó k i n i e s t a n i e s i ę n i e z b ę d n é m. „A co może uczynić je niezbędném? Co może j e d y n i e uczynić je niezbędném? Nadmiar złego, zrządzony przez anarchią" (2). Jedyne lekarstwo na przesądy, głupotę i próżność zawiera się „w anarchii, doprowadzonéj do możliwie ostatecznego stopnia" (3). „A więc, anarchio—woła—rozwijaj się coraz bardziéj, albowiem dzięki tobie tylko społeczeństwo pozna prawdę!" (4) I anarchia—zdaniem jego—staje się coraz powszechniejszą i straszniejszą. „Rewolucya i anarchia jest to jedna i ta sama rzecz pod dwoma różnemi nazwami. Ktokolwiek jest rewolucyonistą, jest także anarchistą, a ktokolwiek jest anarchistą, jest także rewolucyonistą, czy wié o tém, czy nie wié" (5). Takimi anarchistami i rewolucyonistami są przedewszystkiém ci, co się uważają za obrońców obecnego porządku. Takim anarchistą był Guizot, ponieważ nauczał, że m o r a l n o ś ć j e s t n i e z a l e ż n a o d r e l i g i i; takim anarchistą był Thiers,

(1) *L. c.* II. 94. — (2) *L. c.* I. 55. — (3) *L. c.* II. 51. — (4) *L. c.* II. 318. — (5) *L. c.* II. 1.

ponieważ twierdził, że niepodobna zniweczyć pauperyzmu materyalnego; takim anarchistą był także Say, ponieważ dowodził, że w dzisiejszym ustroju oszczędności bogatych robią się kosztem ubogich, i że w pośród najzamożniejszego nawet narodu pewna część ludzkości musi corocznie umierać dla niemożności zaspokojenia swych potrzeb.

Ze wszystkich socyalistów—zdaniem Colinsa—Piotr Leroux, wysoko ceniony przez naszego Mickiewicza, najwięcéj zbliżył się do prawdy, ale i on nie zrozumiał jéj jeszcze. Z dawniejszych myślicieli Colins miał szczególne poważanie dla Pascala, który—nawiasem mówiąc—drogą rozumowania doszedł do przekonania, że równość majątkowa mogłaby być jedynie sprawiedliwą podstawą ustroju społecznego.

Jakże przedstawiać się będzie ustrój społeczno-ekonomiczny, skoro ziemia przestanie być własnością prywatną, a stanie się własnością publiczną, narodową, gromadzką, kolektywną?

W nowym ustroju będą istniały zarówno wielkie jak małe folwarki, zależnie od tego, jakiego rodzaju jest gleba, jak gęsta jest ludność, czy przemysł jest możliwy w danéj okolicy itd. Folwarki te wypuszczać się będą w dzierżawę. Kontrakty dzierżawne mają być dożywotnie, jeżeli jedna rodzina obejmuje folwark; mają miéć moc prawną na lat trzydzieści, jeżeli uprawa rolnicza odbywa się przez stowarzyszenie rodzin. Organizacya społeczna popierać będzie zarówno jednę jak i drugą formę dzierżawienia. Umowy dzierżawne mogą być jednak rozwiązane, jeżeli dzierżawcy uważają je za niekorzystne, „albowiem wówczas interes publiczny i interesy prywatne niezbędnie utożsamiają się, a więc zawsze trzeba zważać na sprawiedliwy interes osób prywatnych i dawać mu pierwszeństwo" (1). Płaca dzierżawna stanowić będzie główną podstawę finansową przyszłego ustroju. W r. 1849 dochód z ziemi we Francyi wynosi 1700 milionów. „Oto, już dosyć ładny budżet dochodu—powiada autor—i ta jedna gałąź dochodu społecznego może być powiększona cztery razy, skoro rolnictwo, wytwór i spożycie dojdą do swego *maximum*" (2). Drugim ważnym dochodem publicznym będzie spadkowy. Ponieważ spadkobierstwo boczne beztestamentowe w nowym ustroju zniesione zostanie, więc do skarbu publicznego wpływać będzie wszelki spadek *ab intestato* w braku spadkobiercy w prostéj linii. Nadto wszelkie spadki testamentowe płacić będą 25%. Podług wszelkiego więc prawdopodobieństwa, dochody: dzierżawny i spadkowy wystarczą na opędzenie potrzeb pu-

(1) La Tribune des peuples. N. 74. — (2) *L.* N. 70.

blicznych, i społeczeństwo nie będzie miało potrzeby nakładać innych podatków. Należy nawet przypuszczać, że zasobność skarbu publicznego pozwoli obniżyć stopę procentową kredytu dla osób prywatnych. A w każdym razie stanie się możliwém uczynić wychowanie i nauczanie równém dla wszystkich, albowiem mówić o równości obywatelskiéj a pozostawiać wychowanie i nauczanie na los szczęścia, jest to bawić się w utopią najgorszego gatunku. „Chciéć zaś, ażeby równość wychowania i nauczania mogła istniéć poza obrębem wychowania i nauczania, udzielanego społecznie wszystkim bez różnicy wraz z mieszkaniem, pożywieniem, odzieniem, utrzymaniem itd., jest także utopią podobnego rodzaju" (1).

Skoro wszyscy otrzymywać będą równe wychowanie i nauczanie; skoro troska o dzieci, starsze od dwóch lat, spadająca dzisiaj ogromnym ciężarem na rodziców, odpadnie; skoro kredyt stanie się przystępniejszy i tańszy; wówczas wszyscy mniéj będą potrzebowali pracować, a pomimo to zarobki podniosą się do możliwego *maximum*. Przeludnienia Colins nie przypuszcza. Mając lżejsze warunki życia, każdy będzie mógł miéć rodzinę. Jest to koniecznėm, ponieważ rodzina, czyli raczéj małżeństwo stanowi warunek niezbędny i główny szczęścia ludzkiego. Ze szczęścia rodzin składa się szczęście społeczne, a bez niego nowy porządek nie zdołałby się utrzymać. „A jeżeli nieszczęście lub szaleństwo dotkną kogo, wówczas społeczeństwo jako powszechna asekuracya wzajemna zaopiekuje się nim albo w jego nieszczęściu, albo w jego szaleństwie, ponieważ od chwili jak niewiedza społeczna przestanie istniéć, od chwili jak zostanie dowiedzione, że działać sprzecznie z tém, co nakazuje poświęcenie dla braci, jest to działać przeciwko własnemu interesowi, od téj chwili przestaną istniéć na kuli ziemskiéj źli ludzie, a będą tylko bezrozumni nieszczęśliwi, godni wszelkiego politowania społecznego (3).

Porządek jednak taki nie może istniéć długo w jakimkolwiekbądź oddzielném państwie, dopóki dokoła niego panować będzie porządek dzisiejszy. Przypuśćmy—powiada Colins—że mamy Eldorado francuskie. „W Eldorado tém niema nikogo wyzyskiwanego. A wiecie, co czyni towary taniemi, ze względu na zawartą w nich pracę. Wyzyskiwanie mas. Ze wględu więc na pracę, towary we Francyi podniosą się w cenie w dwójnasób, w trójnasób. Macież moc oddzielić się od całego świata? Jesteściež w siłach przeszkodzić przemycaniu? Wkrótce wasi robotnicy, tj. cały ogół, pozostaną bez pracy, i z przyzwolenia powszechnego Eldorado wasze zostanie odesłane do utopii" (3). Wniosek to jednak za pośpieszny.

---

(1) *L. c.* N. 71. — (2) *L. c.* N. 71. — (3) Soc. Nouv. II. Str. 100 i 101.

III.

Ludwik de Potter. — Pogląd jego na katolicyzm. Występuje jako dzielny bojownik praw narodowych. — Udział jego w wypadkach r. 1830. — Republikanizm doprowadza go do socyalizmu.—Wielki wpływ jego na ludność robotniczą w Belgii. — Nowsi przedstawiciele socyalizmu racyonalnego. — Poulin. — Zarzuty czynione przezeń komunizmowi. — Mniema, że światła mniejszość urzeczywistni prawdę społeczną. — Jego wielkie dzieło.

Nazwisko Ludwika de Pottera ściśle się łączy z historyą Belgii. Był on jednym z najgłówniejszych sprawców oderwania się Belgii od Holandyi i utworzenia samodzielnego państwa belgijskiego. Jego Wspomnienia (*Souvenirs personneles*), wydane w dwóch tomach w r. 1840, są ważném źródłem historyczném do téj epoki.

Ludwik de Potter (1786 — 1859) pochodził z bogatego domu. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich, z powodu słabości zdrowia wyjechał do Włoch i tam korzystając z bibliotek, zajmował się historyą kościelną. Od r. 1816 pojawił się w tym przedmiocie cały szereg jego dzieł opracowanych źródłowo. Za streszczenie tych wszystkich prac, można uważać jego Historyą chrześciaństwa, która pojawiła się w Paryżu w sześciu tomach w r. 1836 i 1837. Dzieje kościelne doprowadziły go do przekonania, że misya społeczno-religijna katolicyzmu i wogóle chrześciaństwa, już się skończyła. „Katolicyzm — pisał on do kardynała - arcybiskupa mechlińskiego — olbrzymie oddał usługi społeczeństwu: żyło się pod jednością społeczną, którą on stworzył, o wiele szczęśliwiéj, aniżeli dzisiaj pod tchnieniem zwątpienia, które rozprzęga i demoralizuje wszystko. Lecz krytyka obaliła jego panowanie. Rozpada się on w proch, i społeczeństwo pod nim upada. Nie pragnąłem końca katolicyzmu. Skonstatowałem jeno fakt. Nie żałuję wreszcie tego, co się stało, albowiem musiało się stać, ponieważ coś innego ma zająć opróżnione przezeń miejsce“. De Potter miał na myśli socyalizm.

Wróciwszy z Włoch, de Potter, któremu bogactwo i nauka otwierały wpływ na sprawy społeczne, z zapałem rzucił się w wir życia politycznego. Z przekonań był wówczas liberałem i republikaninem i walczył ze stronnictwem katolickiém i z arystokracyą. Wszedłszy w r. 1828 do redakcyi *Courrier des Pays-Bas*, najważniejszego organu stronnictwa liberalnego, zajął odrazu wybitne w niém stanowisko. Skoro jednak spostrzegł, że rozdwojenie pomiędzy Belgami wzmacnia rząd holenderski, został jednym z gorliwszych promotorów unii katolików i liberałów, tj. przymierza ich do wspól-

néj walki. Skazany wkrótce na 18 miesięcy więzienia, stał się wyrocznią całego narodu, wszystkich jego stronnictw. Okazał się on znakomitym organizatorem. Podług jego planu, zawiązały się po całym kraju stowarzyszenia konstytucyjne, w celu zbierania podpisów na petycyach z zażaleniami narodu. Stowarzyszenia te jawne koncentrowały się w tajnym komitecie kierującym. Cała prasa, bez różnicy opinii, szła pod jednym wówczas sztandarem. Było to także zasługą de Pottera. Z więzienia kierował on całym ruchem. Walka tymczasem zaogniała się. Rząd ogłosił nowe obostrzone rozporządzenia królewskie i dał dymisyą wszystkim urzędnikom, którzy nie chcieli ich podpisać. De Potter, który w tym czasie opuścił więzienie, otworzył, posyłając 100 zł., narodową subskrybcyą dla urzędników dymisyonowanych i w *Courrier des Pays-Bas* opracował dokładny plan konfederacyi przeciwrządowéj. Wytoczono więc mu nowy proces i skazano 30 kwietnia 1830 r. na ośm lat wygnania. De Potter odwołał się od tego wyroku, lecz apelacyi jego nie przyjęto. Wyjeżdżając do Paryża, napisał do króla list, w którym przepowiedział bliską rewolucyą.

Kiedy 25 sierpnia wybuchła w Brukselli rewolucya, rozpoczęła się ona od okrzyków: „Niech żyje de Potter! precz z van Maanen'em!" (1). Rząd tymczasowy rewolucyjny powołał de Pottera do swego składu i złożył przewodnictwo w jego ręce. Wygnaniec wracał z tryumfem do kraju. Wszędzie witały go tłumy ludu i wyprzęgłszy konie, same ciągnęły powóz. Wszedłszy do rządu, de Potter usilnie pracował nad tém, aby w Belgii została ogłoszona rzeczpospolita. Skoro więc kongres olbrzymią większością głosów (174 przeciw 13) oświadczył się za monarchią konstytucyjną, usunął się on od spraw publicznych i wyjechał do Paryża, gdzie był współpracownikiem pism republikańskich i gdzie ostatecznie sformułował swoje przekonania społeczne. Wówczas poznał się osobiście z Colinsem, który wywarł na niego wpływ wielki.

Jak Stefana Cabeta, jak Ludwika Blanc'a, tak samo de Pottera, republikanizm doprowadził do socyalizmu. Rzeczpospolita — zdaniem jego — to ustrój, w którym wszyscy powinni czuć się dobrze. Ażeby mogła powstać taka rzeczpospolita, nie wystarczy sam przewrot polityczny, konieczną jest jeszcze rewolucya społeczna. Wolność polityczna jest środkiem, lecz nie daje ona materyalnych warunków, któreby zapewniały szczęście powszechne. Taką jest główna myśl wydanéj w Paryżu broszury w 1831 r., p. t. *De la Révolution à faire d'aprés l'expérience des Révolutions avortées*. W r. 1838

(1) Van Maanen był ministrem sprawiedliwości.

de Potter wrócił do Belgii, gdzie ze szczególną gorliwością zajmował się badaniami społecznemi. Owocem téj pracy były dwa tomy Studyów społecznych (1841—1843), w których do stanowczego przyszedł przekonania, że ziemia jako główne źródło bogactwa społecznego, nie może należéć do jednostek, ale powinna być własnością społeczną, wspólną, kolektywną.

Zostawszy socyalistą, de Potter zmienił poczęści i swoje poglądy polityczne: zobojętniał dla téj lub owéj formy rządu, a natomiast ze względów ekonomicznych stał się zwolennikiem unii Belgii z Holandyą, opartéj na zupełnéj samodzielności obu krajów.

Ku końcowi życia zajmował się gorliwie propagowaniem socyalizmu racyonalnego: w r. 1850 wydał „Katechizm socyalny", w 1854 „Katechizm racyonalny", w 1859 „Słownik racyonalny". I propaganda ta nie pozostała bezowocną. Cezar de Paepe, który odrzuciwszy metafizykę Colinsa i de Pottera, przyjął pod pewnym względem ich poglądy historyczne i ekonomiczne, powiada, że w okręgu górniczym, zwanym Borinage, napotkał wielu wykształconych robotników, którzy z przekonaniem głębokiém wyznawali zasady socyalizmu racyonalnego (1).

Od połowy siódmego dziesiątka lat, socyalizm racyonalny posiada własny organ, który wychodzi w Paryżu p. t. *La Philosophie de l'Avenir*, pod naczelną redakcyą Fryderyka Borde'a. Jednym z najgorliwszych spółpracowników tego pisma jest Agaton de Potter, syn Ludwika. Pomiędzy licznemi dziełami, napisał on dobry rozbiór książki Proudhona o wojnie i pokoju. Do gorliwych także propagatorów socyalizmu racyonalnego, należy Szwajcar Hugentobler, który jednak powprowadzał nowe dodatki, niektóre dobre, a niektóre niewłaściwe. Pomiędzy robotnikami paryskimi gorliwym wyznawcą nauki Colinsa był Piotr Vinçard, synowiec saint-simonisty Vinçard'a, znany z dokładnego swego studyum statystycznego o proletaryacie francuskim. W *Revue Socialiste*, wydawanym w Paryżu przez Malona, dali się poznać dwaj wyznawcy Colinsa: Delaporte i Pignon. Ciekawą jest rzeczą, że pomiędzy wyznawcami zasad Colinsa sporo jest lekarzy: wpływa na to może ta okoliczność, że Agaton de Potter jest także lekarzem.

Jeden z wyznawców Colinsa, P. Poulin, wszedłszy na drogę krytyczną, doszedł do wniosku, że sankcya pozagrobowa (*ultravitale*) jest złudzeniem, gdyby nawet wykazała niemateryalność

(1) Jarhbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik. Erster Jahrgang. Zweite Hälfte. 1880. Die soziale Wissenschaft nach Colins und de Potter—von dr. C. de Paepe. str. 37.

duszy; ale pouczony i objaśniony — jak sam powiada — przez Agatona de Pottera i Hugentoblera, nawrócił się do dawnego zapatrywania. Z socyalizmem ekonomicznym stało się także coś podobnego. Badając krytycznie sposoby załatwienia kwestyi społeczno-ekonomicznéj, wskazał Poulin na trudności, jakie pociąga za sobą zachowane przez Colinsa spadkobierstwo w linii prostéj. Krytyka jego dalsza doprowadza do tego mniemania, że ustrój komunistyczny najłatwiéj usunąłby te trudności i autor z pewnym zapałem odpiéra wszystkie zarzuty, czynione komunizmowi. Zwłaszcza znakomitym jest ustęp, w którym bardzo logicznie zwalcza Proudhona. Zdawałoby się po tém wszystkiem, że sam Poulin jest komunistą z przekonania. Gdzież tam! Chciał on tylko pokazać zwolennikom komunizmu, że zna doskonale wszystkie argumenty, które można przytoczyć na jego korzyść. „Mniemaliśmy — powiada — że to najlepszy środek do uleczenia z utopii i ostatecznego pozyskania dla socyalizmu racyonalnego pewnych rozgorączkowanych umysłów, oszołomionych niedorzecznym radykalizmem, jak i my sami byliśmy nim przez długi czas oszołomieni“ (1).

Cóż w przekonaniu Poulin'a przemawia przeciwko komunizmowi? Najprzód, usuwając wszelkie złe, niweczy on swobodę woli, albowiem nie pozostawia się wyboru pomiędzy złem i dobrem. Tam, gdzie istnieje doskonałość, niemożliwa jest cnota, albowiem nie ma powodu do występku, niemożliwy więc jest także porządek moralny. Argument — powiédzmy—dziwny. Powtóre, społeczeństwo nie jest jakąś istotą, jest tylko zbiorem jednostek. Podporządkowywać wszystko interesom społecznym, byłoby gwałcić interesy indywidualne. Nie podporządkowywać należy jedne interesy drugim, lecz je pogodzić. Właśnie to czyni socyalizm racyonalny. Przytém ustrój komunistyczny nie zapewni jeszcze szczęścia powszechnego, albowiem zawsze istnieć będzie nierówność usposobienia do szczęścia. Po trzecie, równość absolutna w położeniu ludzkiém nie jest możliwa. Żądać można jeno równości wobec społeczeństwa, którą zapewni równość wychowania i nauki, tudzież społeczna pomoc materyalna, dawana każdemu, skoro po ukończeniu szkół rozpoczyna jaki zawód. Ustrój ten należy uważać za doskonały, inaczéj bowiem pozostawilibyśmy drzwi otwarte dla rewolucyi i nieustannéj anarchii. Postęp dalszy możliwy jest tylko w warunkach fizycznych i w przemyśle: w nowym ustroju rozwiąże on wielki problemat przemiany pracy.

Poulin różni się jednak w tém od Colins'a, że nie uważa za konieczne dla urzeczywistnienia prawdy społecznéj, aby prawda

(1) Religion et socialisme — par P. Poulin. Paris. 1867. str. 321.

religijna została poprzednio społecznie przyjętą. Podług niego, wystarczy, jeżeli światła mniejszość ją zrozumié. Właśnie mniejszość bogata, któréj interesom obecny stan rzeczy najwięcéj zagraża, zrozumié wreszcie, że porządek da się ocalić jedynie przez reformę socyalną. „A więc w wasze ręce, uprzywilejowani mieniem, składamy sprawę socyalizmu. Wam to być pierwszymi jéj promotorami. I jeżeli nasamprzód liczymy na wasz własny interes, ażeby otworzyć wam oczy, to wiemy, że skoro rzeczywiście otworzycie je, przestanie on być jedyną waszą pobudką. Wówczas miłość ludzkości ożywi wasze usiłowania, i szczęśliwsi od młodego bogacza z Pisma Świętego, zapewnicie sobie skarb w życiu przyszłém, nie potrzebując w tém życiu poświęcać waszego wielkiego majątku“ (1).

Poulin napisał wielkie dzieło p. n. *Noveau Dieu, noveau monde*, w którém przedstawia integralne, spólnościowe i równościowe stowarzyszenie, jako podstawę ustroju społecznego i łączy w niém na gruncie teoryi Colinsa falansteryanizm furyerowski z mutualizmem proudhonowskim.

IV.

Sprawa unarodowienia ziemi w Anglii. — Tamtejsze stosunki własności ziemskiéj. — Zdanie o tym przedmiocie Henryka George'a.—Spencer.—Teorya renty gruntowéj Dawida Ricardo i wniosek Jana Stuarta Milla. — Liga reformy narodowéj. — Liga ziemi i pracy. — Dzieła Wallace'a i George'a. — Upowszechnienie się w Anglii zasady unarodowienia ziemi.—Stosunki agrarne w Irlandyi.— Michał Davitt.—Henryk George. — Stronnictwo agrarne w Stanach-Zjednoczonych Ameryki. — Unarodowienie ziemi w Niemczech.—Teodor Stamm.—Michał Flürschheim.—Niemiecka liga ziemi. — Ferdynand Maurice. — Dwustronny charakter tego ruchu agrarnego.

W Anglii sprawa unarodowienia ziemi posunęła się tak daleko, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa przyjdzie tam wkrótce na porządek dzienny; przemawiają za tém ekonomiczne warunki tamtejsze i silna, zorganizowana w téj sprawie agitacya. Nigdzie ziemia nie skoncentrowała się w tak niewielu rękach, jak w Anglii. Przeszło $^4/_5$ ziemi uprawnéj należy do 2341 właścicieli (2). Biorąc w rachubę same olbrzymie posiadłości, stosunek wypada jeszcze gorszy. W broszurze wydanéj w r. 1874, Karol Bradlaugh powiada, że połowa Anglii i trzy ćwierci Szkocyi, należą do 160

(1) *L. c.* 325. — (2) Financial reform almanach z 1879 r., podaje następujące cyfry: wszystkich właścicieli ziemskich — 1173124, powierzchnia ziemi przez nich posiadana wynosi 2367584889 arów; z tego należy 921931341 do 421 właścicieli, 1445653848 zaś do 1900 właścicieli.

rodzin. Przytém wielcy właściciele ziemscy przeważnie nie zajmują się rolnictwem, lecz wydzierżawiają swe ziemie. Stosunek zaś dzierżawców, szczególnie uboższych, i czynszowników do landlordów jest ogromnie przykry: są oni w takiéj zależności ekonomicznéj, moralnéj i politycznéj, że przypomina ona nieraz stosunki poddańcze. „Państwo — powiada Wallace — uznając nieograniczone prawo własności ziemskiéj osobistéj, wypuściło z rąk swoich władzę... i stworzyło potężniejszych od siebie królików“. Jeżeli rolnictwo przynosi mniejsze od oczekiwanych korzyści, wielcy właściciele ziemscy, nie troszcząc się wcale o los ludności z uprawy roli żyjącéj, zamieniają rolę na pastwiska, na parki, lub zwierzyńce. Zwłaszcza przybrało to ogromne rozmiary w Irlandyi i górnéj Szkocyi, gdzie ekonomiczne powody z politycznemi się połączyły. W Irlandyi w ciągu lat czterech (1849—1852), wypędzono z uprawianéj roli przeszło milion ludności, co spowodowało wielką jéj śmiertelność. W górnéj Szkocyi od 1831 do 1852 r. obszar ziem uprawnych zmniejszono o półtora milionów akrów. Dochody wielkich właścicieli ziemskich są niepomiernie wysokie. Podług obliczenia Fawcett'a, skapitalizowana renta ziemska wynosi około stu milionów fr. Ponieważ oprócz wymienionéj liczby (2341) właścicieli ziemskich, reszta sama zajmuje się uprawą roli, więc bez wielkiéj pomyłki, wskazaną sumę renty, można podzielić przez liczbę owych szczęśliwych właścicieli, tak że w przecięciu na każdego za to, że nie pracuje, przypada po 40000 fr. Wartość pieniężna, renty gruntowéj, bez żadnego przyczynienia się właścicieli ziemskich, wciąż wzrasta, kiedy tymczasem wskutek coraz większéj konkurencyi dzierżawców, praca rolnika opłaca się coraz gorzéj. Z jednéj więc strony bogactwo coraz mocniéj koncentruje się, z drugiéj zaś nędza proletaryatu rolniczego rośnie. Podług obliczenia Wallace'a, przeszło szósta część ludności najbogatszego w świecie kraju albo znajduje się już w strasznéj nędzy, albo jest bardzo jéj blisko.

Henryk George obrazowo uogólnia powyższe spostrzeżenia. „Dzisiaj — powiada on — w Wielkiéj Brytanii prawo narodu, jako całości, na ziemię o wiele mniéj ma uznania niż w czasach feudalnych. Daleko mniejsza część narodu posiada ziemię, i posiadanie to o wiele jest absolutniejsze. Niegdyś tak rozległe i tak wielce przyczyniające się do niepodległości i utrzymania niższych klas ziemie gminne, dzisiaj, oprócz małéj reszty niemających wartości gruntów, ogrodzone dokoła znajdują się w posiadaniu prywatném; wielkie dobra kościelne, właściwie dla celów ogólnych wspólny majątek, zostały odebrane od kościoła dla wzbogacenia osób pojedyńczych; powinności wojskowe, ciążące na dobrach lennych,

zostały zniesione, i koszta utrzymania instytucyi wojskowych, tudzież odsetki olbrzymiego długu, nagromadzonego przez wojny, spadły brzemieniem swojém na cały naród w postaci podatków, opłacanych od tego co niezbędne i przyjemne jest w życiu. Dobra koronne przeszły po większéj części w posiadanie prywatne, a robotnik brytański utrzymanie rodziny królewskiéj i koszta ślubne wszystkich młodych jéj książąt musi opłacać w cenie swéj szklanki piwa i swéj fajki tytoniu. Angielscy wolni rolnicy, odważne pokolenie, które odniosło zwycięstwa pod Crecy, Poitiers, Azincourt, wygaśli jak mastodonty. Szkoccy członkowie klanu, których prawo na ziemię w ojczystych górach było również niezaprzeczone jak i prawo ich naczelników, zostali wygnani, ażeby dać miejsce dla stad owiec i jeleni, należących do potomków owych naczelników klanu. Prawo rodowe Irlandczyka do ziemi, zamieniło się w wypowiadaną dowolnie dzierżawę. Trzydzieści tysięcy ludzi ma moc prawną wypędzać całą ludność z pięciu szóstych części wysp brytańskich, a olbrzymia większość narodu brytańskiego nie ma żadnego prawa na ziemię ojczystą, oprócz tego, że może chodzić po ulicach i jeździć kolejami żelaznemi. Do nich dadzą się dobrze zastosować wyrazy jednego z trybunów ludu rzymskiego: Rzymianie—mówił Tyberyusz Grach — was nazywają panami świata, a wy nie macie prawa na piędź waszéj ziemi. Dzikie zwierzęta mają swe pieczary, wojownicy zaś Italii mają tylko wodę i powietrze!"

Sprawa unarodowienia ziemi nie jest rzeczą nową w Anglii: sięga ona końca XVIII stul. Spotykamy ją w programie polityczno-społecznym Spence'a, którego wyznawcy zorganizowali w Londynie Towarzystwo filantropów i w 1787 r. prowadzili już dosyć czynną agitacyę w sprawie unarodowienia ziemi.

Myśl unarodowienia ziemi znalazła ważny argument w teoryi renty gruntowéj, którą w końcu XVIII stul. wyłożył Anderson, a którą znakomity ekonomista, Dawid Ricardo, szczegółowo i logicznie rozwinął na początku bieżącego stulecia. W opłacie, którą dzierżawca składa właścicielowi ziemskiemu, wyróżnił on dochód właściciela od włożonego w ziemię kapitału i właściwą rentę, którą dzierżawca płaci właścicielowi za to, że ten ma prawo do ziemi. Do wytworzenia téj renty właściciel nic a nic nie przyczynia się: jest ona następstwem rozwoju i pracy całego społeczeństwa. Skoro więc tak, to dla czego mają pobiérać ją właściciele, nie zaś całe społeczeństwo, którego jest ona dziełem? „Zbogacają się oni, rzec można — powiada Jan Stuart Mill — mimowoli, drzémiąc, nie pracując, nic nie ryzykując, nie oszczędzając. Jakież prawo, na mo-

cy zasad ogólnych sprawiedliwości społecznéj, mogą mieć oni do takiego bogacenia się? Czy byłoby dla nich krzywdą, jeśliby społeczeństwo zachowało sobie prawo opodatkowania wzrastających samych przez się dochodów takich, w takim stopniu, w jakim wymagają tego potrzeby krajowe?" (1).

Naturalną więc było rzeczą, że w ruchu rewolucyjnym r. 1848 sprawa unarodowienia ziemi znowu się wynurzyła w świadomości ludowéj. Liga reformy narodowéj, zawiązana w tym roku w Londynie, przyjmując w całości czertystowską „Kartę ludową", żądała nadto, ażeby państwo stopniowo dążyło do obalenia monopolu gruntowego, górniczego i rybołówczego, wykupując od właścicieli ziemię, kopalnie i prawo na rybołówstwo.

Dzisiejszy ruch w Anglii w sprawie unarodowienia ziemi datuje się od października 1869 r. w którym to czasie zawiązała się Liga ziemi i pracy, wypisując unarodowienie ziemi na czele swego programu. Pomiędzy członkami komitetu téj ligi widzimy także delegatów angielskich, którzy brali rok przedtém (we wrześniu 1868) udział w kongresie brukselskim Towarzystwa Międzynarodowego. Przypominam tę okoliczność dla tego, że na owym kongresie przyjęto wniosek o upaństwowieniu czyli unarodowieniu ziemi, postawiony i broniony przez czciciela Colinsa, Cezarego de Paepe. W ten sposób propaganda Colinsa spotkała się z tradycyjną propagandą angielską.

Bardzo wiele przyczyniły się do upowszechnienia zasady unarodowienia ziemi dwa dzieła: *Landnationalisation, its necessity and its aims* (Unarodowienie ziemi, jego konieczność i zadania) i *Progress and Poverty* (Postęp i ubóstwo) Henryka George'a. Zwłaszcza to ostatnie dzieło (2) miało olbrzymie powodzenie, w krótkim czasie w saméj Anglii było 10 wydań. Oba dzieła, sprzedawane po bajecznie taniéj cenie, rozeszły się w ogromnéj liczbie egzemplarzy. George z większą od Colinsa dokładnością sprowadził całą kwestyą socyalną do sposobu posiadania ziemi. Podług niego, istnienie kapitalizmu nie jest możliwe bez stałego gruntu, a tym stałym gruntem właśnie jest ziemia. Posiadanie ziemi jest najpotężniejszym środkiem kapitalizowania. Wszelki wzrost ludności, wiedzy, rolnictwa, przemysłu, handlu, komunikacyi powiększa rentę gruntową, Zyski z kapitału nie rosną w takim jak ona stosunku. Co do płacy zarobkowéj; to ta zmniejsza się, w miarę jak przystęp do ziemi sta-

(1) Zasady ekonomii politycznéj — napisał John Stuart Mill. Tłómaczyli R. P. I B. Tom drugi. Petersburg 1860. Str. 380 i 381. — (2) Wyszło w tłómaczeniu polskiém w Poznaniu p. t. Postęp i Nędza.

je się trudniejszy. Chcąc więc podciąć korzenie kapitalizmowi, trzeba uczynić ziemię wspólną własnością. „Nie proponuję jednak — powiada George — ani wykupu, ani konfiskaty własności ziemskiéj: pierwszy środek byłby niesłuszny, drugi bezpożyteczny“. Ażeby pozbawić własność ziemską zdolności wyzysku, ażeby otworzyć ludowi pracującemu szeroki przystęp do roli, ażeby zniweczyć pauperyzm, wystarczy postanowić, że renta gruntowa ma być dochodem całego państwa, czyli narodu. Wówczas ceny ziemi spadłyby ogromnie, a olbrzymi dochód z renty gruntowéj uczyniłby nietylko możliwém obniżenie wszelkich innych podatków, ale dałby możność państwu rozszerzyć i podnieść oświatę publiczną do wysokiego stopnia. Ludność pracująca zaś, mając łatwiejszy przystęp do ziemi i posiadając wyższy stopień oświaty i nauki, nie dałaby się w takim stopniu, jak dzisiaj wyzyskiwać. George, rodem Amerykanin, dla skuteczniejszego poparcia swych zasad, przyjeżdżał do Anglii i tam na mityngach obszernie i wymownie rozwijał swoję teoryą. Znakomity przyrodoznawca, Alfred Russel Wallace, uważa unarodowienie renty gruntowéj także za rzecz godziwą, pożyteczną i konieczną, ale mniema, że chcąc usunąć złe skutki monopolu gruntowego własności prywatnéj, trzeba jeszcze koniecznie zapewnić całkowity dochód z ziemi temu, co ją uprawia. W tym celu żąda, ażeby obliczywszy dochód, jaki mają dzierżawcy i czynszownicy z pracy własnéj, ułatwić im wykupienie ziemi, odpowiednio do skapitalizowanego tego dochodu; co do renty gruntowéj, to państwo powinno ją wykupić. W ten sposób państwo zostanie rzeczywistym właścicielem ziemi, nabywcy zaś oddzielnych gruntów staną się nieograniczonymi co do czasu, ale ograniczonymi co do praw dzierżawcami: nie wolno im będzie poddzierżawiać swych gruntów i obciążać ich długami. Każdy przytém dorosły obywatel państwa ma prawo na niewielki kawałek gruntu, który państwo obowiązane mu jest wyznaczyć. Skoro jednak w jakikolwiekbądź sposób pozbędzie się tego gruntu, nie ma prawa żądać wyznaczenia nowego.

Dzisiaj unarodowienie ziemi weszło — można powiedzieć — w program wszystkich związków robotniczych, ludowych i radykalnych w Anglii. Federacya demokratyczna, zawiązana w r. 1883, w manifeście swoim, do którego redakcyi należał także jeden z dzisiejszych przewódców socyalistycznych, Hyndmann, pomiędzy innemi żądaniami stawia także unarodowienie ziemi. „Jesteśmy obcy we własnym kraju — powiada manifest — 30000 ludzi zawładnęło ziemią, kiedy tymczasem powinna być ona własnością 30 milionów“. Żądanie to ludowe zdobywa uznanie pierwszorzędnych myślicieli

i mężów stanu. Herbert Spencer, który oświadczył się wrogo przeciwko zastosowaniu zasad socyalistycznych w przemyśle, uważa unarodowienie ziemi za możliwe i zgodne z wyższym stopniem cywilizacyi (1). Gladstone i Chamberlain przyznają słuszność saméj zasadzie, uważają tylko, że pośpieszne jéj przeprowadzenie mogłoby sprowadzić ważne zamieszania ekonomiczne i polityczne.

Stosunki agrarne w Irlandyi są o wiele gorsze—jak wiadomo—aniżeli w innych krajach Wielkiéj Brytanii. Cała ziemia w tym kraju należy do 9000 właścicieli tylko, tak że średnio przypada na każdego po 2139 akrów (112 włók): lecz ten przeciętny stosunek, nie odpowiada rzeczywistości, albowiem połowa ziemi znajduje się w rękach 744 osób, a z liczby tych właścicieli — 293 posiada trzecią część rolnéj Irlandyi. Wielcy ci właściciele ziemscy, prawie wszyscy angielskiego pochodzenia, nie zajmują się sami w dobrach swoich gospodarstwem, lecz ziemie swoje wydzierżawiają i najczęściéj mieszkają po za granicami kraju. Dzierżawców liczy się w Irlandyi przeszło 600000, a z nich większa połowa siedzi na tak drobnych gospodarstwach, że ledwie wyżyć jest w stanie. Znowu dzierżawcy bogatsi, zamiast płacy pieniężnéj, zwykle wyznaczają najemnym robotnikom rolnym małe kawałki gruntu, na których ci sadzą kartofle. Nadto taka dowolność panowała w naznaczaniu opłaty dzierżawnéj i w wyrzucaniu fermerów, że parlament ujrzał się zmuszony do prawodawczego uregulowania stosunków agrarnych. Pierwsza interwencya prawodawcza nastąpiła w r. 1860, lecz nie przyniosła prawie żadnéj korzyści ubogim dzierżawcom. Ważniejszém o wiele było prawo, w r. 1870 przeprowadzone przez Gladstone'a, lecz i ono nie mogło naprawić rozpaczliwego położenia rolników irlandzkich. Przekonał się o tém sam Gladstone i po upartéj walce, przeprowadził w parlamencie nowy bil agrarny z dnia 7 kwietnia 1881 r., na mocy którego ustalono dzierżawę, uchwalając, że wysokość płacy dzierżawnéj ma być stanowiona z urzędu, i że przy usunięciu dzierżawcy, właściciel ziemski obowiązany jest zapłacić mu wynagrodzenie, które także z urzędu ma być oznaczane.

Bile agrarne Gladstone'a były spowodowane straszném wrzeniem, które zapanowało na całéj wyspie zielonego Erinu pod hasłem: „Ziemia irlandzka powinna należéć do Irlandczyków!" Głównym kierownikiem tego ruchu był Michał Davitt, zahartowany więzieniem i wygnaniem w długoletniéj walce z rządem angielskim.

---

(1) Principes de Sociologie par Herbert Spencer — traduit de l'anglais par M. E. Cazelles. Tome Troisième. Paris. 1883. str. 738, 739 i 742.

Jest on tego przekonania, że jedynie unarodowienie ziemi da możność wydźwignięcia ludności rolniczéj Irlandyi z rozpaczliwego położenia. Dzięki jego to głównie usiłowaniom, stanęła w październiku 1879 r. Liga ziemska (*Land League*), i on to zdobył dla niéj w Stanach-Zjednoczonych potężną pomoc, tak w środkach pieniężnych, jak w tamtejszéj organizacyi irlandzkiéj, do utworzenia któréj sam osobiście wiele się przyczynił. Kiedy następnie Liga ziemska przez rząd angielski rozwiązana została, powstała na jéj miejscu Liga Narodowa, domagająca się własnego narodowego parlamentu. Landlordowie irlandzcy i angielscy z taką zawziętością opierają się przywróceniu samoistnego ciała prawodawczego w Irlandyi dla tego, że są przekonani, iż jednym z pierwszych jego czynów będzie ogłoszenie ziemi irlandzkiéj własnością narodową.

Propagandę unarodowienia ziemi w Stanach-Zjednoczonych Ameryki rozpoczął Henryk George, wykształcony pod wpływem Davitte'a, podczas jego pobytu w Ameryce. Wyszedł on z szeregów ludowych; do piętnastu lat posługiwał na okręcie jako majtek, późniéj został towarzyszem sztuki drukarskiéj, daléj awansował na dziennikarza. Od 1871 r. zaczął propagować unarodowienie ziemi. Wydane przezeń w r. 1879 dzieło: Postęp i ubóstwo uczyniło go popularnym: miało ono 28 wydań w Stanach-Zjednoczonych. Dzięki poparciu Irlandczyków, Patricka Forda, redaktora dziennika *Irish World*, i Mac Glynna, stał się on przewódcą ruchliwéj ludności irlandzkiéj, stanowiącéj jądro armii stronnictwa agrarnego w Stanach-Zjednoczonych.

Stronnictwo agrarne w Stanach-Zjednoczonych przedstawiało i jeszcze dotąd przedstawia dwa obozy, niewiele mające z sobą wspólnego: *Greenbackers* chcą ograniczenia wielkiéj własności ziemskiéj, tudzież reformy finansowéj, znoszącéj pieniądze metaliczne, a natomiast zaprowadzającéj asygnaty państwowe z kursem stałym; *Grangers* zaś domagają się ograniczenia monopolu kompanii kolejowych i zaprowadzenia stałéj i taniéj taksy transportowéj. Prawie wszyscy drobni rolnicy należą do tych obozów. Henryk George postanowił więc połączyć oba te obozy w jedno wielkie reformatorsko-rolnicze stronnictwo pod ogólnym sztandarem unarodowienia ziemi. Udało mu się istotnie pozyskać w obu obozach sporo zwolenników, nazywanych powszechnie reformatorami podatku (*Tax reformers*). Chodzi im o to, ażeby wszystkie dotychczasowe podatki zamienić na jeden podatek ziemski, zabierający na rzecz skarbu rentę gruntową. Zdaniem George'a, będzie to miało nieobrachowane korzyści. A więc nasamprzód, potężnie wzbogaci skarb narodowy, co pozwoli wykupić z rąk

prywatnych telegrafy i koleje żelazne, pomnożyć liczbę szkół, pozakładać liczne biblioteki i muzea, wesprzéć instytucye, ochraniające robotnika w chwilach jego nieszczęścia. Powtóre, cena ziemi obniży się, a więc łatwiéj ją nabywać będzie można. Obszary ziemi nieuprawnéj, bezleśnéj i niezabudowanéj nie będą miały prawie żadnéj ceny, więc je prawie zadarmo brać będzie można. Wreszcie po trzecie, przemysł niekrępowany żadnymi podatkami, z nową potęgą rozwijać się pocznie.

Książka Henryka George'a, przetłómaczona przez Gütschowa na język niemiecki (*Fortschritt und Armuth*), doznała w Niemczech wielkiego powodzenia. Znalazła tam grunt dostatecznie już przygotowany. „Średnia ludność rolnicza—pisze baron Thüngen z Frankonii w liście otwartym do Bismarcka — zaczyna znikać; bogaci kapitaliści tanio nabywają wielkie *latifundia*, które zamieniają na pastwiska: włościanin staje się tém, czém był przed dwustu laty, zwykłym pasterzem. Część ludności wiejskiéj emigruje..." Teorya renty miała w Niemczech gruntownego badacza, który w jeszcze wyższym stopniu wykazał jéj charakter społeczny, aniżeli to uczynił Ricardo. Był nim Rodbertus von Jagetzow, wielki właściciel ziemski i były pruski minister handlu w r. 1848. Wreszcie zasada unarodowienia ziemi, miała w Niemczech już od r. 1870 gorliwego propagatora.

Doktór medycyny, Teodor Stamm, pisząc swe dzieło o zniweczeniu chorób (*Krankheitsvernichtung*), zauważył, że najważniejszą przyczyną szerzenia się chorób zaraźliwych jest zanadto wielkie skupianie się ludności w pewnych miejscowościach. Skupianie się zaś owo pochodzi przeważnie z tego powodu, że własność prywatna ziemi, przeszkadza ludności rozszerzać się tak, jakby tego było można się spodziéwać, jak tego wymaga jéj interes. Uzupełniając więc swoje dzieło, ogłosił on w r. 1870 rozprawę p. t. *Die Erlösung der darbenden Menschheit* (Wybawienie w niedostatku żyjącéj ludzkości), w któréj proponował stopniowe nabywanie gruntów prywatnych przez państwo. Myśl ta zajęła tak mocno jego umysł, że poświęcił się cały jéj propagandzie i w celu jéj popierania, założył 10. kwietnia 1874 r. w Berlinie *Verein für Humanismus*.

Na tak przygotowanym gruncie dzieło George'a sprawiło wielkie wrażenie. Szczególnie zapalił się do nowéj myśli Michał Flürschheim, dyrektor fabryki, zatrudniającéj przeszło 500 robotników, w Haggenau w Badeńskiém. Opiérając się na wywodach George'a, napisał on sporą książkę p. t. *Auf friedlichem Wege* (Na drodze pokojowéj), która spopularyzowała w Niemczech sprawę una-

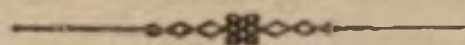
rodowienia ziemi. Drugie bardzo tanie wydanie téj książki wyszło w r. 1884 w Baden-Baden. Niedawno pojawiło się trzecie wydanie. Autor proponuje, ażeby państwo wykupiło ziemie za pomocą emisyi listów zastawnych i przyjęcia na siebie wszystkich długów hypotecznych, i mniema, że operacya ta z powszechném zadowoleniem da się szybko uskutecznić. Flürschheima bardzo gorliwie poparł von Hellsdorf Baumersrode, właściciel dóbr rozległych i autor dzieł: „*Die Verstaatlichung von Grund und Boden oder Schutzzölle in der Landwirtschaft*“ (Upaństwowienie gruntu i ziemi albo cła ochronne w rolnictwie) i „*Das recht auf Arbeit und die Landfrage*“ (Prawo do pracy i kwestya ziemska).

Ażeby nadać agitacyi w sprawie unarodowienia ziemi szersze rozmiary, zwolennicy reformy w tym kierunku, zgromadziwszy się w Berlinie 6 czerwca 1886 r., założyli *die deutsche Landliga* (Niemiecką ligę ziemi), i mianowali honorowym jéj prezesem d-ra Teodora Stamma, łącząc w ten sposób nowszy ekonomiczny kierunek z poprzednim filantropijnym. Liga ma własny organ p. t. *Land*, a nadto rozporządza pomocą 17 rozmaitych innych pism. Propaganda jéj dąży obecnie przedewszystkiém ku temu, ażeby nadać państwu monopol udzielania pożyczek na hypotekę, a to w celu ażeby w ten sposób państwo mogło się stać powoli rzeczywistym właścicielem, pobiérającym rentę gruntową z majątków zastawionych.

Propagandę unarodowienia ziemi we Francyi prowadzi Ferdynand Maurice, redaktor dziennika *La terre aux paysans* (Ziemia dla włościan) i autor dziełka: *La réforme agraire et la misère en France* (Reforma rolna i nędza we Francyi).

Mówiłem tu tylko o unarodowieniu ziemi, które ogranicza się na zniesieniu monopolu prywatnego własności ziemskiéj, lecz gospodarstwu rolnemu pozostawia jego dawny charakter indywidualny. W tym ruchu agrarnym, tak samo jak w ruchu spółdzielczym, widzimy pewne zbliżenie się ekonomistów i socyalistów. Ułatwi to niezawodnie przeprowadzenie nowéj reformy, a ta usunie jednę z najważniejszych przeszkód do dalszéj ewolucyi ustroju produkcyi rolniczéj.

B. L.





Z „WOJTKA SKIBY."

Z PIEŚNI PIERWSZEJ.

Pierwsze lata Wojtka.

. . . . , ...
. . . .

Toż i mój Wójtek—takie bowiem imię
Dano mu na chrzcie w pamięć apostoła,
Co, choć snem wiecznym w świętém Gnieźnie drzymie,
Z srebrną infułą u bladego czoła,
Duchem, gdzie chłopska chata i stodoła,
Wnika wesołym, pierwszém słonkiem grzeje,
Pierwsze bociany na topole woła,
Pierwszém się okiem wolnych stawów śmieje
I nowe budzi życie i nowe nadzieje—

Toż i mój Wojtek od najrańszéj doby
Musiał uczuwać, jak biéda nienackiem
Twarde dla niego gotowała żłoby;
Nikt się nie myślał pieścić z nim, jak z cackiem;
Gardziel, gdy płakał, zatykano plackiem,
Który matula upiekła w popiele;
A kiedy chory, w lekarstwie prostackiem
Daléj po radę: gotowano ziele,
Lub czary jakie babsko zwiędłą wargą miele.

Bo skąd rodzicom, choć jak wosk tak mięcy,
Jakieś niezwykłe robić tam zachody,
I skąd się troszczyć zbyt o los dziecięcy,
Kiedy od świtu, gdy zapłonie, młody,
Na cichém niebie skrą srebrnéj urody,
Aż do późnego wieczoru, co skarby
Rzuca ostatnie w bezdenną głąb wody,

Trzeba pracować, że się ciało w garby
Przegina, że blademi lśnią się twarze farby.

Wprawdzie swą chatę mieli, i w oborze
Krowę-staruchę i kawałek ziemi,
Gdzie żyto w cichym szumi rozhoworze
Lub drży pszenica kłosy złocistemi,
Że człek, melodyi tych dźwięki sennemi
Ujęty, chciałby sam się zmienić w żyto,
Lub kłos pszenicy i tak szumiéć z niemi,
W zamian za pieśń swą mając słodkie myto:
Te wieńce, które z rosy perłowéj uwito.

Lecz by utrzymać tę po ojcach schedę,
Co kilka korcy dawała omłotu;
By coś dorobić na starość, na biedę,
I aby dzieci rzucić bez kłopotu,
Gdy przyjdą czasy smutnego odlotu:
Trzeba, dopóki starczy świeżość życia,
I sił nie szczędzić i nie szczędzić potu,
Co z swego źródła, ze swego ukrycia
Rzęsistą spływa kroplą słońcu do wypicia.

Więc *on*, gdy własne obrobił zagony,
Na co zbyt wiele nie poświęcał czasu,
Szedł za zarobkiem w te i w owe strony:
Rankiem, napiwszy żuru się lub kwasu,
Daléj z siekierą do pańskiego lasu;
Albo „na morgi", skoro przyjdą żniwa,
Z kosą, dzień cały, jak wół, bez popasu;
A kiedy wieczór innych do snu wzywa,
On swoje ścina żyto i w snopki związywa.

To znów jesienią do bliskiéj cukrowni
Z kobiałką w ręku, okryty kireją;
A tak się pracą rozpala, jak głowni
Kawał płomiennéj, i zysku nadzieją;
Za nic, choć czasem ludzie się pośmieją:
„Ej! wy Bartoszu, zapewne folwarki
Myślicie posieść; folwarki nie grzeją;
Łyżką rosołu i kieliszkiem starki,
Gdy w zimny grób was wpędzi ta praca bez miarki.

Ani was w karczmie, ani was w mieścinie;
Zawsze zdaleka, jak jaki zaklęty;
A przecież życie nie na to nam płynie,
Aby zaświerzbiéć nie miały nas pięty;
Trochę pohulać, mój ty Boże święty!
Trochę się rozgrzać, wszak to nie zaszkodzi;
Gdy człek domiesza pieprzu albo mięty,
Czuje, że krew mu bije jakoś młodziéj,
Że jakiś nowy duch się w starém cielsku rodzi".

„Ha! kto ma na to, niech sobie pohula!
Ja-ć tam nie stary, więc téż i bez wódki
Jakoś mi ciepło! a pierzyn do Szmula
Nie myślę zanieść, aby zalać smutki;
Skrzynkę zamykam zawsze na trzy kłódki,
Aby pokusa nie brała człowieka
Szastać tém ździebłkiem grosiwa; czas krótki,
A chłopak rośnie, starość niedaleka,
Pójść żebrać? kto wie, jaki los nas jeszcze czeka".

Zresztą i Bartosz nie był od zabawy
I nie przeklinał na skrzypce i tany:
Lubił sam czasem zakasać rękawy
I podjąć skrzydła niebieskiéj sukmany
I „okrągłego!", gdy sąsiad kochany
Żenił synala albo chrzcił córunię...
Wtenczas, gdy grajek rzępolił pijany,
Rzucał talarka: „Héj! na jednéj strunie!
A graj-że mi od ucha, szubrawcze! kołtunie!.."

Lecz ucztowanie takie nazbyt rzadkie,
Ledwie raz na rok. Trudno, chłopskie drogi
Nie są tak kwietne i nie są tak gładkie,
Jak je gotują innym dobre bogi.
Kogo ujęła raz w swój uścisk srogi
Ta nędzna dola, ten, choć znajdzie chwilę
Słodkiego wczasu, rzuca wnet stan błogi
I w trud powraca i w codziennym pyle
Znów kroczy bez wytchnienia ku smutnéj mogile.

Wszak tu i rozkosz, jak się często zdarza,
Łatwiéj popycha w przepaściste ścieki:
Naturę ludzką kałużą znieważa,

Zamiast oczyszczać srebrzystemi rzeki;
Gdy zakosztuje chłop jéj raz na leki,
Na zapomnienie biedy i niedoli,
Ileż potrzeba sił mu, by na wieki
Nie wpaść w tę otchłań, i, że serce boli,
Że troska piecze, kończyć w karczmisku z „mankolji.“

Bartłomiéj Skiba, chociaż miękką duszę
I choć miał serce, jak mówią, na dłoni,
Nie wmawiał w siebie: „Dyć, kłopot przyprószę,
Człek, choćby pragnął, trudno się obroni,“
Tylko za pracą uczciwą w pogoni
Szukał lekarstwa na nędzę i troski—
Tak, że gadano: „on za parę koni
Starczy w robocie, z niego chłop śród wioski
Najlepszy—widać, nad nim oko łaski boskiéj“.

Ale i *ona*, matka bohatera
Nieromantycznéj téj mojéj powieści,
Co jest prawdziwa i taka jest szczera,
Jak owa iskra, co się w sercu mieści
Zwyczajnéj chłopki i raz w żar boleści
To znowu w radość jasną się rozpala
I całą duszę choć na chwilę pieści,
Że cała dusza, jak jeziorna fala,
Drży, szumiąc, i w złociste blaski się skrysztala—

I ona dzieli zwykłą dolę męża,
Tak jak przystało prostaczéj kobiecie,
Któréj się rzadziéj czepia śliskość węża,
Niż na tym wielkim, na tym pustym świecie,
Gdzie na swą rękę jedno z stadła plecie
Ze ziół trujących duszne marzeń wieńce,
A drugie złoto swoje rzuca w śmiecie
I czystość serca i wstydu rumieńce:
Oboje smutnéj hańby i przesytu jeńce.

Gdy on na pańskie albo do fabryki,
I ona z łóżka, nim się zmierzch rozwieje;
Drzazgi w kominku roznieca w płomyki,
W glinianym garnku trochę strawy zgrzeje
Dla niego w drogę; a kiedy wysieje
Całą garść blasków na zagony świata

Olbrzymia zorza, dźwięcznym głosem pieje
„W i t a j j u t r z e n k o“ i kąty zamiata
I w dzień tak swoję pracę jak w różaniec wplata.

To trza naprawić mężowską koszulę,
To do jeziorka, by wyprać pieluchy,
Kaczętom „r z ę s y“ nawybierać w mule,
To znowu w pole po karm’ dla staruchy:
Ściąć trochę trawy i narwać łopuchy;
Czasem w ogrodzie pokręcić się trzeba,
Tutaj coś skopać, tam zlać zagon suchy,
A nawet w żarnach na bochenek chleba
Garść szrótu umléć z żyta, które dały nieba.

Nieraz za orkę albo za furmanki
Do gospodarza trza pójść na odrobki,
Więc dziecko w płachtę, w rękę sierp i dzbanki,
I tak odbiérać, grabić, wiązać snopki,
Że aż pot ciecze z czoła biednéj chłopki...
A Wojtuś w bruździe płacze, aż z płachciska,
Kręcąc się, gołe pokazuje stopki.
Nic to... dopadnie, w piąstkę kromkę wciska
I znów powrósło w rękę, sierp albo grabiska.

Często do miasta, pod sąsiadki bokiem
Pozostawiwszy na łasce dzieciaka,
Z osełką masła lub z marchwi tłomokiem
To z jajek mędlem, jeśli jaka taka
Świeci pogoda, pędzi lotem ptaka;
Często, gdy nagła potrzeb, nawet w słotę;
Wszakże to życie jest, jak płaszcz żebraka,
Wszędzie ma dziury, daje wciąż robotę:
To soli trza, to nici, neslu na kapotę.

Więc się nie dziwcie, że w téj, moi drodzy,
Codziennych zajęć strasznéj zawierusze,
Nie mają czasu ludziska ubodzy,
Ażeby chuchać na swych malców dusze.
Przeto tak rosną, jak na polu grusze—
Nikt ich nie pieści, chyba słonko żywe,
Co je w kwieciste przyodziewa prósze:
Jak rade wtedy, jak wtedy szczęśliwe!
Płonieją i drżą całe w akordy senliwe.

Zresztą, przyznaję, abyście przypadkiem
O fałsz nie chcieli oskarżać poety,
Że w zmrok was tuli, choć sam słońca świadkiem,
Że nazbyt wiele ciemnych farb z palety
Nabiéra swojéj i tak wam, niestety!
Maluje życie tylko z smutnéj strony,
Kryjąc umyślnie rozkoszne podniety—
Zresztą przyznaję: i tutaj złocony
Poigrał czasem promyk wokół drzew korony.

Zwłaszcza, gdy „tata" umiał już i „nana"
I „papu" cienkim szczebiotać językiem,
Ojciec wieczorem brał go na kolana,
Huśtał i szeptał: „jestem twym konikiem"—
A Wojtuś z śmiechem i dziecięcym krzykiem
Rwał się do góry, chwytał go za szyję
I „wio! wio!" śmigał nad głową biczykiem,
Aż mu w oczęta, jasne jak lilije,
Znużenie swemi wargi ciepłemi się wpije.

Wtedy go matuś kładzie w kolebinę
I nachyloną twarz do niego tuli
I „śpij, mój złoty! skarby me jedyne!
Luli, mój synku! mój najdroższy, luli"
I tak się z sennym pieści i tak czuli
I tak mu nuci: „o mój mocny Boże!"
Aż w sen się skleją i oczy matuli,
Aż nad kołyską i ją trud przemoże,
By zbudzić, zanim jeszcze spłoną złote zorze.

Kiedy podrastał mój bohater mały,
Już-ci mu przyszło zaprządz się do woza
Zwyczajnéj pracy: z rana, wpółospały,
W pole na sporym kawale powroza
Prowadził krówsko, tam, gdzie szumi łoza,
Gdzie się tatarak we wądolcu chwieje;
Lub na kraj lasu, kędy tomentoza
Rozwitym kwiatem z zarośli się śmieje
I rani drobne palce, że aż krew się leje...

To na przyrowki i na te przydroża,
Gdzie ot! w słoneczku tak się złocą mlecze,
Jak ona w duszy myśl o szczęściu hoża,

Z swą się staruchą pomalutku wlecze.
A kiedy słońce nazbyt w główkę piecze,
Popuszcza krowę, siada pod topolą
Albo pod żytem, nim je kosa zsiecze,
Kraśne paznogcie obrywa kąkolom,
Lub słucha, jak szum leci gdzieś za bożą wolą...

Nieraz z podziwu aż otwiéra usta,
Tak go ogarnia ciężki szelest kłosów;
I okolica przed chwileczką pusta,
Dźwiękiem nieznanych wypełnia się głosów;
Zkąd one płyną? czy z jasnych niebiosów,
Na których białe pasą się owieczki,
Ba! dużo bielsze, niż one ze wrzosów
Młode jagniaki gospodarza Sieczki —
Z pewnością mają wszystkie u karków dzwoneczki...

Kiedy pod wieczór wróci do chałupy,
Bydlę przywiąże na noc do koryta,
Gdy mu podłoży liści ze dwie kupy.
Tak się matusi zaraz cwałem pyta,
„Przez co się dzieje, że wéj! one żyta
Jak zaczną szumiéć“, powiada, „to z niemi,
Niby tam jaka kapela ukryta,
Gra coś na niebie i na całéj ziemi
Téż buczy“—tak jéj mówi z oczy świecącemi...

A matuś na to uśmiechnie się szczerze
I ciekawemu tłómaczy chłopczynie,
Że to Pan Jezus otwarł złote dźwierze
Hen! tam u góry, w niebieskiéj krainie;
Że to anioły tak grają, aż płynie
Dźwięk ten na ziemię, gwoli chwały bożéj
I gwoli dusz tych, co w jednéj godzinie
Tysiącem śpieszą ku wieczystéj zorzy,
Rzucając nędzne ciało, co się w grób położy.

Gdy główka spocznie na poduszce w kratki,
Gdy się pierzynką przykryje cycową,
Tak one dusze i anioły matki
Naraz mu skrzydłem trzepocą nad głową,
Wszystkie bieluśkie, jakby je kto w nową
Przybrał koszulkę, niby w jego własną,

Którą mu z wolą kupiła ojcową
Matuś na targu ze wstążeczką krasną:
Ba! wyrósł z téj dawniejszéj—już mu téż za ciasną!

Wręcz mu się widzi, że izbę całuśką
Wypełnia ciche bożych duchów granie,
Lecz jeszcze milsze, niż wczoraj, gdy z „muśką“
Tak się wsłuchiwał przy tym żytnim łanie;
Toć na postronka nie zważa targanie,
Gdy gdzieś w lucernę ciągnie go starucha,
Że wszystkie prośby tam na nic i łkanie—
Tylko spokojnie tak słucha i słucha
I sam się bodaj zmienia w niebieskiego ducha.

Nieraz na polu, gdy skulony marzy
Na jakiéj ścieżce, zarosłéj krwawnikiem
I oną trawą, co w wietrze się waży
W tę i w tę stronę, upstrzona bezlikiem
Jaskrów złocistych; albo nad strumykiem,
Co przez sitowie sączy i rogoże,
Gdy sobie siędzie, za „pasikonikiem“
Goniąc oczyma, słodki sen go zmoże,
A wtedy źle się dzieje, ratuj, Panie Boże!...

Wtedy postronek z ręki mu wypada,
Bydlak niecnota pędzi w cudzą szkodę,
Nie zważa na nic: z żyta kłos objada,
Że aż mu rośnie brzuch w prawdziwą kłodę;
Wtedy to sąsiad, jak to mówią, wodę
Czuje na wargach ze złości i leci,
Aby nauczyć niebożątko młode
Trochę rozumu — trzeba chować dzieci:
Tak bije, aż się w oczach Wojtkowi zaświeci.

Lecz chłopaczysko, zbudzony z marzenia
Tak bezlitośnie, mrugnie okiem prawem,
Coś się otrząśnie, poprawi odzienia
I łzy obetrze podartym rękawem;
Spojrzy na żyto, co w świetle złotawem
Mieni się całe, i za krówskiem daléj;
Choćby mu pewnie biegła krew upławem,
Téżby nie było inaczéj; ze stali
Wzdyć nie był, lecz się jednak przed nikim nie żali.

Nie robił tego z jakiejś tam zasady
Filozoficznéj, za wielkim był na to
Jeszcze smarkaczem; jeszcze nie znał rady,
Którą podawał zapaleńcom Kato,
Że gdy się spotkasz choć z największą stratą,
Znoś ją spokojnie; rezygnacja wzniosła,
Która za trudy darzy cię zapłatą
W złocistém niebie, zmieniając cię w posła
Ewangelicznéj prawdy, w kwiat w nim nie wyrosła.

Poprostu z téj się nie skarżył przyczyny,
Że nie miał przed kim; matka, by się wrzaskiem
Dzieciaka zająć, nie miała godziny
Wolnego czasu, a zresztą niesnaskiem
Nie chce się z starym poróżnić Karaskiem:
Nieraz jéj tłómok zabierze do miasta;
Tatuś bo jeszcze poprawiłby paskiem,
Lub do kościoła, choć się malec szasta,
Nie zabrałby: „siedź w domu“, rzekłby, „no i basta!“

Zaś do kościoła, gdy przyjdzie niedziela,
Lub jakie święto wioszczynę odświeży,
Wojtuś jak iskra: uszczknie trochę ziela
Za kapelusik, w lusterku się zmierzy,
Czy mu kołnierzyk jako-tako leży;
Podciągnie spodni, czuprynę przygładzi,
Potartą masłem niesłoném; z odzieży—
Sukmanki ciemnéj — strzepnie kurz i sadzi,
Aż „starzy“ się uśmiechną, strojnisiowi radzi.

I w domu bożym zachować się umie;
Gdzie tego potrza, przyklęknie przykładnie —
Anoć zgorszenia w tym pobożnym tłumie
Niby nie daje; tylko kiedy wpadnie
Proboszcz z ambony na ludek, że kradnie,
Że cudzołoży, zabija — choć o tem
Nikt tu nie słyszał — że pokusa zdradnie,
Zdobna w jedwabie i oblana złotem,
Otwiéra piekło cicho, nie z głośnym łoskotem;

Kiedy ta mądra oracya księdza
Korne prostaczki w straszny ryk poruszy
I z serc skruszonych szatany wypędza,

Których zbyt wiele ponoć w chłopskiéj duszy:
Kiedy się kapłan tak od gniewu puszy,
Co świętym ogniem zléwa dwa księżyce
I kark grubawy, aż po same uszy —
To Wojtusiowi jakoś się źrenice
Nie świécą, łzy, jak groszek, nie cieką na lice.

Toć nie dziwota: nazbyt młody jeszcze,
Aby słów pańskich mógł przeniknąć głębie
I uczuł w sobie one silne dreszcze,
Że człek się trzęsie, jak ów liść na dębie,
Albo jak wróbel, gdy szpony jastrzębie
Ujrzy za sobą śród szlaków powietrznych,
Napróżno patrząc, czy w jakie nadzrębie
Nie wciśnie szyi do schronień bezpiecznych,
Miast dać ją, Bóg wié za co, do szpon krwawosiecznych.

Natomiast komża, bielutka jak mleko,
I wstęga jasna, co po komży spływa;
One zapachy, co z kadzideł cieką
I tak się kłębią jakby jaka grzywa;
Organ, co z jękiem i lękiem wygrywa
Na chwałę bożą te pieśni prostacze,
Aż siedmioraki miecz serce przeszywa,
Że serce bodaj łzy krwawemi płacze
Na żal biédnego ludu, na ludu rozpacze—

Nawet słów obcych niezwyczajne tony,
Które naprzemian z starym organistą
Śpiéwa księżulek, do ludu zwrócony,
Czasem w Wojtusia płyną duszę czystą,
Aż jego oczy biorą barwę szklistą,
A one wargi, co przed chwilą drżały,
Strojne w koralu prześwieżość ognistą,
Są, jako róży kielich skamieniały:
Zaklęły w nich zdrowaśkę łacińskie hejnały...

Wróciwszy do dom, już-ci zaraz duchem,
Ledwie że gębę po obiedzie zmyje,
Nakrywa plecy matczynym fartuchem
I pas ojcowy przewiesza przez szyję,
I po dziadusiu, co dawno nie żyje,
Wziąwszy „Nowennę“, częstochowską księgę,

Wręcz po „łacińsku“ śpiewa litanije,
Że znać wyśpiewa całą płuc potęgę,
Prawdziwie, jak ksiądz, strojny w ornat i we wstęgę.

Ztąd też rodzice, patrząc na synalka,
Śmieją się w duszy, jakby złotu radzi:
„Wiész ty“, powiada stary, „wiész, Rózalka,
Ku chwale bożéj być tak nie zawadzi;
Pamięta, mówią, Bóg o swéj czeladzi,
Znać, że chłopaka ku temu już stworzył;
Toć na majątek człek się tam nie sadzi,
Lecz gdyby kupkę nie wielką téż złożył,
Sam Bóg wié, jakiéj jeszcze pociechy-by dożył...

„Ta, umiész czytać, daj se trochę znoju
I weź Wojtusia, choćby tak na próbę—
Ja bo do tego nie mam już spokoju;
Może i pisać—me ręce za grube;
Poucz, niech wyjdzie rodzinie na chlubę;
Jak pójdzie dobrze, toć człek jeszcze zdrowy;
A zresztą dałbym całą nawet hubę,
Byle coś było... dyć, i ksiądz z Olchowy
Z biédnego ponoć stanu—téż-ci pasał krowy“...

Tak sobie nieraz przekładają „starzy“,
Siedząc w izdebce lub wracając z pola. .
Bartosz już naprzód w głowie sobie waży,
Jaka to szczęsna będzie kiedyś dola,
Gdy tak z ambony... anoć boża wola
Niby we wszystkiém. . Panie, broń od pychy...
Lecz jak to ładnie... tsia! niech pójdzie rola,
Niech pójdzie chata!.. człowiek umrze cichy,
Gdy ujrzy, że syn wyszedł nie na żadne śmiéchy!

I matuś na to zaraz jak na lato,
Do cnéj roboty zabierze się skora;
Gdy przyjdzie z pola, poskromi się z chatą,
Zajrzy, czy w dobrym porządku obora—
Jak tam wypadnie: z południa, z wieczora
Daje chłopczynie „alamentarz“ w rękę
I nachylona, z głoskami się pora
I „a-a, be-be“, śpiewną pocznie mękę,
I Wojtuś „a-a, be-be“ powtarza piosenkę.

Wnet się matczyne skończyły zasoby,
Wojtuś już przeszedł elementarz cały,
Więc znowu stary rzecze jednéj doby:
„Pewnie-ć, kobieto, ten *gieszeft* za mały,
Trzeba coś więcéj; z folwarku słyszały
Téż o Wojtusiu panienki; „godzinę“,
Mówią, téż rade-by chłopczysku dały...
Nie chcemy darmo... masła osełczynę—
Lub czasem coś się zrobi—toć przecie nie zginę“...

I tak na dalszą szedł Wosio naukę
Choć nie do dworu, jednak dworu blisko:
Gorzelniczanki ponoć znały sztukę,
O jakiéj żadne nie marzy chłopisko;
Były „we szkołach“, widziały ognisko,
W którém się prostak na mędrca przetopi,
Jak na stal świetną zwykłe żelazisko;
Przytém, mówili chłopi i nie-chłopi,
Obyczaj u nich święty, zła nikt nie wytropi....

. . . .
. . . .

Jan Kasprowicz.





PRACA I ODPOCZYNEK.

W pierwszéj połowie maja r. b. donosiły dzienniki o wielkiéj zmowie robotników w niemieckich kopalniach węgla, mianowicie w Westfalii. Pisano o 90—100 tysiącach świętujących, a raczéj próżnujących ludzi. Że zaś próżnując, niemniéj jeść trzeba, robotnicy innych krajów, jak np. Belgii, Anglii ratowali braci niemieckich zasiłkami. Taktyka nie nowa w naszém stuleciu, dawniéj nieznana, chyba w zawiązkach chrześciaństwa; ale wówczas oczywiście pod wpływem pobudek religijnych. Zmowa górników-węglarzy niemieckich stanowi tylko jeden z epizodów walki prowadzonéj między kapitałem a pracą i przybrała odrazu charakter groźny głównie dla tego, że brak węgla wstrzymałby cały niemal ruch przemysłowy i komunikacyjny: musiałyby stanąć wszystkie motory poruszane parą. Grozę położenia zrozumiał rząd prusko-niemiecki; posłano parę batalionów wojska do miejsc najbardziéj zaniepokojonych. Ale samą siłą materyalną takich spraw rozwiązać niepodobna: pomyślano o zgodzie i w tym celu wezwano do Berlina deputacye od przemysłowców i robotników. Do obu deputacyi przemawiał sam cesarz niemiecki. Przemysłowcom powiedział, że powinni wejść w słuszne żądania robotników; tym zaś ostatnim zalecił umiarkowanie i postawił na widoku potężną armią. Przemowa nieco poskutkowała. Zaraz potém czytaliśmy doniesienie z Berlina téj treści: „Przebywający tu obecnie delegaci kopalni westfalskich ułożyli podstawy zgody z robotnikami, mianowicie, że robota dzienna w kopalniach będzie odtąd wynosiła tylko ośm godzin; roboty ponad tę normę mogą być żądane jedynie po uprzedniéj umowie zawartéj z robotnikami; płaca dzienna zostaje znacznie podwyższona". Delegaci robotników zapewniali, że im nietyle chodzi o podwyżkę płacy, ile raczéj o skróccnie dnia roboczego:

W chwili, gdy to piszemy, dzienniki doniosły, że znaczna część robotników wróciła do pracy. Niebezpieczeństwo zostało na chwilę zażegnane.

Nad inną, ale w związku z rozważanym przedmiotem sprawą obradował parlament niemiecki w latach 1877, 78, 82, 83 i 85. Chodziło o odpoczynek niedzielny. Pomimo, że ordynacya rzemieślnicza cesarstwa Niemieckiego wyraźnie mówi, iż „do pracy w niedziele i święta robotników zobowiązywać niewolno, z wyjątkiem takich robót, które zwłoki lub przerwy nie dozwalają"; jednakże we wszystkich niemal gałęziach pracy przemysłowéj dzieje się inaczéj. Ponawiane z tego powodu w parlamencie interpelacye kończyły się zwykle odkładaniem do jutra; nareszcie w r. 1885 rozmaite frakcye parlamentarne sformułowały następujące wnioski. C e n t r u m: Należy wezwać rząd, ażeby złożył projekt do prawa, któreby zakazywało roboty w niedziele i święta, z wyjątkiem ściśle określonych a niedających się przerywać robót; ograniczenie roboty dzieci i kobiet po fabrykach; oznaczenie maksymalnego czasu pracy dla dorosłych robotników. Inny wniosek, deputowanego Lohrena, żądał zakazania w niedziele i święta oraz w nocy, roboty kobiet. Pastor Stöcker i konserwatyści domagali się, ażeby wprzód inspektorowie fabryczni złożyli sprawozdanie: gdzie, w jakich gałęziach pracy, i ile dziennie godzin robotnicy pracują. Narodowo-liberalni również uczynili wniosek, ażeby urzędy związkowe zebrały wiadomości o pracy w niedziele i święta, jak niemniéj o pracy dzieci i kobiet w nocy. Socyaliści podali wniosek sformułowany bardziéj szczegółowo, a zawierający takie punkta: uregulowanie pracy więźniów; oznaczenie maksymalnego czasu pracy we dnie do 10 godzin, a tam, gdzie się pracuje bez przerwy dniem i nocą, do 8 godzin dziennie; zakaz pracy dzieci; zakaz pracy w niedziele i święta (z pewnemi wyjątkami); ograniczenie targu w niedziele do 5 co najwyżéj godzin; zakaz pracy nocnéj, z wyjątkiem robót nie dających się ze względów technicznych przerywać a także i w komunikacyi; zakaz pracy nocnéj kobiet i młodzieży; wydanie przepisów co do dnia wypłaty zarobków, co do truck-systemu, książeczek robocizny, terminu wypowiadania pracy itd. Wnioski przekazano komisyi z 28 posłów złożonéj.

Rozprawy nad temi wnioskami ciągnęły się w komisyi długo, ale najdłużéj, bo przez 19 posiedzeń (początek r. 1885) nad punktem dotyczącym pracy niedzielnéj. Nareszcie książe Bismarck rozesłał do rządów zwiąkowych wezwanie z jednobrzmiącym schematem, ażeby dostarczyły wiadomości o pracy niedzielnéj w rozmaitych gałęziach przemysłu. Nadto, okólnik żądał wyrażenia opinii

co do tego, jakie następstwa pociągnąłby za sobą zakaz pracy w niedziele tak dla przemysłowców, jak i dla robotników. Na początku 1886 r. nadesłano do ministeryum spraw wewnętrznych przeszło 30,000 odpowiedzi. Uporządkowany ten materyał ogłoszono drukiem w 3 olbrzymich tomach i rozdano posłom sejmowym. Dotychczas nie czytaliśmy, ażeby parlament powziął jakie stanowcze uchwały, obowiązujące całe państwo, co do odpoczynku w niedziele i święta. Z nadesłanych wiadomości okazało się, że prawie we wszystkich gałęziach przemysłu Niemcy w niedziele krócéj lub dłużéj pracują, a przemysłowcy têm się zasłaniają, iż gdyby zaprzestano pracy w niedziele, zabije ich produkcya angielska i amerykańska. A znów Ameryka i Anglia, gdzie niedziela jest do przesady szanowana, skarżą się na Niemców, że swoją tańszą produkcyą podrywają ich przemysł (1).

Na początku roku bieżącego doniosły dzienniki, że rząd szwajcarski wystąpił do państw europejskich z propozycyą odbycia wspólnéj narady w sprawie robotniczéj i że otrzymał przychylne odpowiedzi. Narada ma obejmować następujące przedmioty: Zabronienie pracy w niedziele i święta, określenie *minimum* wieku małoletnich robotników fabrycznych, oznaczenie długości dnia roboczego dla małoletnich, zakaz przyjmowania małoletnich i kobiet do fabryk zdrowiu szkodliwych, ograniczenie pracy nocnéj małoletnich i kobiét, obmyślenie środków egzekucyjnych dla mających zapaść postanowień. Narada zapowiedziana jest na wrzesień r. b. Widzimy tu krok naprzód do urzeczywistnienia dążeń humanitarnych, wprowadzenie sprawy na grunt międzynarodowy. Póki bowiem jedno państwo przedsiębierze środki prawodawcze, zmierzające do ukrócenia swawoli kapitału, pozostają one bez skutku: kapitał ściągnie ręce do pracy z innych krajów i powoła się na wolność pracy, któréj droższym jest żołądek niż odpoczynek.

U nas stosunki, pod względem pracy i odpoczynku, nie są lepsze, niż na Zachodzie. Wprawdzie brak nam ścisłych wiadomości statystycznych; ale i to, co przypadkowo z dzienników dochodzi uszu publiczności, lub co każdy mógł zauważyć w swojéj okolicy, bądź w najbliższém otoczeniu, świadczy, iż kapitał wszędzie kieruje się jedną zasadą: byle więcéj zyskać. Od czasu ustanowienia rządowych inspektorów fabrycznych, wychodzą na jaw fakta, wcale niepocieszające. W początkach roku bieżącego, czytaliśmy w dziennikach, że w Łodzi, w przędzalni Maurycego Baumgartena,

(1) Streszczenie wspomnianych 3 tomów mieści książka niemiecka *Die Sonntags-Arbeit* (1888).

nieletni robotnicy pracowali po 15 godzin dziennie zamiast 8-miu Kapitalistę pociągnięto do odpowiedzialności sądowéj. U Rozalii Feinkindowéj w warszawskiéj fabryce wszywek, nieletni pracowali po 11 godzin dziennie. Za to nadużycie oddano właścicielkę fabryki pod sąd. Innych, podobnych faktów, o których coraz częściéj donoszą dzienniki krajowe, nie przytaczamy; jesteśmy téż prawie pewni, że po magazynach modniarskich, fabrykach, warsztatach, po domach prywatnych wśród służby, na drogach żelaznych, w kopalniach, wszędzie, gdzie chodzi o jaknajwiększy „profit" z rąk najemnych, nadużycie pracy i brak odpoczynku, innemi słowy pompowanie zysku odbywa się nie gorzéj, niż u bardziéj rozwiniętych pod względem przemysłowym naszych sąsiadów. Wprawdzie zarzucamy sobie i nie bez słuszności lenistwo, budzi w nas zazdrość materyalna pomyślność innych narodów; przypisujemy ją trwalszéj i umiejętniejszéj ich pracy; chcielibyśmy takąż pracą dźwignąć siebie z ruiny. Wszystko to bardzo pięknie; ale zapominamy, że sprawa ma i drugą, ciemną stronę. Na Zachodzie już ludzie otworzyli oczy na ujemne następstwa nadmiernéj pracy, objawiające się nadprodukcyą i przesileniami, zwyrodnieniem całych pokoleń, niezdolnością do służby wojskowéj, wielką śmiertelnością klasy pracującéj i coraz grubszém jéj dziczeniem. Dlatego między innemi reformami społecznemi, za najnaglejszą uważają określenie powszechném prawem normalnego dnia roboczego (10 do 8 godzin dziennie) i zakazanie pracy w niedziele i święta......

Przytoczone wyżéj projekta do praw, mających bronić klasy pracującéj od przeciążenia robotą; zbierane drogą urzędową wiadomości o pracy niedzielnéj; przykłady nadużyć odnośnie pracy małoletnich, kobiet, oraz pracy nocnéj, zdają się wymagać z jednéj strony choćby pobieżnego uzasadnienia potrzeby odpoczynku, a z drugiéj potrzeby wdania się prawodawcy w uregulowanie stosunków nienormalnych.

Dowodzić teoretycznie potrzeby odpoczynku dla człowieka pracującego, może byłoby rzeczą zbyteczną, tak potrzeba owa jest widoczną i konieczną; niemniéj jednak rozważający tę sprawę, powołują się na względy fizyologiczne i etyczne. Praca jest większym lub mniejszym wysiłkiem systemu mięśniowego i nerwowego w celu osiągnięcia jakiegoś rezultatu. Siła mięśni i nerwów wyczerpuje się po dokonaniu pewnéj pracy; potrzeba stratę powetować pokarmem i odpoczynkiem, ażeby machina daléj mogła działać. Temu już dzisiaj chyba nikt nie zaprzeczy; chodzi tylko o ilość tego odpoczynku......

Niemniéj ważny jest wzgląd etyczny. Człowiek nie jest tylko machiną do wyrabiania pudretów i profitu dla tych, którzy rąk

jego najęli; ma on uczucia, może nie tak delikatne, jak bohaterowie romansów, ale niezawodnie prawdziwsze. Serce i umysł robotnika potrzebują tak samo, jak innych ludzi, odpowiedniéj strawy. Jestże on w możności po kilkunastu godzinach zmudnéj, a nieraz wstrętnéj pracy, przeczytać książkę lub dziennik? Wyczerpanie zapasu siły mięśniowéj, pociąga za sobą przytępienie wrażliwości nerwów i mózgu. W takim stanie człowiek przedewszystkiém potrzebuje snu i wypoczynku: mało go obchodzi: co mówił Crispi z Bismarkiem podczas obecnego zjazdu berlińskiego, albo czy, i kiedy przyjedzie do Warszawy „Fryne“ Siemiradzkiego. Ażeby go takie lub podobne tematy mogły obchodzić, musi rozkurczyć swoje członki, wyprostować ciało, pokrzepić je pokarmem; przypomniéć sobie, że jest człowiekiem. Otóż na to nie ma czasu.

Przypuszczając, że się wszyscy zgadzają na potrzebę odpoczynku dla ludu pracującego, zachodzi pytanie, jaka ilość tego odpoczynku jest konieczna, ażeby robotnik i fizycznie i moralnie mógł jaknajdłużéj być czynnym; innemi słowy, chodzi o uregulowanie prawem powszechném normalnego dnia roboczego. Jeżeli zaś mówimy o prawie powszechném, to oczywiście mogłoby to nastąpić tylko przez najwyższe organa prawodawcze, a témsamém przypuszczamy interwencyą państwa. Otóż, pod tym względem panują zarówno wśród teoretyków jak i mężów stanu, nieprzejednane różnice. Jedni powołując się na zasadę wolności pracy i robotnika, na osławione *laisser faire,* przeciwni są wszelkiemu mieszaniu się prawodawcy w umowę o pracę między przedsiębiorcą a robotnikiem. Zostawić stronom zupełną swobodę co do czasu pracy i wysokości zarobku. Chce najmujący ręce swoje pracować 18 godzin na dobę? wolno mu się zobowiązać. Chce pracować w nocy, posłać do fabryki dzieci nieletnie, czy pełnoletnie? wolno mu, bo przecież jest wolnym człowiekiem i może sobą rozporządzać, jak mu się podoba. Z pozoru, nic sprawiedliwszego nad taki system. To wszakże zadziwia, że z téj sprawiedliwości i wolności wyszła rażąca niesprawiedliwość i niewola ludu pracującego. Skutki zasady i systemu rozwijają się w naszych oczach, a nie są one, o ile przewidywać wolno, ostateczne.

Te to właśnie skutki skłoniły innych teoretyków i mężów stanu do głoszenia i wprowadzania w życie wprost przeciwnéj zasady, mianowicie, że państwo ma prawo a témsamém i obowiązek wejrzenia w umowę o pracę, między przedsiębiorcą a robotnikiem, że zatém powinno czuwać nad dotrzymaniem umowy przez obie strony, nad warunkami kontraktu, a więc i nad ilością czasu roboczego, nad zdrowiem i obyczajami pracujących. Ztąd w naszym wieku

szereg praw, wydanych w rozmaitych państwach, na rzecz klasy roboczéj, co przeciwnicy mianują socyalizmem państwowym i widzą w tych środkach nietylko stopniowe konfiskowanie wolności indywidualnéj, lecz oraz niebezpieczny prejudykat dla pożądliwości proletaryatu.

Przyjrzyjmy się chwilę spornym poglądom.

Zostawić rzeczy naturalnemu biegowi; wolność umowy, nawet wtenczas, gdy do nadużyć prowadzi, bezpieczniejszą i sprawiedliwszą jest zasadą od mieszania się państwa: tak brzmi hasło jednéj strony. Ogólnie biorąc, zasada może być dobra; ale stosowana do najmującego swoje ręce robotnika jest szyderstwem. Co bowiem znaczy wolność przyjęcia roboty lub nieprzyjęcia, gdy żołądek pusty, koszula na grzbiecie w strzępkach, a żona i dzieci słaniają się z wycieńczenia? Trzeba przyjąć warunki najtwardsze, choćby 15 godzin na dobę i płacę, która może wystarczy, a może nie wystarczy na zatkanie gęby rodzinie. To nie jest wolność, to się nazywa mus; a im pracownik szlachetniejszy, im sumienniéj rozumie swoje obowiązki jako mąż i ojciec, tém bardziéj okaże się skłonnym do przyjęcia najcięższych warunków, byle dzień przeżyć.

Strona, o któréj mówimy, szkoła tak zwana manchesterska, inaczéj ekonomiści i statyści wulgarni boją się przedewszystkiém o wolność; wdanie się państwa w regulowanie takich stosunków ekonomicznych, jak normalny dzień roboczy lub wysokość płacy za pracę najemną, grozi, zdaniem ich, poderwaniem wszystkich swobód obywatelskich. Zechcecie może niedługo, żeby się państwo wdawało w to, co mamy jadać, jak się ubierać i bawić. Oznaczycie dzisiaj prawem normalny dzień roboczy na 8—10 godzin; a jutro lub za rok zażądają od was nowego prawa, redukującego czas roboczy do 4 godzin. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Zredukowanie dnia roboczego, choćby na 10 godzin, znaczy zredukowanie produkcyi, zawrócenie społeczeństwa do nędzy, a tém samém podkopanie państwa, które w naszych czasach wymaga ogromnych nakładów, a tych mu zubożony naród nie zdoła dostarczyć.

Na to odpowiadają przeciwnicy, że doświadczenie obaw tych i przewidywań nie potwierdziło. Kiedy bowiem w Anglii na początku bieżącego wieku rozpoczęła się agitacya za wprowadzeniem 10 godzinnego dnia roboczego, wszystkie wyliczone zarzuty podnoszono; a gdy parlament pod naciskiem opinii ujrzał się w konieczności uchwalenia prawa o dniu normalnym, powstał istny sąd ostateczny. Pierwsze z tak zwanych praw fabrycznych, uchwalone w 1837 orzekało, iż dzieci nie mające lat 9 nie mogą wcale być najmowane do fabryk; nie majace lat 13 mogą najwięcéj 8 godzin dziennie pra-

cować, nie mające lat 18, najwyżéj 12 godzin. Prawo z 1847 dla młodzieży niżéj lat 18 i dla kobiet ograniczyło dzień roboczy do 10 godzin. Jakie przeszkody wykonaniu tych praw stawiali przedsiębiorcy, można się doczytać w ówczesnych książkach i dziennikach. Ustanowieni inspektorowie fabryczni nie zawsze zdołali zapobiedz obchodzeniu prawa i wybiegom przemysłowców; sądy nawet odmawiały nieraz swojego poparcia skarżącym. Nareszcie powoli wszystko się ustatkowało, a komisya królewska zdając sprawę z dokonanéj rewizyi w r. 1876, stwierdzała korzystną zmianę w stosunkach robotniczych dzięki przeprowadzeniu praw fabrycznych. Zapracowywanie się robotników, szwankowanie z tego powodu na zdrowiu należały odtąd do wyjątków; produkcya się nie zmniejszyła dzięki nowym wynalazkom technicznym, a sami przemysłowcy uznawali zbawienność prawnych ograniczeń.

Za przykładem Anglii poszły inne przemysłowe państwa europejskie z wyjątkiem Belgii. Szwajcarya prawem fabryczném z roku 1877 określiła dzień roboczy na 11 godzin, z których godzina powinna być wolna dla spożycia obiadu. Znikąd nie donoszono o złych następstwach tych prawnych ograniczeń; ani produkcya się nie zmniejszyła, ani przemysłowcy z tego powodu nie podupadali. Doświadczenie tedy pokazało, iż możliwe i pożądane jest w pewnych razach wdanie się prawodawcy, tj. państwa, w uregulowaniu pracy i odpoczynku.

Również co do zakazu pracy w niedzielę (z wyjątkiem prac nieodzownych) obawiają się, naturalnie przedsiębiorcy, skutków ztąd najzgubniejszych, głównie zmniejszenia produkcyi a témsamém niemożności konkurowania z zagranicą i zdemoralizowania ludu roboczego. Kiedy w Niemczech rozprawiano nad tym przedmiotem, ks. Bismarck odzywał się w parlamencie, że zakaz pracy w niedziele znaczyłby tyle, co pozbawianie robotnika $^1/_7$ zarobku i zmniejszenie produkcyi także o $^1/_7$, że zatém takiego stanu ani robotnicy, ani przemysł wytrzymać by nie mogli. Był tedy kanclerz niemiecki z początku przeciwny wdawaniu się państwa do téj sprawy; potém jednak przystał na śledztwo i zbieranie wiadomości co do pracy niedzielnéj. Zebrane wiadomości, o których wyżéj mówiono, pomimo tuszowania przez interesowanych, zawierają moc wypadków świadczących o nadużyciach ze strony pracodawców co do wyciskania, oczywiście zawsze dobrowolnego, roboty niedzielnéj i muszą otworzyć oczy prawodawcy na skrzywiony stosunek między kapitałem a pracą. Rzeczy w istocie doszły do dziwnego przewrotu w pojęciach. Kiedy podczas wędrówki przez pustynią Żyd zbierał drewka w sabat dla ugotowania pokarmu, ukamienowa-

no go jako gwałciciela dnia świątecznego; dzisiaj deputowani, a razem przemysłowcy długo rozprawiają o têm, czy niedzielę świętować; wszystko zaś w imię indywidualnéj swobody. Jeżeli człowiekowi wolno się upić, dlaczegoby mu nie miało być wolno pracować kiedy chce, dniem, czy nocą, w niedzielę, czy w dzień powszedni? Ani słowa; tylko, że on nie sam będzie pracował, ale w dzisiejszym systemie produkcyi ekonomicznéj i pracy skombinowanéj, muszą z nim pracować nietylko wół i osioł, lecz setki i tysiące bliźnich. Prawda, że najlepiéj bywa strzeżony, kto sam siebie pilnuje, a jednak prawo zabrania wydawać trucizny bez przepisu lekarskiego. Więc nie zawsze bywa prawdą, że każdy człowiek jest najlepszym sędzią własnego interesu; przeciwnie, takich ludzi jest wszędzie, stosunkowo do reszty mieszkańców, bardzo niewielu. Dlatego opieka państwa i prawa są konieczne dla najliczniejszéj warstwy społecznéj co do uregulowania czasu pracy.

Najzabawniejsze są obawy o zdemoralizowanie ludu roboczego w razie ustanowienia normalnego dnia pracy i odpoczynku w niedzielę. Kto się bliżéj stykał z ludem roboczym wiejskim i miejskim, to jest z rzeczywistymi pracownikami, nie z hultajami, jakich wszystkie warstwy liczą sporą garstkę, ten przyzna, że moralność ich wcale nie jest niższą od moralności fryzowanych Katonów. Statystyka kryminalna także mówi na stronę niedyplomowanych i ciężko pracujących ludzi.

Niewątpliwie, idealizować téj klasy ludzi niepodobna; są między nimi tacy i owacy, jak we wszystkich stanach, co jednakże nie przeszkadza tym stanom i mniéj pracować i niedzielę świętować, także nie koniecznie w kościele i przy domowém ognisku. Ale dlatego téż, że nie idealizujemy sobie robotnika i ani chłopskiéj religii, ani chłopskiéj filozofii nie uważamy za zaszczyt umysłowości ludzkiéj: możnaby pragnąć, ażeby dzienny najmita miał trochę wolnego czasu na życie rodzinne, na zabawę, na przeczytanie książki lub dziennika, żeby on téż korzystał nieco z téj cywilizacyi, dla któréj pracą swoją przez całe wieki kładzie fundamenta.

K.





LISTY CZESKIE.

XV.

Zasłużony historyk francuski, Leon de Poncins, w gruntownem dziele swojém *„Les cahiers de 89“* (Paryż, 1866), przeprowadził przy końcu książki nader trafny podział żywiołów, tworzących w państwie nowoczesném tak zwane życie publiczne. Pisał to w 1866 r., więc za czasów drugiego cesarstwa, a mówił wyraźnie i wyłącznie o Francyi i o stosunkach francuskich; ale ponieważ rozwój wszystkich społeczeństw europejskich, poszedł mniéj więcéj jednakowemi drogami, a zatém i życie publiczne wszystkich państw europejskich, również podobne przedstawia objawy, przeto i pogląd Leona de Poncins ma nietylko francuskie ale i ogólniejsze, rzec można europejskie znaczenie.

Historyk ten pisze:

„Idea wolności politycznéj wydaje mi się dziś wyłączną właściwością trzech kategoryj indywiduów. Pierwsza obejmuje wszystkich ludzi ze zdrową głową, ze zdrowém sercem, pragnących wolności nietylko dla siebie, ale i dla innych, rozumiejących wolność jedynie w połączeniu z tém wszystkiem, co jest prawdziwe, piękne i dobre, uznających panowanie wolności politycznéj za możliwe w takim tylko razie, jeżeli się do niéj dążyć będzie za pomocą podwyższenia poziomu moralności publicznéj, wyszlachetnienia indywidualnéj godności człowieka i wykształcenia poczucia obowiązków publicznych u ludzi, którzy pod temi tylko warunkami gotowi są dla wolności ponosić ofiary i którzy w takiéj wolności widzą lepszą przyszłość nowożytnych społeczeństw. Pocieszam się myślą, że ta kategorya jest dość liczna; ale za pewnik nie należy tego ze zbytnią łatwością uznawać, nadzwyczaj bowiem trudno jest odróżnić w każdym danym wypadku tę kategoryą od drugiéj.

„Drugą kategoryą stanowią wszyscy ambicyusze, wyzyskujący dla własnéj tylko korzyści wolność polityczną, bez prawdziwéj dla niéj miłości i używający téj wolności za narzędzie, za pomocą którego eksploatują na swój użytek wypadki bieżące i idee danéj chwili. Ta kategorya tak zwanych bojowników wolności najdonośniéj zawsze głos podnosi, ci ludzie ogłaszają się sami za wyłącznie uprzywilejowanych apostołów postępu i zwykle na tych, którzy wywalczyli sobie wybitne w życiu publiczném stanowisko z nierównie większą napadają gwałtownością, aniżeli na rzeczywiste nadużycia, a naród łudzą ostentacyjném wywieszaniem sztandaru, który jest właściwie tylko płaszczykiem, osłaniającym ich szarlatanizm. Na wszystko, cokolwiek im w drodze stoi, rzucają gwałtownėm słowem cień podejrzenia. A jeżeli napadnięci w ten sposób uważają odpiéranie każdego z tych słów za rzecz uchybiającą swéj godności, ulegają natychmiastowemu wystawieniu pod pręgierzem publicznym, jako zostający pod zarzutem. Trwa to dopóty, dopóki „bojownikowi wolności“ korzystne jakieś uposażenie ust nareszcie nie zatka. Gdy taki człowiek dostanie urząd, chce na swojém stanowisku rządzić samowładnie, bawić się w pana i jest wtedy zwykle stronnikiem środków najenergiczniejszych. Takie przeobrażenia służą tylko do tego, żeby usprawiedliwić tych, którzy utrzymują, że idea wolności osobistéj jest czystym wymysłem wyobraźni, środkiem do pięcia się coraz wyżéj, aby tylko osobistéj ambicyi uczynić zadość. Czy ta klasa ludzi jest istotnie liczna? Niech na to opinia publiczna sama znajdzie sobie odpowiedź.

„Trzecią kategoryą składają wszyscy zawistni i zazdrośni, którzy więcéj myślą o zniżeniu do siebie wszystkiego, co wyżéj od nich stoi, aniżeli o wzniesieniu się na wyższe poziomy. Dla téj klasy ludzi wolność polityczna jest tylko maczugą, którą nienawiść ofiary swoje zabija. Należą do niéj w części zapalone głowy, które utworzyły sobie własną teoryą o społeczném udoskonaleniu świata; często jawni nicponie, którzy tylko chcą niszczyć, jedynie dla zadowolenia najpospolitszych swoich żądz i skłonności. Według ich poglądu, ludzkość wtedy dopiéro będzie prawdziwie wolną, kiedy jéj żadne nie będą krępować obowiązki, kiedy wszelka władza, jakbądźby się nazywała, zostanie z ludzkich stosunków usuniętą. Precz z rządem, z władzami, z monarchą, z ojcem rodziny, z kapłanem, z Bogiem; precz z prawem, z moralnością, z religią — oto ich *credo*. Zamiast państwa, zupełna anarchia; zamiast kościoła, kompletna bezreligijność; zamiast rodziny, wolna miłość, oto ich ideał szczęśliwéj dla społeczeństw przyszłości. Ta trzecia kategorya jest, jak mniemam, nie tak liczną ani nie tak silną

w swym szkodliwym kierunku, ażeby usprawiedliwiać mogła ogólne pod tym względem obawy; ale niemniéj istnieje i stanowi istotnie najwyższe dla społeczności europejskiéj niebezpieczeństwo, które polega na tém, że wszystkie nieczyste i złe żywioły społeczne podają się za szermierzy idei wolności politycznéj, że szumowiny i męty skupiają się około sztandaru postępu politycznego" (1).

Leon de Poncins, jak już wspominałem, pisał tę trafną i charakterystyczną ocenę życia stronnictw politycznych francuskich w 1866 r. i jest zapewne sam o tém głęboko przekonany, że słowa jego wybornie zastosować się dadzą i do Francyi republikańskiéj w 1889 r.; ja zaś, który w tych listach czeskich zobowiązałem się przedstawić rozwój specyalnie czeskich stosunków, a zatém mam mówić i o czeskich stronnictwach politycznych, mogę tylko dodać, że w tym obrazie odbijają się i nasze stosunki, z tém tylko nadmienieniem, że trzecia kategorya tak zwanych bojowników wolności, stosownie do danych stosunków, skromnie i w ukryciu się rozwija— ale niemniéj przeto egzystuje. Dwie pierwsze kategorye mają również swoich przedstawicieli, a uwaga Poncina, że reprezentantów tych dwóch klas nie zawsze rozróżnić można, stosuje się i do nas.

Charakterystyczny pogląd Poncina przypomniał mi się ze szczególną żywością, kiedy usłyszałem, że tworzy się u nas tak zwane „trzecie stronnictwo polityczne". Żaden rozsądny człowiek nie może o tém wątpić, że u nas jestto właściwie wielki zbytek, ale ponieważ Niemcy, mniéj jeszcze w Czechach liczni, dzielą się także na kilka stronnictw politycznych, więc oczywiście nie mogliśmy zostać po za nimi: mamy tedy i my również trzecie stronnictwo polityczne. Wprawdzie jest u nas sporo ludzi i to nie najgorszych patryotów, którzy uważają zawsze rozdział dawnego zwartego stronnictwa narodowo czeskiego, czyli ściśléj mówiąc, rozpadnięcie się niezbyt licznego narodu czeskiego na staro- i młodoczechów, za klęskę narodową, a nawet lepsi, rozważniejsi patryoci nie porzucili nigdy całkowicie myśli połączenia na nowo tych dwóch odłamów w jedno wielkie i spójne stronnictwo narodowe; ale za to inni widzą w jedności tylko nudną jednostajność i groźny zastój życia publicznego, w rozdziale natomiast dobroczynną rozmaitość, w rozterkach stronniczych ruchliwe życie, a nawet w zawziętości, odświeżający bodziec do energiczniejszego wytężenia sił.

Jestto rzecz upodobania i możnaby się w tym razie zadowolnić aforyzmem: *de gustibus non est disputandum*, gdyby tu nie chodziło

---

(1) Powyższe ustępy z dzieła Poncins'a wolno przełożyłem i tu i owdzie myśl autora obszerniéj nieco tłómaczę; sądzę jednak, że idei jego zupełnie wierny pozostałem,

o losy i przyszłość całego narodu. Co do téj przyszłości narodu czeskiego, czyli wyraźniéj mówiąc, co do zupełnego zabezpieczenia mu zdobytego stanowiska i dalszego rozwoju narodowéj indywidualności, muszę, jako przedmiotowy sprawozdawca, bez ogródki powiedziéć, iż nie sądzę, żeby ta przyszłość była wyniesiona po nad wszelkie wątpliwości i żeby zupełnie była pewna. Jeden rzut oka na etnograficzną mapę Europy, na ogólne stosunki europejskie, dostateczny będzie dla każdego bezstronnego badacza. Terytoryum narodu czeskiego podobne jest do półwyspu, wysuniętego w głąb rozległych dzierżaw sąsiedniego narodu niemieckiego; znajduje się więc u nas dość ludzi, wypowiadających zdanie, że ten półwysep dla tego oprzéć się nie zdoła i nie oprze się coraz potężniéj bijącym weń falom germańskiego morza. Tymczasowo, królestwo czeskie należy jeszcze do cesarstwa austryackiego i co do tego wśród rozważnych patryotów żadna nie istnieje wątpliwość, iż naród czeski tylko w monarchii austryackiéj cieszyć się może narodową indywidualnością, życiem narodowém. Ale tu właśnie dążności narodowe Czechów natrafiają na uzasadnioną sprzeczność, bo ogólna europejska dążność tworzenia, gdzie tylko można, wielkich terytoryów państwowych, na podstawie narodowości panującéj, staje wrogo wobec czeskich życzeń narodowych. Kiedy głoszona i popiérana przez Napoleona III zasada narodowości, jako podstawa ustroju nowożytnych państw europejskich, znalazła praktyczne zastosowanie i gdy wskutek tego Austrya została wykluczoną z rzeszy niemieckiéj, usiłowano téż i w Austryi wziąć wedle możności w rachunek tę zasadę, a ponieważ niemożliwością było ukształtować państwo, jako jednolity, oparty na narodowości organizm, więc powstało konieczne *pis-aller*, dualizm, tj. madziarska i austryacka (nikt nie mógł i nie chciał powiedziéć: niemiecka) połowa państwa, obok których niebawem Galicya musiała stanąć na odrębném stanowisku. Nazwy: Przedlitawii i Zalitawii, były charakterystyczną ilustracyą tylko specyalnie austryackich stosunków i państwowych nowotworów. Litawa jest małą rzeczką, która istotnie na krótkiéj przestrzeni oddawna tworzy granicę między arcyksięstwem austryackiém a królestwem węgierskiém. Te dwie nazwy nie były nigdy urzędownie użyte, a jednak ogólnie je stosowano do rozpołowionéj od r. 1867 monarchii austryackiéj i do dziś dnia nie wyszły z użycia. W Zalitawii, Madziary mieli, według pierwotnego pomysłu, stanowić narodowość panującą, w Przedlitawii — Niemcy. Wspomniałem już, że Galicya, *consensu omnium* otrzymać musiała odrębne stanowisko i dodam tylko pokrótce, że i w tak zwanéj Zalitawii, Kroaci i Serbowie w królestwie kroackiém

i w Sławonii mają pretensyą do podobnego stanowiska, które prawie już zdobyli; zajmę się zaś wyłącznie Przedlitawią i określeniem pozycyi, jaką w niéj naród czeski zajmuje.

Co do nowego ukształtowania konstytucyjnéj Austryi, określa je urzędowna nazwa: Austro-Węgry; Austryą reprezentuje „austryacka rada państwa“, Węgry „węgierski sejm państwa“. Całe państwo przedstawiają delegacye austryacka i węgierska, tworzące dwie izby, w których rozpatrywane są sprawy wspólne: wspólna armia i wspólna polityka zagraniczna.

Austryacka rada państwa obejmuje następujące kraje: Czechy, Morawię, arcyksięstwa austryackie, Tyrol i Vorarlberg, Styryą, Karyntyą, Krainę, Istryą, Dalmacyą i Galicyą; Bośnia i Hercogowina, jako kraje tylko annektowane, o których ostateczném wcieleniu do rzeszy austryackich krajów koronnych, areopag europejski nie orzekł jeszcze stanowczo, rządzone są przez cesarko-królewski bośniacki zarząd krajowy i nie posiadają dotychczas żadnéj reprezentacyi parlamentarnéj.

Niemcy, głoszący zawsze, jakkolwiek bez żadnego dziejowego uzasadnienia: „my założyliśmy cesarstwo austryackie, musimy więc pozostać panami w zbudowanym przez siebie domu, musimy być panującym w Austryi narodem“,—ze względu na istniejące stosunki ograniczyli swoje pretensye do przewagi narodowéj w Przedlitawii. Byliby zatém zupełnie gotowi zgodzić się tymczasowo, z dwuczęściowéj Austryi zrobić trzy a nawet cztero-częściową, tj. Galicyi dać odrębne stanowisko z autonomiczną reprezentacyą kraju, czyli innemi słowy, wydzielić zupełnie Galicyą z austryackiéj rady państwa, Dalmacyą zaś z Istryą a nawet na wszelki wypadek całą Słowenską Krainę z Bośnią i Hercegowiną ukształtować na czwartą, obdarzoną samorządem część monarchii austryackiéj, aby tylko miéć stanowczą większość w tém co wtedy pozostanie, tj. w ściślejszéj Przedlitawii, która w takim razie obejmowałaby: Czechy, Morawią, Tyrol i Varorlberg, Austryą, Styryą i Karyntyą.

Z takiemi planami i możliwościami trzeba się rachować, chcąc przedmiotowo odpowiedziéć na pytanie: jak dalece stanowisko narodowe i rozwój narodowości zabezpieczone są dla Czechów; a w takim razie, nie unosząc się żadnemi narodowemi uprzedzeniami, należy zdać sobie sprawę z dwóch następujących kwestyi.

Gdyby Galicyi, czyli Polakom i Rusinom zaproponowano i zapewniono zupełny samorząd krajowy, z sejmem galicyjskim, czy téż galicyjską radą państwa,—mniejsza o nazwę, z reprezentacyą w delegacyach wspólnych, czy Galicya odrzuciłaby taką propozycyą z miłości dla narodu czeskiego?

A powtóre, gdyby Słoweńcom w Krainie i Istryi przedstawiono widoki stanowienia pospołu z Dalmatami, Bośniakami i Hercogowińcami autonomicznéj, prawie zupełnie słowiańskiéj, jakbądź zresztą nazywającéj się dzielnicy monarchii austryackiéj, z reprezentacyą wyłącznie krajową, w któréj rozwój ich narodowéj indywidualności, tak dotąd hamowany, byłby im zapewniony, czy nie chwyciliby się tego obiema rękami, byle tylko wyjść z dotychczasowych niepewnych i krytycznych stosunków? I ktoby im to na seryo mógł miéć za złe, gdyby nawet zapomnieli w takim razie o wszystkiém, co ich czescy, współplemienni bracia zrobili dla nich w dotychczasowéj austryackiéj radzie państwa?

Sądzę, że odpowiedź na te dwa pytania nie jest trudna i muszę tylko powtórzyć, że my Czesi musimy liczyć się z takiemi możliwościami.

Przypuśćmy więc, że przyszła „wiedeńska rada państwa“ (nazwę ją tak tymczasowo) obejmuje tylko: Czechią, Morawią, Austryą, Styryą, Karyntyę, Tyrol i Vorarlberg, w takim wypadku—rzecz jasna,—Niemcy będą miéć w radzie państwa stanowczą większość. Przy nich Słowianie w Czechii i na Morawach mogą stanowić co najwyżéj czwartą część członków takiego, nowoukształtowanego ciała prawodawczego; Niemcy korzystaliby więc z zapewnionéj im zupełnie większości dwóch trzecich i byliby władni wprowadzać wszelkie możliwe zmiany do konstytucyi a więc i do ustroju królestwa czeskiego.

Że wskazane tu nowe ukształtowanie monarchii austryackiéj nie należy bynajmniéj do dziedziny niemożliwości i że nie stanie mu na przeszkodzie wzgląd na „piękne oczy“ narodu czeskiego—tego daléj dowodzić nie potrzeba. Gdyby jednak przyszło do skutku, nastręcza się z konieczności pytanie: która z istniejących wtedy czterech części monarchii austryackiéj będzie miała szczególny interes w podtrzymaniu rozwoju narodu czeskiego? Jeżeli zechcemy odpowiedziéć sobie na to pytanie bez wszelkich uprzedzeń narodowych, więc bez jakichbądź zbytecznych złudzeń,—w takim razie odpowiedź zamknie się w jedném słowie: ż a d n a! Madziary, we własnym, dobrze zrozumianym interesie, którego treścią musi być zabezpieczenie Węgrom przewagi narodowéj, mogą tylko pragnąć, żeby naród czeski znikał zupełnie z powierzchni ziemi; bo dla Madziarów istnienie Czechów jest oczywistą przeszkodą, a ich pomyślny rozwój narodowy niemałém niebezpieczeństwem, ile że w takim razie żywioł słowiański w północnych Węgrzech, który w interesie madziarskim powinienby być zmadziaryzowany wzmacnia się i zyskuje spotęgowaną siłę oporu,

Polacy i Rusini w autonomicznéj Galicyi nie mają się czego spodziewać po rozwoju narodu czeskiego ani téż nie potrzebują się obawiać jego zesłabnięcia—a gdyby nawet Czesi mieli zupełnie przestać istenićć, to Polacy i Rusini zostaną zawsze tém, czém są obecnie.

Południowi Słowianie w Austryi, zgrupowani w autonomicznéj południowéj „Slawii", mieliby chyba jeszcze mniejszy interes w utrzymaniu narodu czeskiego, aniżeli Polacy i Rusini.

Zostaliby więc jeszcze Niemcy w téj okrojonéj według ich życzenia i interesu Przedlitawii czy też Niemieckiéj-Austryi (bo tak może dla lepszego określenia zmienionéj sytuacyi nazwanoby tę część monarchii austryackiéj)—a ci nie daliby długo czekać na jasną, bynajmniéj w bawełnę nie obwiniętą odpowiedź—gdyby szło o praktyczne powyższéj kwestyi rozwiązanie. Kiedy zaś myślę o niemieckiéj odpowiedzi, mam przed oczyma duszy nowe niemieckie państwo w całéj jego wielkości i potędze i wynikłe przy narodzinach tego państwa nowe konstelacye europejskie, którym dobrze przyjrzéć się trzeba, żeby wiedziéć, jakie dla nich właściwie może miéć znaczenie byt i pomyślny rozwój narodu czeskiego i czego ten naród od nich spodziewać się, czyli właściwiéj mówiąc, obawiać się może.

Jeszcze przed 50 laty egzystencya narodu czeskiego była dla całéj Europy kwestyą przebrzmiałą. Czesi jako Husyci dali się we znaki w XV wieku całému światu katolickiemu, postanowiono więc ten niewygodny i nieliczny zresztą naród wpisać na etat wymarcia. Po wojnie 30-letniéj zostało w Czechach zaledwie 800.000 mieszkańców, mniemano więc, że rzecz załatwi się sama z siebie i że zadanie, jakie sobie pod tym względem postawiła Austrya, absolutnie wtedy rządzona, nie będzie wymagało żadnego wysiłku. Wiadomo powszechnie, że w końcu przeszłego stulecia uczony Dobrowski zaliczył był już język czeski do rzędu umarłych a przynajmniéj wymierających, a kiedy w XIX wieku znaleźli się ludzie piszący poezye czeskie a nawet małe czeskie książki, Austrya ówczesna tak się tém mało niepokoiła jak dzisiejsza Francya, gdy ktoś w Bretanii oddaje się niepohamowanéj namiętności pisania poezyi lub opowiadania w języku celtyckim, albo gdy na drugim krańcu rzeczypospolitéj francuskiéj u podnóża Pyryneów drukuje się coś w narzeczu baskijskiém. Nikt we Francyi nie myśli przytém o zmartwychwstaniu celtyckiego czy baskijskiego narodu do państwowego życia Francyi—a prawie tak samo miała się rzecz i u nas w Czechach przed 1848 r.

Od r. 1848 datuje się, jak wiadomo, polityczne odrodzenie narodu czeskiego. Sposób w jaki się to stało nie może nie obudzić zajęcia czytelnika—żeby zaś jasno rzecz przedstawić, uciec się muszę do własnych pamiętników, bo odegrałem przytém główną rolę. Przedewszystkiém jednak należy tu przypomniéć że w Czechach, jeszcze w początku marca 1848, całe życie publiczne było zupełnie niemieckie. W urzędach nie znano innego języka służbowego, prócz niemieckiego; we wszystkich szkołach niemiecki był językiem wykładowym, z wyjątkiem szkółek wiejskich, wtedy jeszcze w małéj liczbie istniejących. Jedyném miejscem, w którém słyszało się publicznie język czeski, był kościół; tam, szczególniéj po wsiach z czeską ludnością, księża kazali po czesku. W miastach już to się nie zdarzało, nawet w saméj Pradze czeskie kazania były rzadkością. Dla tego téż, w dziejach odrodzenia i utrzymania czeskiéj narodowości, duchowieństwo odgrywa bardzo ważną rolę, któréj lekceważyć nie można. I o teatrze muszę tu również wspomniéć. W niedziele, w popołudniowéj porze, dawano w niemieckim teatrze krajowym przedstawienia czeskie przed publicznością złożoną po większéj części z niższych klas ludności. Za charakterystyczną ilustracyę tego stanu rzeczy niechaj posłuży okoliczność, że czescy rodzice z klasy urzędniczéj lub mieszczańskiéj zalecali wtedy dzieciom, z któremi w domu mówili po czesku, żeby publicznie na ulicy inaczéj jak po niemiecku nie mówiły. Wszystko to trzeba wiedziéć, żeby zrozumiéć to, co daléj nastąpi.

W r. 1848 byłem pedagogiem w domu księcia Jana Lobkowica. W r. 1846 przepędziłem pół roku w Paryżu, po powrocie zaś stamtąd objąłem u księcia obowiązki. Należałem wtedy do bardzo szczupłéj liczby (między Czechami byłem stanowczo jedynym) znających dokładniéj francuskie, szczególniéj paryskie stosunki. Gdy więc w pierwszych dniach marca, za pośrednictwem gazety augsburskiéj nadeszły do Pragi pierwsze wiadomości o rewolucyi lutowéj w Paryżu, znajomi, rzecz naturalna, zwracali się do mnie, pragnąc miéć wyjaśnienia tych niespodzianych wypadków, i tak przyszło to jakoś samo z siebie, że odczytywałem wiadomości gazety augsburskiéj, objaśniając je w miarę potrzeby, najprzód małemu kółku znajomych, zgromadzonemu około stołu w kawiarni „Pod królewską Łazienką", w pobliżu starego mostu kamiennego. Koło moich słuchaczów rozszerzało się jednak codzień, a 8 marca 1848 r. stałem już w rogu jednéj z sal kawiarni na krześle, a tłumnie cisnące się audytoryum wypełniało cały pokój. Ruch rewolucyjny, przekroczył już granice Francyi, i doszedł już do krajów nadreńskich, do Badenu, a gazeta augsburska przynosiła wiadomości

o zgromadzeniach ludowych w miastach niemieckich, gdzie wydawano uchwały o zgodnych z duchem czasu reformach. Wszystko to naturalnie zostało u nas odczytane; do tego dodawałem już wtedy krótkie uwagi, że podobne reformy były by i w Austryi pożądanemi. Nadzór policyjny nad życiem publiczném był podówczas w Pradze wykonywany w sposób nader surowy, rzec nawet można, samowolny; spoglądałem więc podczas odczytywania bardzo często na znajdujące się naprzeciwko mnie drzwi wchodowe, spodziewając się, że naszemu zebraniu, bądź co bądź niedozwolonemu i sprzeciwiającemu się przepisom tego nadzoru, wejście policyantów nagły kres położy. Ale organa rządowe były wtedy w całéj środkowéj Europie, jak gdyby sparaliżowane wypadkami paryskiemi, i dla tego czuły się zgoła niezdolne do energicznego wystąpienia przeciw rewolucyjnemu ruchowi, udzielającemu się wszędzie z Francyi. Zresztą w Pradze panowała jeszcze 8 i 9 marca zupełna spokojność, chociaż obiegała już w te dni pogłoska, że i w Pradze ma się odbyć zgromadzenie ludowe. Kiedy 10 marca po południu skończyłem moje zwykłe czytanie, nie znany mi dotychczas Niemiec, nazwiskiem Ruppert, nauczyciel prywatny, wziął mię na stronę jeszcze w kawiarni i prosił, żebym wieczorem o godzinie 8-éj znalazł się w pewném miejscu, skąd mię zabierze: idzie bowiem o przygotowywane na następny dzień zgromadzenia ludowego. O naznaczonéj godzinie stawiłem się na wskazane miejsce, na rogu mało uczęszczanéj ulicy, i zostałem przez Rupperta wprowadzony na podwórze podrzędnego hotelu, a stamtąd do małego niepozornego pokoiku od tyłu, w którym znalazłem sporo po części znajomych mi osób. Zgromadzeni tam goście, byli to sami Czesi; Ruppert tylko należał do narodowości niemieckiéj i przez wzgląd na tego jedynego Niemca, prowadzono rozprawy po niemiecku. Znajdowałem się na zebraniu tajnego związku „*Repeal*“, nazwanego tak od irlandzkich stowarzyszeń, na których czele stał podówczas O'Connel. Powiedziano mi, że na 11-go marca, w niedzielę, zwołane jest zgromadzenie ludowe, które ma się odbyć w sali łazienek S-go Wacława na Nowém-mieście i że na tém zgromadzeniu musi wystąpić mówca; zaproponowano mi więc, a raczéj zażądano odemnie, żebym wziął na siebie rolę tego mówcy. Rozumié się samo przez się, że o pozwoleniu władzy na takie zgromadzenie mowy być nie mogło; otrzymać je bowiem, było prawie niepodobieństwem. Przyrzekłem mimo to stawić się na oznaczoną godzinę, dodałem jednak, że działać będę wedle własnego rozumienia rzeczy.

Nazajutrz, w pamiętny dzień 11 marca 1848 r., przed południem już krążyła w całéj Pradze wiadomość, prywatnie szerzona

(wychodziły wtedy w Pradze tylko urzędowe dzienniki, które naturalnie nic o tém nie wspomniały), że wieczorem o 6-éj godzinie w sali łazienek Św. Wacława, odbędzie się zgromadzenie ludowe i że dr. Gabler wystąpi tam jako mówca. Znajomi panowie przychodzili do mnie w ciągu rana z zapytaniem, czy prawdziwą jest wiadomość, krążąca o mnie po mieście, i ostrzegali mnie, żebym się niepotrzebnie nie kompromitował. Nie zważając na to, udałem się już o wpół do szóstéj wieczorem na miejsce schadzki. Na wszystkich prowadzących tam ulicach panowała zupełna spokojność, nie widać było nigdzie żadnego szczególnego ruchu. Wielki plac Karola na górnéj Małéj Stronie, nazywany wtedy jeszcze rynkiem-bydlęcym, w którego bliskości znajdowały się łazienki Św. Wacława, był prawie pusty. Ani śladu policyi. Na ulicy prowadzącéj od placu do łazienek, gdzie obecnie stoi gmach czeskiéj techniki, były wtedy koszary piechoty. Przez rozwarte na oścież wrota tych koszar, mogłem widziéć na wielkiém podwórzu, stojącą całą załogę w pełnym rynsztunku i jakby zupełnie do wymarszu gotową.

W ogrodzie łazienek znalazłem 6 czy 7 zupełnie mi nieznanych osób. Spodziewałem się, że wejście do ogrodu zatamowane będzie przez policyą i w takim razie byłbym naturalnie powrócił do domu. Wkrótce jednak dowiedziałem się, że policya poprzestała na zakazie otworzenia sali, która téż była zamknięta; ale wejście do ogrodu stało jak zwykle otworem, a w pobliżu, ani nigdzie zresztą nie widziałem ani jednego policyanta.

Postanowiłem czekać co daléj będzie. Wybiła 6-ta godzina. Pojedyńcze osoby przychodziły i rozglądały się również jak ja w ogrodzie, tworząc małe grupy. Wreszcie wszczął się jakiś ruch. Mówiono, że kilku mieszczan przyszło i traktuje z gospodarzem o otwarcie sali. Rokowania doprowadziły ostatecznie do tego, że salę otworzono, ale pod warunkiem, że wchodzić tam będą tylko mieszczanie lub wogóle przyzwoici ludzie w dojrzałych latach; młodzież a szczególniéj ludzie z niższych klas mieli być wykluczeni. Ponieważ krążyła także pogłoska, że i robotnicy z przedmieść fabrycznych mają wziąć udział w tém zgromadzeniu ludowém, postanowiono przeto nie dopuścić tych robotników do tak nazwanego wówczas „zebrania mieszczan“. Robotnicy jednak nie przyszli. Salę więc otworzono, a mieszczanie, którzy traktowali byli z gospodarzem, stanęli u wejścia i wpuszczali lub odprawiali z kwitkiem, według własnego widzimisię. Ja byłem jednym z pierwszych w sali, która napełniała się bardzo wolno. Ponieważ było

ciemno, zapalono lampy. Stałem przy oknie i ręce w tył *à la Napoleon* założywszy, patrzyłem w ogród, W tém poczułem, że mi ktoś wciska w palce papier, który téż mechanicznie ująłem. Jakkolwiek obejrzałem się szybko, nie mogłem rozpoznać osoby, która mi papier wcisnęła. Myślałem właśnie nad przemową do zgromadzenia; otrzymawszy tak tajemniczo ów arkusz, wyczytałem w nim punkta petycyi do jego cesarskiéj mości. Były to, jak się późniéj przekonałem, punkta pierwszéj petycyi, zawiezionéj do Wiednia 19 marca 1848 r. i doręczonéj cesarzowi przez pierwszą deputacyą mieszczan; jeden tylko punkt (zdaje mi się, że 13) był tam wsunięty, a brzmiał krótko: „Organizacya pracy“. Postanowiłem natychmiast, po mojéj przemowie do zgromadzenia, odczytać te punkta petycyi, z wypuszczeniem 13-go i zalecić ich przyjęcie. Tymczasowo włożyłem arkusz do kieszeni i pozostałem przy oknie w téj saméj pozycyi. Długo to nie trwało i wkrótce miałem już w ręku drugi papier, który tą samą drogą dostał się do mnie jak pierwszy, tak, że osoby podającéj dostrzedz nie zdołałem. Ten drugi papier był dosłowną kopią pierwszego. Ludzie, z którymi miałem do czynienia, byli oczywiście bardzo przezorni i dbali o własne osobiste bezpieczeństwo: co się ze mną stać mogło, o to nikt się nie troszczył. Ale to tylko szczegół; główna okoliczność, o którą tu chodzi, polegała na tém, że oba podane mi dokumenty napisane były w języku niemieckim, z czego widocznie wnosić należy, że członkowie tajnego stowarzyszenia uważali za rzecz zupełnie naturalną, iż ja na publiczném zebraniu w Pradze, inaczéj jak po niemiecku nie będę mógł przemawiać. Otóż wyznaję otwarcie, że ci panowie zgoła nie mylili się w swojém przypuszczeniu: byłbym mówił po niemiecku 11 marca 1848 r.; dodam nawet, że gdybym był mówił 11 marca 1848 i mówił po niemiecku, sprawy w Pradze byłyby zupełnie inny wzięły obrót. Najdziwniejszém w tym pamiętnym dniu 11 marca jest właśnie to, że szczęśliwym trafem pierwsze swobodne słowo w Czechii wymówione zostało po czesku. Że ta okoliczność wywarła cudowny prawdziwie wpływ na nasze życie narodowe i na nasze interesa narodowe tego bliżéj nie potrzebuję już dowodzić. Krótko tylko powiem, że Praga, jeszcze w dniu 11 marca 1848 zupełnie niemiecka w całém swojém życiu publiczném, zmieniła się już nazajutrz pamiętnéj niedzieli 12 marca, jak za dotknięciem czarodziejskiéj różczki, na miasto czeskie. To samo stało się we wszystkich miastach królestwa czeskiego. Czesi stanęli na czele nowego ruchu politycznego. I warto zaiste wiedzieć, jakim to się stało sposobem.

Stałem więc 11 marca w pokoju przyległym do wolno zapełniającéj się sali z dwiema niemieckiemi petycyami w kieszeni i z niemiecką przemową w głowie. Kiedy w sali dość już było zgromadzonych, skierowałem kroki ku trybunie, czyli jaśniéj mówiąc, ku estradzie orkiestrowéj na sali tanecznej, którą trzeba było spożytkować jako trybunę. Do tego podwyższenia prowadzą z zewnątrz wązkie schodki. Gdy miałem już wchodzić na schodki, zauważyłem, że kilka innych osób szło tam z tym samym zamiarem. Poznałem głośnego już wtedy obrońcę dążeń narodowych, dr. Prawosława Trojana, obecnie jeszcze członka austryackiéj rady państwa i usłyszałem, jak ten mówił po czesku: *Faster bude mluviti prvni a přečte to česky, ja pak to wyložim německy*" (Faster najprzód będzie mówić i przeczyta to po czesku, ja potém wyjaśnię po niemiecku). Błyskawicą mignęła mi przez głowę myśl, że będzie to dla nas nierównie lepszém od mojéj niemieckiéj przemowy; zostawiłem więc spokojnie owe dwa niemieckie arkusze w kieszeni i niewypowiedzianą niemiecką mowę w głowie i poprzestałem na skromnéj roli słuchacza. Od tego czasu myślę sobie często, że dobrze jest niekiedy nie śpieszyć się zbytecznie i nie być gadatliwym.

Szczęśliwy zatém przypadek, jak czytelnik z tego widzi, postawił nas Czechów w 1848 r., na czele dążenia ku swobodzie i wytworzył nam niespodzianie w monarchii austryackiéj pozycyą, którą bez tego trafu musielibyśmy byli ciężko i mozolnie wywalczać.

Chcąc jednak to, co daléj nastąpi przedmiotowo ocenić, nie należy zapominać, że Czechia, wraz z innemi, tak zwanemi niemieckiemi krajami koronnemi Austryi, należała jeszcze do Związku niemieckiego, że Austrya, jako panująca w tym Związku potęga, z konieczności uważać musiała germanizacyą Czech za całkującą zasadę swojéj wewnętrznéj polityki, że wreszcie w opinii publicznéj całéj Europy, Czechia oddawna uchodziła za kraj niemiecki. To téż narodowe ocknienie się ludu czeskiego natrafiło wszędzie na słabą sympatyą, przygotowawczy parlament frankfurcki zażądał odrazu od Czechów, wypływających niespodzianie z fali wypadków bieżących, ażeby wybrali reprezentacyą do parlamentu niemieckiego, a rząd wiedeński, który przy pierwszém natarciu nie stawił żadnego zasadniczego oporu pretensyom narodowym Czechów, był owszem zatém, w interesie swojéj polityki niemieckiéj, żeby Czesi istotnie wyborów tych dokonali. Pierwszy polityczny przywódca narodu czeskiego, nasz niezapomniany i tyle zasłużony w walce o polityczne stanowisko Czech, Palacky, który wtedy otrzymał zaproszenie do wzięcia udziału w rokowaniach parlamentu frankfurckiego, podał w swojéj odmównéj odpowiedzi zasady poli-

tyki narodowéj Czechów. Ta polityka narodowa wywołała zasadniczy rozdział obu mieszkających w królestwie czeskiém narodowości: Niemcy udali się do Frankfurtu, Czesi tylko do Wiednia. W ten sposób zaakcentował się polityczny antagonizm, dzielący już wtedy oba narody i następnie jeszcze zaostrzony wypadkami późniejszemi. Z tego okazuje się, że obudzenie się Czechów w 1848 r. do politycznego życia na dwie strony odrazu nieprzyjemnie oddziałać musiało: nie licowało ani z niemiecką polityką Austryi, która nie mogła wyrzec się tradycyjnéj dążności do przewagi w Związku niemieckim, ani jeszcze bardziéj z ujawniającym się już wtedy w całych Niemczech ruchem wielko-germańskim. Istnienie narodu czeskiego było, że tak rzekę, nieprzyjemną we wszystkich kierunkach przeszkodą, którąby najchętniéj z drogi usunięto. Gdy więc w 1851 roku zniesiono znów w Austryi konstytucyą i gdy przywrócony został w Wiedniu rząd absolutny, poszły téż w zapomnienie i wszystkie zrobione Czechom w 1848 r. ustępstwa a natomiast nastąpiło formalne prześladowanie wszystkich stronników i obrońców narodowych dążności czeskich. Do r. 1848 nie liczono się zgoła w Wiedniu z istnieniem narodu czeskiego i nie chciano się téż nadal z niém rachować. W myśl takiego zapatrywania i konstytucya Schmerlinga z 26 lutego 1861 r. była tak wykombinowana, żeby udział Czechów w życiu polityczném zneutralizować, czyli innemi słowy, zrobić go nieszkodliwym. Kiedy ta konstytucya weszła w życie, z obozu niemieckiego wybiegło wraz hasło: „sztuczna czeszczyzna“, które odrazu scharakteryzowało cały byt narodu czeskiego, jako coś w rzeczywistości nieistniejącego, w następstwie czego i wszystkie tak zwane prawa narodowe przybrały pozór czegoś, co nietylko nie zasługiwało na uwzględnienie ze strony rządu austryackiego, ale owszem powinno było wyrodzić stanowczy opór, potrzebny, jak mówiono, do utrwalenia istniejących stosunków, wobec jakiejś sztucznéj chimery. Stąd pochodziły wszystkie akta przemocy rządu austryackiego względem dążności narodowych w Czechach, nie zaniechane nawet po fatalnym 1866 roku.

Wypadki 1866 r. wykluczyły Austryę stanowczo ze Związku niemieckiego, wskutek czego przewaga Prus w ściślejszym północno-niemieckim Związku formalnie została uznaną. Austrya skazana była na wyrzeczenie się polityki niemieckiéj i na prowadzenie własnéj, austryackiéj, z którą konstytucya Schmerlinga w zupełnéj znalazła się sprzeczności. Gabinet Hohenwart'a, powołany został w 1871 r. do zainaugurowania takiéj polityki a głównym jéj punktem miało być: zapewnienie wydatniejszéj pozycyi królestwa czeskiego w monarchii austryackiéj i ważniejszego stanowiska

politycznego w tém królestwie lekceważonemu dotychczas i prześladowanemu narodowi czeskiemu. Zapowiedziano uroczyście koronacyą cesarza austryackiego na króla czeskiego i reformę ordynacyi krajowéj w Czechach, polegającą na tém, że większość liczebna ludności czeskiéj miała się też odbić w większości konstytucyjnéj reprezentacyi krajów; ale jedno i drugie, dzięki wpływowi Berlina, spełzło na niczém, ministeryum zaś Hohenwartha po 9-cio miesięcznéj egzystencyi musiało ustąpić z widowni, nie przeprowadziwszy projektowanego, zasadniczego przekształcenia polityki austryackiéj. Po krótkotrwałéj jutrzence lepszéj przyszłości, znalazł się znowu naród czeski wobec wrogich sobie niemieckich rządów w Wiedniu, a era tak zwanego mieszczańskiego gabinetu Auersperga-Lassera, stala się nowym rozdziałem w dziejach cierpień tego ludu, na tak ciężkie wystawionego próby. Chwycono się rozpaczliwego środka politycznéj abstynencyi i wtedy wszyscy, obdarzeni rozsądkiem praktycznym i nie zaślepieni narodową zarozumiałością, przekonali się oczywiście jak bezwładnym okazał się i słabym liczebnie naród czeski do téj prawdziwie rozpaczliwéj akcyi politycznéj. Kiedy taka abstynencya polityczna ogranicza się do tego, że się nie bierze żadnego udziału w pracach przedstawicielskich korporacyi, to rzecz prosta, że wtedy inni, w danym wypadku polityczni przeciwnicy, dają krajowi prawa, uchwalają podatki, a w takim razie ten musi słuchać i płacić, kto się sam własnowolnie skazał na milczenie. Tak, gdyby się wtedy miało siłę i odwagę nie słuchać i nie płacić i gdyby się mogło to wszystko w rzeczywistości przeprowadzić — byłoby zupełnie co innego. To też abstynencya polityczna ma wtedy tylko istotne znaczenie i prawdziwą skuteczność, kiedy można powiedzieć: „stanowicie sobie prawa, my im się nie poddamy! Rozpisujcie podatki, my ich nie będziemy płacić! Wzywajcie rekrutów, my do szeregów nie staniemy!“ Kiedy można to wszystko nietylko powiedzieć, ale i zrobić, wtedy istotnie abstynencya polityczna nie jest dziecinną zabawką. Ale w Czechii było to poprostu niemożliwém i dla tego każdy rozważny członek naszego narodu musi skromnie przyznać, że Czesi nie są w życiu politycznem Austryi tak potężnym czynnikiem, jak to twierdzi wielu niedoświadczonych krzykaczy, i że sam opór bez dostatecznéj siły musi zawsze doprowadzić tylko do uroczystego stwierdzenia słabości i bezwładności.

Tak zwana polityczna abstynencya narodu czeskiego nie miała téż żadnych doniosłych następstw. Przedstawiciele czescy znaleźli się znowu przed 1879 rokiem w sejmie czeskim a w 1879 r. wrócili do austryackiéj rady państwa.

W tym roku poprawiła się stanowczo sytuacya—przynajmniéj nastąpiło pewne polepszenie na korzyść narodu czeskiego. Hrabia Taafe utworzył nowy gabinet, który przyrzekł być sprawiedliwym dla wszystkich ludów austryackich—a więc i dla czeskiego narodu. W mowie tronowéj, którą otwarto austryacką radę państwa usłyszeliśmy, że monarchia austryacka będzie schronieniem i ostoją dla praw wszystkich składających ją narodów. Hrabia Taafe pragnął znów mieć całkowitą austryacką radę państwa, traktował więc z przedstawicielami narodu czeskiego chcąc ich skłonić do wyrzeczenia się abstynencyi politycznej i do wejścia do rady państwa. Ponieważ przekonano się w Czechii o bezużyteczności abstynencyi, przeto rokowania odniosły pożądany skutek. Stosunek Austryi do Prus, czyli ściślej mówiąc, do Niemiec, zmienił się téż przez ten czas zupełnie. Nowe państwo niemieckie potrzebowało dla własnego bezpieczeństwa ściślejszego z Austryą sojuszu, który téż istotnie zawarty został w 1879 r. a naczéj z góry narzucony przez Bismarcka w tym celu do Wiednia przybyłego. Tajemne punkta tego austryacko-niemieckiego przymierza nie są jeszcze znane i na długo zapewne pozostaną nieznanemi, dopóty przynajmniéj dopóki trwać będzie sam sojusz; ale można, nie chybiając zbytecznie, przypuścić, że w tych punktach zawierać się muszą wszelkie układy dotyczące wewnętrznéj polityki monarchii austryackiéj. Ponieważ w ciągu 10 lat już trwającéj ery Taafego nie było jeszcze najlżejszéj urzędowéj wzmianki o koronowaniu się cesarza austryackiego na króla czeskiego, wolno mniemać, że ta koronacya dziś, podobnie jak w 1871 r. nie jest pożądaną. Daléj, ponieważ za gabinetu Taafego rząd wiedeński nie występuje już tak wrogo względem Czechów, lecz spełnia nawet niektóre pragnienia narodowe, przeto możnaby prawie przypuścić, że w 1879 r. Bismarck powiedział w téj kwestyi: „co się tyczy Czechów, rób kochany Taafe to, co będziesz musiał koniecznie zrobić—zresztą jakoś to tam pójdzie sobie“.

Stoimy więc dziś stanowczo lepiéj niż przed 10 laty. Gdy jednak chodzi o zapewnienie przyszłości narodowego życia Czechów, o któréj mam mówić, chcąc dojść do przedmiotowéj oceny doniosłości nowotworzącego się „trzeciego stronnictwa politycznego“, muszę pokrótce zastanowić się nad całą europejską konstelacyą.

I tu znów mniemam, że odpowiedź na jedno krótkie pytanie rzuci na całą sprawę właściwe światło. Pytanie to brzmi:

Które z państw europejskich ma stanowczo interes w utrzymaniu Czechii, jako narodowéj indywidualności. Odpowiadając na to pytanie, mogę zupełnie na boku zostawić Portugalię, Hiszpanię, Turcyę, Szwecyę z Norwegią a nawet Włochy i Szwajcaryę. Zosta-

ją więc tylko: Francya, Niemcy, Anglia, Rossya i zresztą Dania. O Hollandyi i Belgii mogę również nie wspominać.

F r a n c y a, która do 1881 r. nic o nas nie wiedziała, okazuje nam teraz, jakkolwiek nieurzędownie, nieco współczucia. Francuzi demonstrują się obecnie ze swoją sympatyą wszędzie, gdzie tylko wietrzą sposobność wystąpienia przeciwko Niemcom. Ponieważ znowu Niemcy uważają Francuzów za swoich tradycyjnych wrogów, marzących tylko o odwecie i zemście, francuskie zatém sympatye nie na wiele nam się przydadzą, dla wytworzenia jakiegoś możliwie przyjaznego *modus vivendi* z naszymi niemieckimi współziomkami. Czy możemy istotnie powiedzieć, że naród czeski stanowi silny czynnik w kombinacyach francuskiéj polityki zagranicznéj? Zdaje mi się, że nie. Czy Francuzi zgodzili by się na to, gdyby im dziś Niemcy powiedzieli: „No weźcie sobie swoją Alzacyę i Lotaryngię—my za to weźmiemy Czechy?“—Sądzę, że tak.

N i e m c y. Cesarstwo niemieckie musi z czasem stać się jeszcze większém—w przeciwnym razie zmniejszy się. Wiedzą o tém bardzo dobrze w Berlinie. Idea wielkoniemiecka ma teraz najskuteczniejsze poparcie, najgorliwszą propagandę w stowarzyszeniu niemieckich wolnomularzy; urzędownie, rzecz prosta, nie mówi się o niéj. Wolno-mularze niemieccy kierują ruchem niemiecko-narodowym Austryi w taki sposób, że my Czesi nie możemy mieć najlżejszéj wątpliwości co do ich zdania o potrzebie naszego narodowego bytu. Czechia leży naturalnie w sferze mających się urzeczywistnić niemieckich zdobyczy narodowych i w téj Czechii tak potrzebnéj do zaokrąglenia państwa niemieckiego naród czeski jest dla idei wielkoniemieckiéj jedynie czarnym punktem, który zetrzéć należy. Niemiekie zatem cesarstwo i naród niemiecki nie ma żadnego interesu (że daléj się nie posunę) w utrzymania narodu czeskiego i w rozwoju życia narodowego Czechów. Przeciwnie!

A n g l i a. Szekspir, czy téż inaczéj zwany autor „Baśni zimowéj“, każe wprawdzie królowi czeskiemu płynąć z morskiéj przystani w Czechii do Sycylii; ale wobec praktycznych Anglików XIX wieku nam Czechom niewiele to korzyści przyniesie; sądzę, że żaden Czech, choćby najżywszą był obdarzony wyobraźnią — nie spodziewa się, żeby Anglia przysłała statek wojenny do owego portu czeskiego w obronie naszéj zagrożonéj egzystencyi narodowéj.

R o s y a jest obecnie pod względem terytoryalnych obszarów największém państwem na kuli ziemskiéj. Potęga jéj rozciąga się na dwie części świata. Kwestya, gdzie ma ważniejsze interesa, w Azyi czy w Europie, nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Rosya jest państwem słowiańskiém, ale panslawizm, którego się tak w Europie

obawiają, jest tam reprezentowany tylko przez prywatne towarzystwo. Bądź co bądź Rosya jest państwem przychylném dla Słowian; i dla takiego jednak mocarstwą mogą się nastręczać wypadki i ogólne polityczne konstelacye, w których kwestya bytu jakiegoś drobnego narodu słowiańskiego wielkim ciężarem na szali przezornie kombinującéj polityki nie zaważy. Zresztą my Czesi jesteśmy narodem katolickim i dla prawdziwego Rosyanina zbyt żądnym tak zwanéj zachodnio-europejskiéj kultury. Dla naszéj miłości nie narazi Rosya ważnych interesów politycznych.

Mam że mówić jeszcze o Danii? Kiedy dwóm ludziom, nie mogącym sobie wspólnie pomódz, grozi jednakie niebezpieczeństwo zatonięcia w coraz groźniéj napływającéj fali, wtedy jeden na drugiego patrzy z pewném zajęciem, czy jeszcze się nie pogrążył; ale ta naturalna sympatya platoniczna nie zmniejszy niebezpieczeństwa ani dla jednego ani dla drugiego.

A teraz, po tym europejskim przeglądzie, który nas nie może zachęcić do schlebiania zachciankom narodowego szowinizmu, zwrócimy wzrok na własny dom—a wtedy będziemy musieli powiedzieć: „tak, tylko w tym domu, w domu austryackim żyć może nawet Czech i znaleźć schronienie dla swéj egzystencyi narodowéj: tylko w tym domu może się oddać nadziei na pomyślny rozwój swéj narodowéj indywidualności. Z tego przeświadczenia wynika, jako niecofniona konieczność natury, że naród czeski, w swoim własnym dobrze zrozumianym interesie, musi zrobić wszystko, co posłużyć może do utrwalenia siły tego domu, do zabezpieczenia dalszéj jego egzystencyi. Nie my stworzyliśmy obecny stan rzeczy w Europie, ale nie powinniśmy sobie wyobrażać, że my go zmienimy. Cała Europa stoi pod bronią, nawet otoczona morzem Anglia myśli o dość poważném wzmocnieniu swojéj floty. Wiadomo powszechnie kto jest właściwym twórcą tego nienormalnego stanu; zbyteczném byłoby rozwodzić się nad tém w filozoficznych rozmyślaniach—bo przez to nie zmieni się ani na jotę sytuacya nienormalna. W Europie idzie dziś siła przed prawem, *la force prime le droit*, jak mówią Francuzi, i w tym razie obojętną jest rzeczą czy taki stan ma jakieś podobieństwo ze średnowieczném prawem pięści, czy téż jest on istotnym postępem na polu prawdziwie europejskiéj albo prawdziwie ludzkiéj cywilizacyi — w życiu polityczném trzeba brać rzeczy tak jak są. Austrya nie może zostać w tyle wśród ogólnego wyścigu wszystkich państw europejskich do jednego celu, do postawienia zbrojności na najwyższym stopniu rozwoju pod względem siły, jakości broni i taktycznego wydoskonalenia, jeżeli nie chce narazić się na niebezpieczeństwo uchodzenia w wielkim europejskim koncercie

militarnym, za czynnik małoważny, który jako taki, na bok byłby odsunięty. Ilekroć więc chodzi w Radzie państwa (jak to obecnie się zdarzyło) o przyjęcie nowego prawa wojskowego, w którém mają być wzięte w rachubę wymagania dzisiejszych czasów, cóż mają czynić reprezentanci narodu czeskiego we własnym interesie i w interesie monarchii austryackiéj, która jest owym jedynym domem, gdzie naród czeski bezpiecznie żyć może? Czy są tu dwie drogi do uwzględnienia tych interesów? Jabym powiedział po prostu: „na wzmocnienie siły zbrojnéj w Austryi w dzisiejszych okolicznościach, oddać ostatnią koszulę, ostatni grosz—i dziej się wola Boża!“ Ale w austryackiéj radzie państwa zasiada teraz obok większości tak zwanych staro-czechów, mających na czele wypróbowanego przywódcę d-ra Riegera, ośmiu młodo-czechów pod niewyprobowanym kierunkiem d-ra Edwarda Gregra, i specyalny interes stronnictwa idzie przez to przed ogólnym narodowym. Staroczesi głosowali naturalnie za nowém prawem wojskowém z wszelkiemi zastrzeżeniami i ze słusznóm zaakcentowaniém wielkiéj ofiary, którą naród nasz ponosi dla całego państwa z uwagi na nieprzepartą konieczność. Dr. Gregr wygłosił również w swoim własnym interesie stronniczym piękną mowę o téj nieprzepartéj konieczności i o ofiarności narodu czeskiego dla dobra państwa, tak że każdy musiał wnosić, że i młodo-czesi będą w rezultacie głosować za prawem wojskowém. Tymczasem na naradzie tych ostatnich rozważono przezornie interes stronnictwa i młodo-czesi wotowali ostatecznie przeciwko prawu wojskowemu. Dla czego? Bo mieli na widoku przyszłe wybory do sejmu, które miały się odbyć w czerwcu 1889 r. i przy których mogliby wobec swoich wyborców odegrać rolę grzecznych dzieci, przemawiając w te słowa: „Nie my przysporzyliśmy wam tych ciężarów, to ci brzydcy staro-czesi, których nie powinniście wybierać na waszych przedstawicieli“. Jestto tylko drobna tymczasem illustracya życia naszych politycznych stronnictw, do którego teraz przejść zamierzam.

Antagonizm między tak zwanemi staro- i młodo-czechami jest dobrze znany czytelnikom tych listów. Jeżeli teraz znów o nim wspominam, to czynię to przedewszystkiém ze względu na tak trafnie przez Leona Poncins scharakteryzowanych „bojowników wolności“ we Francyi i dodam tylko uwagę, że owe trzy kategorye dziejopisa francuskiego wybornie stosują się do wszystkich tych mężów, a może nawet do kobiet, którzy się zajmują sprawami publicznemi i wogóle odgrywają w życiu publiczném jakąś rolę.

Nie będę bynajmniéj twierdził, że wszyscy staro-czesi należą do pierwszéj kategoryi, bo u nas, podobnie jak we Francyi, nie tak

łatwo jest, w każdym danym wypadku, pierwszą od drugiéj odróżnić. Ale, jakkolwiek niechętnie zwykle wymieniam nazwiska, muszę tu wyraźnie powiedzieć, że dr. Rieger jest stanowczo szlachetnym pierwszéj kategoryi przedstawicielem. Dr. Rieger nigdy dla siebie nie pracował, lecz zawsze wszystkie siły swoje i cały czas dla narodu i dla kraju poświęcał. Nie zdobył sobie żadnych godności, jakkolwiek często były mu ofiarowane, ani bogactw, choć mu je za czasów gryndērskiego matactwa gwałtem narzucano; gdy zaś mówię „narzucano“, winienem dodać, dla usunięcia wszelkich nieporozumień, że dr. Rieger konsekwentnie zawsze odrzucał wszelkie podobne ponętne propozycye. Słowem dr. Rieger nie użył nigdy swojéj działalności w życiu publiczném w celu zyskania czegoś dla siebie i zawsze poprzestawał na gorliwéj, niezmordowanéj obronie interesów swego narodu i swego kraju, a nawet w ciągu długiego przebiegu swéj publicznéj działalności, walcząc za te interesa, znaczne ponosił ofiary z własnego prywatnego majątku, który mu zawsze zapewniał niezależne stanowisko. Można rozmaicie oceniać publiczną działalność dr. Riegera i jego wyniki—ale ubiegania się o zaszczyty ani samolubstwa nikt mu nie zarzuci. A jednak mimo że dr. Rieger całe życie swoje strawił na usługach narodu, że zasługi jego położone około dobra kraju są niezaprzeczone, że należy do najszlachetniejszych reprezententów narodu, jeżeli już nie nazwiemy go ze wszystkich najszlachetniejszym, był przez młodoczechów systematycznie spotwarzanym i podawanym w podejrzenie jako wróg i krzywdziciel tego narodu; porzucano go już nawet, nieraz między politycznych trupów, ażeby nad rzekomym grobem przeciwnika kilkakrotnie z szyderczemi okrzykami wykonać dziki huroński taniec rozkiełznanéj namiętności stronniczéj, ku wielkiéj uciesze naszych wrogów narodowych.

Naród jest wielkim tylko przez wielkich ludzi, sławnym tylko przez sławę znakomitych mężów; ale nasz naród jest niestety przenikniony barbarzyńskiém tchnieniem demokratycznéj żądzy niwelacyjnéj, która, ilekroć ktokolwiek dźwignie się ponad średnią miarę płaskiéj nicości, rzuca się na śmiałego z krzykiem: „strąćmy go z jego wysokości, zdepczmy go w błocie!“ Uważa się to może za obudzenie prawdziwego ducha husyckiego—tylko zapomina się przytém, ze husyci mieli na czele Żyżkę i Prokopa Wielkiego. Młodoczesi lubią powoływać się na czasy husyckie, naturalnie z zastosowaném do dzisiejszéj doby pominięciem religijnego fanatyzmu; być bardzo może, iż doprowadzą do tego, że naród czeski stanie się niezbyt przyjemnym nietylko dla Austryi, ale dla bardzo dziś konserwatywnych Niemiec, co bynajmniéj nie polepszy naszych wido-

ków na jakąś bezpieczną przyszłość; w każdym razie młodo-czesi gorliwie nad tém pracują, żeby w narodzie czeskim żadne nie zjawiały się znakomitości. Ktokolwiek bądź na polu publicznéj działalności dokona czegoś wybitnego, ten może być pewny, że natychmiast padnie strzał z wielkiego działa „Narodnich listów", nabitego podejrzeniami i oszczerstwami najgrubszego kalibru. Taką ofiarą niwelacyjnéj żądzy młodoczechów jest obecnie dr. Mattus. Doktór praw, Karol Mattuš, burmistrz w Mladéj Boleslavie, poseł na sejmie i w radzie państwa, jest niewątpliwie wydatną znakomitością parlamentarną w austryackiéj radzie państwa. W 1884 r. objął on tam za hrabiego Henryka Clam-Martinica, który nagle zachorował, czynności sprawozdawcy głównego do kwestyi budżetowéj. Nasi sprzymierzeńcy i przyjaciele w radzie państwa, Polacy, oczekiwali wtedy, prawie z trwogą, czy ten mały niepozorny jegomość, z niezbyt dźwięcznym głosem, będzie wstanie podołać podjętemu zadaniu bez uszczerbku dla parlamentarnego znaczenia zjednoczonéj prawicy. Ale dr. Mattuš przeszedł wszelkie oczekiwania i jest od tego czasu ogólnie aprobowanym sprawozdawcą do budżetu. Mowy jego są prawdziwemi perłami parlamentarnéj swady i stanowią często pełne doniosłości programy naszéj polityki narodowéj. Słowem dla każdego poczytalnego człowieka, dr. Mattuš należy do pierwszorzędnych wielkości parlamentarnych i jest znakomitym człowiekiem, którym naród czeski, nie mający do zbytku wielkich ludzi, chełpić się tylko może. Jakże tedy poczynają sobie z tym człowiekiem młodo-czesi, najprzód w swoim politycznym organie „Narodni listy" a powtóre w piśmie humorystycznem „Šipy", założoném *ad hoc*, tj. w celu poniżenia i wyszydzenia dra Riegera i innych jemu podobnych znakomitości. Dr. Mattuš nie jest tam ganiony za to, że to lub owo mógł był powiedzieć lepiéj, albo za to, że tego lub owego nie powinien był mówić. O! nie,—tak tanim kosztem nie pozwalają „Narodni listy" wykręcić się temu, kto się odważa bez ich pozwolenia, nie stojąc pod ich egidą, tak sobie, ni stąd i zowąd zrobić coś porządnego. Dr. Mattuš napiętnowany jest uroczyście jako zdrajca narodu czeskiego, jako jeden z najsromotniejszych złoczyńców. „Šipy" znowu we wszelkich możliwych karykaturach wydają dra Riegera na pastwę publicznego szyderstwa a z dr. Mattušem dzieje się nie wiele lepiéj.

Namiętności stronnicze nie znają w polityce żadnych względów przyzwoitości, żadnych zasad moralności; osławianie, obelgi, podejrzenia i oszczerstwa są ulubioną ich bronią. Jeżeli nie można przeciwnika w błocie podeptać, trzeba go przynajmniéj błotem obryzgać. A co na to wszystko mówi tak zwana opinia publiczna?

Vox populi. vox dei, głosi stare *dictum*, którego autor musiał widocznie żyć w czasach idylicznéj niewinności—dziś, chybaby nikt takiego aforyzmu nie wymyślił. Opinia publiczna,—to dziwna osoba, szczególne często miewająca kaprysy. Konsekwencya nie jest, jak sądzę, jéj przeważającym przymiotem, raczéj zmienność stosownie do pogody, bo przecież płaszczem z téj strony trzeba się osłonić, z któréj wiatr wieje. I kto właściwie stanowi opinią publiczną?—ci po większéj części, którzy sami własnego nie mają zdania. A jednak! któżby dziś nie miał zdania o polityce zewnętrznéj i wewnętrznéj, o sytuacyi,—jak to się zwykle mówi, nareszcie o tém jak mają postępować posłowie? Wszakże to wszystko można miéć codzień drukowane za parę grajcarów—więc jakżeby nie miało być opinii publicznéj? Tym sposobem moglibyśmy łatwo zapędzić się w mniemaniu, że u nas wykształcenie polityczne stało się już ogólném, bo kto téż nie ma tu pretensyi do sądu w rzeczach wyższéj i najwyższéj polityki państwowéj? i to do jakiego sądu!—nic bardziéj stanowczego, kategorycznego wyobrazić sobie nie można—taki sąd nie znosi żadnéj opozycyi. Nauczyciele naszych szkół ludowych są to sami politycy z powołania, którzy właściwie mogliby w swojéj szkole uczyć takich ludzi jak Rieger i Mattuš, gdyby ci ludzie chcieli się czegoś porządnego nauczyć, a potém działać jak się należy. Co się tyczé nauczycielek w szkołach ludowych, te również muszą korzystać z praw człowieka i nie mogą dać się wyprzedzić swoim męskim towarzyszom. Posiadamy nauczycielki, które na samo nazwisko Riegera, czują się w obowiązku korzystać z niewinnéj prerogatywy osłabionych nerwów, tak dalece są przekonane o swéj umysłowéj wyższości nad tym tak zwanym przywódcą narodu czeskiego. Potém idą studenci, czyli ściśléj mówiąc, młodzież szkolna, bo wysoka polityka będzie u nas wkrótce uprawianą już w ochronkach dla małych dzieci. Że studenci naszych wyższych zakładów naukowych mają zupełną kompetencyą do rozstrzygania wszystkich kwestyi politycznych w chwili bieżącéj, temu nikt nie może zaprzeczyć, kto ich nie chce obrazić—a i gimnaziści na dowód swéj dojrzałości politycznéj dzielą się już na staro i młodoczechów. Szkoły miejskie i ludowe muszą również być użyte do rozpowszechnienia politycznego ukształcenia—o tém pamiętają już młodoczescy nauczyciele. Zwierzchni kierunek téj politycznéj kultury narodu czeskiego, centralną władzę, że tak powiem, tego specyalnego fachu oświaty publicznéj dzierżą „Narodni listy“, organ polityczny młodo-czechów. W téj propagandzie *verae fidei politicae*, hasłem pod którém rozwija się działalność, jest: „kto nie z nami, ten przeciw nam“! z czego wynika, że wszyscy ci, którzy się dobro-

wolnie téj komendzie nie poddają, są albo zmuszani do uległości systematyczném prześladowaniem, albo, przy pomocy równie konsekwentéj potwarzy, muszą się stać nieszkodliwemi. Nie jest-to zresztą żadną specyalnie czeską właściwością w tych naszych, nowszych czasach, że organa stronnictw służą jedynie za środek do popierania interesów koteryjnych, w których zwykle kwestya osób na pierwszy plan występuje; podobnie i u nas antagonizm między staro a młodoczechami, zatruwający całe nasze życie polityczne, jest jedynie kwestyą osób. Gdyby chciano rzeczywiście i poważnie traktować tylko rzeczowe interesa, usunięcie tego zgubnego dla wszystkich antagonizmu, byłoby bardzo łatwe, bo owe rzeczowe interesa narodu czeskiego dadzą się określić tak zwięźle i ogólnie zrozumiale, że i zgoda pod tym względem mogłaby być osiągnięta i wyniknąć, że tak powiem, z siłą naturalnéj konieczności. Ale kiedy przychodzą w rachunek osobiste aspiracye jako pierwszędne motywa, kiedy kategoryczne: *ôte toi de là*, *que je m'y mette*! główną odgrywa rolę, wtedy o jedności mowy być nie może, a tak niestety mają się rzeczy w tym wypadku. Mówiono już nie jednokrotnie, że młodoczesi jeżdżą na jednym wózku z naszymi narodowymi wrogami, z Niemcami i że obrabiają ich interesa z całą gotowością. Wzmiankowana powyżéj okoliczność nadaje téj anormalności pewne prawdopodobieństwo. Niemcy głoszą zawsze swoję duchową wyższość i na tém twierdzeniu opierają pretensyą do politycznéj przewagi w życiu państwowém. Jeżeli „Narodni listy“ gotowe są zawsze wszelkiemi środkami obniżać w opinii publicznéj wszystkich tych, którzy zdolni są odgrywać w życiu publiczném narodu czeskiego wybitną rolę kierowniczą, jeżeli postawiły sobie za główny cel swojéj działalności, przedstawiać ludzi téj miary, co dr. Rieger i dr. Mattuš, któremi cały naród czeski może i powinien się chlubić, jako chorujące na wielkość nieudolności, jako figurantów bez charakteru i bez talentu, zasługujących jedynie na publiczne szyderstwo „Šipów“—to można wpaść na myśl, że ci panowie w gruncie rzeczy obrabiają interesa naszych narodowych wrogów, którzy też nic innego nie twierdzą, tylko że naród czeski nie ma ludzi wybitnych pod względem zdolności i umysłowego ukształcenia. W rezultacie młodo-czesi należą do drugiéj z pomiędzy trzech, określonych przez Poncina, kategoryi, co bynajmniéj nie znaczy, żeby tu, ak wszędzie nie dała się zastosować zasada: *Nulla regula sine exceptione!*

I wobec tego wszystkiego wytwarza się trzecie stronnictwo polityczne! Ludziom, prawdziwie rozsądnym, nasuwa się tu zaraz uwaga: „posiadając dwie partye, posiadamy właściwie więcéj ani-

żeli nam potrzeba. *Omne nimium nocet.* Dajcie więc pokój z tą okrutną zabawką!“ Ale wielką politykę uprawia dziś wielu poprostu jak sport, a sportsmeni pragną też naturalnie mieć swoje przyjemności. Dla czegóż więc nie mieć i trzeciego stronnictwa, skoro już dwa istnieją? dla czego trzecie nie ma być właśnie drugiém, a potém jaki jest powód, żeby nie było czwartego i piątego i tak daléj *con grazia... ad infinitum*, a właściwie *ad absurdum*, dopókiby nareszcie nie nastąpił zwrot i ostateczna naprawa szkód w życiu publiczném poniesionych. Niemcy w Czechach, mniéj od nas liczni, cieszą się istnieniem pięciu partyi publicznych i są przytém, mimo uszczuplenia i tak niezbyt sutych dyet sejmowych, dobréj myśli i różowego humoru. Mogłbym tu jednak, nie mając zamiaru obrażenia moich współziomków powiedziéć: *Quod licet Jovi, non licet bovi*, a skoro już wymknęło mi się to przysłowie, to pozwolę sobie uzasadnić je dla wszystkich, którzyby w tém coś gorszącego znaléść chcieli. Niemcy w Czechii żyją dziś w tém radosném oczekiwaniu, że prędzéj czy późniéj należéć będą do wielkiego państwa niemieckiego i nie potrzebują obawiać się ani trochę, żeby im późniéj w Berlinie odpłacono za wszystkie polityczne koziołki, wywracane wskutek tego radosnego oczekiwania. Mogą więc Niemcy w Czechii pozwolić sobie bezpiecznie zbytku wszelakiego kuglarstwa politycznego — wcielenie ich do państwa niemieckiego powetuje to wszystko. Gdyby zatém wszyscy teraz nałożyli na głowę czapki jakobińskie, to im późniéj pruskie pikelhauby nie gorzéj pasować będą i przyjmie ich mimo to wielki naród niemiecki, do którego i tak dziś się już zaliczają.

Zupełnie inaczéj rzecz się ma z Czechami. Jesteśmy małym narodkiem, nie zaś wielkim narodem. Nie będziemy stanowić nigdy mocarstwa europejskiego, ani nie odegramy rozstrzygającéj roli w polityce europejskiéj. Jesteśmy raczéj na niwie téj polityki rośliną nagle wyrosłą, a w rodzinie narodów europejskich dzieckiem niespodzianie odrodzoném, dzieckiem małém przy innych zmężniałych młodzianach. My musimy dopiéro dorastać, żeby przyzwoicie wyglądać] przy innych członkach rodziny, mamy więc wszelkie powody do starania się o to, żeby ta rodzina, widząc nasze przystojne zachowanie się, zniewalającą obyczajność, nie uważała naszego odrodzenia za niemiłe, opłakane wydarzenie familijne. Nie posiadamy w tém rodzinném kółku narodów europejskich, żadnych zdeklarowanych przyjaciół, ani popleczników; odrodzenia naszego nie oczekiwano z radością; przyszło ono nawet temu i owemu nie na rękę i wiemy o tém najlepiéj, że dziecko nie było przez nikogo pieszczone, choć go otwarcie nikt podrzutkiem nie nazwał.

Dobrze to czasem bywa, jeżeli takie dziecko jedynie własną siłą żywotną rozwinie się do zupełnéj samoistności i zdobędzie ludzką indywidualność, — nie jest przynajmniéj rozpieszczoném. Tylko w takim razie nie powinno przedstawiać się samo jako *enfant gâté*, lecz musi baczyć, żeby nie wydało się niegrzeczném, lub nieprzyzwoitém zachowaniem się nie obudziło zgorszenia i gniewu. Skromność musi miéć takie dziecko przedewszystkiém na względzie.

Jeżeli więc znajdują się u nas ludzie, którzy mówią: „wszystko co robią Niemcy, możemy i powinniśmy robić, żeby dowieść, że nie jesteśmy niższym narodem!" — to zdaje mi się, że takie poglądy są niesłuszne, nie odpowiadają bowiem naszemu stanowisku w rodzinie narodów europejskich. Zapewne, gdybyśmy za plecami posiadali państwo czeskie z 40 milionami mieszkańców, podobne zapatrywania mogłyby miéć swoję podstawę; ale ponieważ tak nie jest, przeto takie poglądy są nietylko niesłuszne, ale i szkodliwe; sądzę, że czytelnikowi tych listów, stojącemu zdala od naszych stosunków a zatém zupełnie pod tym względem nieuprzedzonemu, daléj tego dowodzić nie potrzebuję.

Jakże zatém mamy sobie w obecnych stosunkach poczynać, chcąc popiérać według możności nasze interesa narodowe i zabezpieczyć sobie przyszłość, jako narodowi?—przedewszystkiém starać się działać zgodnie, dla osiągnięcia tego celu. Siły nasze nie są tak wielkie, ażebyśmy, w dążeniu do tego celu, nie potrzebowali się obawiać ich rozproszenia. Powtóre powinniśmy wystrzegać się bardzo szowinizmu narodowego, wszelkich niepotrzebnych pretensyi i zbytecznego zarozumienia. Te przywary nie jednają sympatyi wielkiemu narodowi — mały narodek okrywają poprostu śmiesznością. Szukać w swarach i niesnaskach udowodnienia życia politycznego, jest wogóle niesłuszném, a u nas wprost niedorzeczném. Jeżeli się sami będziemy szarpali, ułatwimy tylko naszym wrogom zupełne nasze usunięcie ze szranków politycznych — dość im będzie uprzątnąć tylko krwawe strzępy, które po nas zostaną. Tylko prawdziwa, uczciwa poważna praca na wszystkich polach ludzkiéj działalności, w parze z niezmordowaną pilnością, może nam dopomódz do zdobycia stanowiska wśród narodów europejskich, którebyśmy chętnie, jak sądzę, przyjęli. Same krzyki i dzikie wodzenia się za łby, husyckie kuglarstwo i radykalne arlekinady, nie zbliżą nas do tego celu. Zgody politycznéj nam potrzeba i usunięcia na bok wszelkich interesów osobistych, wszelkich samolubnych zachcianek. Niestety! wiem, że to *pium desiderium!*

Ponieważ nam potrzeba zgody i jedności politycznéj, mamy przeto trzecie stronnictwo polityczne. Ta trzecia partya zamierza

właśnie z całą powagą urzeczywistnić taką zgodę, głosi bowiem: „nie ma żadnych staro-czechów ani młodo-czechów — jest tylko trzecie stronnictwo!“ Bierze ochota uważać to za lichy koncept, a jednak, tak jest.

Kiedy mam mówić o téj trzeciéj partyi, przychodzi mi na myśl mimowolnie początek podręcznika katechizmowego, którego musiałem się uczyć napamięć w pierwszéj klasie gimnazyum. Ten początek mogę dziś jeszcze dosłownie przytoczyć, a brzmi on jak następuje: „Podziwu godne i rozmaite są rzeczy, które naokoło widzimy i zmysłami ogarniamy“.

Kiedy w r. 1848 utworzyła się w każdéj miejscowości Czechii, nawet w najdrobniejszéj wioseczce gwardya narodowa, w któréj zawsze prawie każdy chciał być oficerem; wtedy ktoś dowcipny wpadł na sprytny pomysł przemówienia w te słowa do zgromadzonych gwardzistów: „Wiecie co? my jesteśmy wszyscy oficerami i wybiéramy sobie tylko szeregowców!“ W nowéj trzeciéj partyi, która ma uszczęśliwić naród czeski, dzieje się coś podobnego: w téj chwili są tylko oficerowie — szeregowców dopiéro się szuka lub werbuje. Trzecie stronnictwo posiada tymczasowo samych przywódców politycznych; właściwa partya tworzy się obecnie—i zobaczymy zaraz w jaki sposób się tworzy.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że przed kilku laty wybuchł u nas spór literacki o autentyczność najdawniejszych pomników naszéj literatury narodowéj: rękopisów królodworskiego i zielonohorskiego. Oba zawiérają poezye, pierwszy epickie i liryczne, drugi wyłącznie epickie, tylko we fragmentach. Ponieważ te poematy dostarczają oczywistych dowodów, że naród czeski uprawiał już w 12 wieku zupełnie ukształtowaną poezyą narodową, a więc stał w tym czasie na jednakowym z Niemcami poziomie cywilizacyi, naturalną jest przeto rzeczą, że Niemcy, którzy uważają swoję od dawien dawna datującą wyższość umysłową nad wszystkiemi Słowianami, a zatem i nad Czechami, za tytuł prawny, uzasadniający ich pretensye do hegemonii w państwie austryackiém, byli zawsze skłonni do podawania w wątpliwość autentyczności tych pomników literatury naszéj. Nie należy tu zapominać pełnéj znaczenia okoliczności, że napaści Niemców na autentyczność tych rękopisów, nastąpiły dopiéro po 1848 r., a zatém po polityczném odrodzeniu narodu czeskiego, przed tym zaś rokiem autentyczność pomników uznana była przez znakomitych uczonych niemieckich i doskonałych znawców tych rzeczy. Okoliczność powyższa wyjaśnia się tém, że do 1848 r. nie istniała między Czechami a Niemcami żadna polityczna rywalizacya lub niechęć, że Niemcy nie

mieli jeszcze wtedy żadnego interesu w akcentowaniu swojéj umysłowéj wyższości i że wśród ówczesnych Niemców panował sympatyczny prąd ogólno-humanitarny, rodzaj kosmopolityzmu, ogarniającego miłością całą ludzkość, o którym wiadomo, że go książę Bismarck najuroczyściéj wyszydził, ażeby zapewnić, jaknajwiększy rozwój narodowemu egoizmowi, potrzebnemu do planów księcia kanclerza. Po 1848 r. kiedy i naród czeski pozwolił sobie wierzyć w to, że nowe słońce politycznéj wolności dla niego również wejdzie i zaświta, kiedy i ten naród zapragnął postawić swoje żądania co do samoistnego bytu w życiu politycznéni, wtedy naturalnie wyszło z obozu niemieckiego hasło, ażeby temu narodowi dowieść, że nic go nie upoważnia do takich pretensyi, i że szczególniéj cała jego przeszłość nie była tego rodzaju, aby mu w teraźniejszości zapewnić mogła godną poważania egzystencyą.

Wtedy nastąpiła w szóstym dziesiątku bieżącego stulecia pierwsza, systymatycznie uorganizowana i dobrze skombinowana napaść Niemców na owe stare pomniki literatury. Napaść ta miała swój sens i była zreczną, w interesie bowiem Niemców leży dowieść, że naród czeski nie ma w życiu narodów europejskich żadnego znaczenia cywilizacyjnego i że jestto poprostu narodowe matactwo i jawne oszukaństwo, kiedy taki narodek rości pretensyą do równie dawnéj jak Niemcy literatury narodowéj, a nawet jeszcze starszéj. Gdy więc Niemcy przedsięwzięli dowieść, że oba rękopisy są poprostu marnemi fabrykatami nowożytnych fałszerzy, którzy tym sposobem chcieli pochlebić próżności narodowéj, to uczynili to we własnym, dobrze zrozumianym interesie, który nagląco wymagał wtrącenia podobnych pretensyi w dziedzinę absolutnéj nicości. Niemcy zatém spełnili, że tak powiem, obowiązek narodowy, napadając na autentyczność tych dawnych rękopisów.

Napaść ich odparli podówczas Czesi zjednoczonemi siłami. Przed kilku laty ponowiła się ona, jak wiadomo, i to już nie z niemieckiego lecz z czeskiego obozu. Zrobili to profesorowie nowo otwartego uniwersytetu.

Nie będę tu powtarzał wszystkiego, co już powiedziałem o tym nowym literackim sporze o autentyczność rzeczonych pomników poezyi, zaznaczę tylko krótko dotychczasowy wynik sporu, bo w téj chwili chodzi przedewszystkiém o wytworzenie się i właściwą podstawę trzeciéj partyi politycznéj.

Co się tyczy saméj sprawy, to jest istotnéj kwestyi spornéj, jako takiéj, mogę tylko stwierdzić, że bynajmniéj nie jest rozstrzygniętą. Napastnicy utrzymują wprawdzie, że dowiedli nieprawdziwości obu rękopisów i podrobienia takowych w bieżącém stuleciu

ale obrońcy z równą siłą twierdzą, że tak nie jest. Utrzymywać, że się odniosło zwycięstwo, kiedy rzekomo zwyciężony nie ma najmniejszéj ochoty przyznać że go pokonano, nie jest prawdziwém zwycięstwem, ani właściwém zakończeniem walki. Wszelkie wysiłki panów profesorów naszéj narodowéj wszechnicy, dokonane z nagromadzeniem wszelkich możliwych środków erudycyjnych, nie przekonały nas dotąd.

Niemcy natomiast przekonani zostali temi bardzo dla nich pożądanemi usiłowaniami, że mieli słuszność dowodząc, nieautentyczności najstarszych „rzekomo" pomników czeskiéj poezyi narodowéj. Jestto w każdym razie stanowczy i niewątpliwy wynik sporu literackiego, prowadzonego przez Czechów.

Drugim równie stanowczym, równie niewątpliwym wynikiem téj literackiéj jeszcze nieskończonéj walki jest fakt, że professorowie narodowéj wszechnicy czeskiéj rozdzielili się szczęśliwie w skutku tego sporu na dwa wrogo naprzeciw siebie stojące obozy. Czy taki rozdział ma być uważany wobec interesów narodowych jako szczęście lub téż jako klęska? — rozwodzić się tu nie będę; zauważę tylko, że widocznie napastnicy na autentyczność starych poezyi sądzą, iż takim rozdziałem kolegium profesorskiego na dwie nieprzyjacielskie partye udowodnili swego uzdolnienia do skupienia całego narodu czeskiego pod sztandar trzeciéj partyi politycznéj, wszyscy bowiem młodzi profesorowie, którzy przy napaściach na autentyczność rękopisów najgłośniéj się wsławili, tworzą korpus oficerski tego nowego stronnictwa. Wodzem ich zarówno w dotychczasowych utarczkach literackich, jak w przewidywanych poważniejszych walkach, jest p. Tomasz Masaryk, profesor filozofii uniwersytetu czeskiego.

Profesor Masaryk ma nadto pretensyą być reformatorem społeczeństwa. O wyższości i przysługującém mu w skutku niéj wszechwładztwie swego rozumu jest głęboko przekonany. Profesor Masaryk dążąc za polotem swoich idei, unosi się wysoko ponad drobne zachcianki, przyrośnietego do ojczystéj gleby, i żyjącego w ciasnocie interesów narodowych patryotyzmu, jest nawet przypadkowo tylko profesorem uniwersytetu czeskiego, ponieważ dziś jeszcze niestety, zajmowanie jakiegoś stanowiska społecznego, należy do potrzeb życiowych! Dokąd zamierza zaprowadzić naród czeski w politycznym kierunku — tego jeszcze temu narodowi nie objawił; w każdym rezie komenda będzie „za mną!"

Właściwe stronnictwo, jak już wspomniałem, nie jest jeszcze uorganizowane, ale będzie naturalnie (każdy to odgadnie) składać się ze studentów czeskiego uniwersytetu. Ci mają być, nowo-cze-

skim trybem użyci, a raczéj nadużyci do prowadzenia potrzebnéj propagandy politycznéj. Wtedy, skoro skupi się nowa armia zbawienia, zobaczymy dokąd pomaszeruje. Jeżeli uda się nowéj, tymczasem więcéj w idei niż w rzeczywistości istniejącéj trzeciéj partyi: po pierwsze, stać się prawdziwém stronnictwem politycznéni; powtóre, wchłonąć w siebie dwa już egzystujące, w takim razie nie poskąpimy jéj zasłużonego uznania. Tymczasem wolno jeszcze obawiać się, żeby tak zwana „trzecia partya", nie pozostała czasem jeneralnym sztabem bez armii. Do nieistniejącego jeszcze stronnictwa nie będę stosował kategoryi Poncin'a, ani téż zamierzam przedwcześnie rozstrzygać, czy egzystujący obecnie sztab jeneralny należy stanowczo do drugiéj. *Qui vivra verra*!

Kiedy sobie wspomnę, że w poprzednich moich wywodach skreśliłem niezbyt zachęcający obraz naszych obecnych stosunków stronniczych, nasuwa mi się mimowoli myśl, że czytelnik tych listów mógłby mię uważać za dotkniętego pesymizmem malkontenta, a ponieważ tak bynajmniéj nie jest, przeto postaram się złagodzić w zakończeniu listu wrażenia, jakie część jego dotychczasowa wywrzéć mogła.

Nie jestem bynajmniéj zdania, że wszystko u nas źle idzie i nie należę wcale do rzędu tych, którzy zrozpaczyli o przyszłości narodu czeskiego, a jeżeli mówię otwarcie i bez ogródki o niepożądanych u nas stosunkach, to jedynie w chęci usunięcia tego zła z drogi, żeby nam się lepiéj działo aniżeli teraz.

Przedewszystkiém muszę zaznaczyć, że opinia publiczna, mimo wszelkie usiłowania młodoczeskie. nie jest jeszcze tak spaczona, jakby to wnosić można było z tego, co przedtém powiedziałem. W inteligentnéj części naszego narodu żyje jeszcze zdrowy rozsądek, a nie ma znowu powodu przypuszczać, żeby losy tego narodu miały się dostać w ręce jego nie poczytalnéj, nie inteligentnéj części, o czém zaświadczyć może 10 grudnia 1888 r. dzień, który w rocznikach narodu czeskiego powinien być naznaczony jako *dies faustus*.

W téj pamiętnéj dacie święcił nasz naród 70-ą rocznicę urodzin d-ra Riegera w sposób, który wobec świata całego głośno i wyraźnie stwierdził, że cała inteligencya czeska uznaje tego człowieka za swego wypróbowanego kierownika.

Już 9 grudnia, w niedzielę, odbyło się w sali „Měšťanskiéj besedy" ogólne zgromadzenie „Jednoty občanů pražskych", na którém dyrektor czeskiéj akademii handlowéj, członek sejmu i rady państwa, Emanuel Tonner, w dzielnéj mowie wypowiedzianéj wśród oznak ogólnego zadowolenia, streścił jędrnemi rysami zasługi d-ra Riegiera około politycznego odrodzenia narodu czeskiego i okre-

ślił stanowisko, jakie ten mąż zajął w życiu publiczném narodu. Mówca stwierdził, że „cały naród“ przygotowuje się do uroczystego obchodzenia jutrzejszego dnia, z wyjątkiem osobistości—dodał dowcipnie—przekonanych, że to dr. Rieger ich raczéj winien honorować, aniżeli oni jego,—pretensya za którą ci ludzie powinni właściwie prosić o przebaczenie, bo tego rodzaju objawy przedstawiają tylko światu naród czeski w złém świetle. Mógł był jeszcze dodać: że szanując swoich wielkich ludzi, naród szanuje sam siebie.

Wieczorem tegoż dnia było uroczyste przedstawienie w teatrze narodowym, na którém przybrana odświętnie publiczność nie szczędziła serdecznych owacyi obecnemu w loży z całą swoją rodziną dr. Riegerowi.

W dzień właściwéj uroczystości 10 grudnia, już o 9-téj z rana przybyła do mieszkania jubilata deputacya, ofiarując mu dar od narodu, który razem z tém, co późniéj wpłynęło, wyniósł wogóle sumę 120.000 fl. O 10-téj rano udał się dr. Rieger do staromiejskiego ratusza, gdzie w wielkiéj sali zgromadzeni byli nader licznie, w celu złożenia powinszowań, delegowani od wszystkich korporacyi, stolicy, od przedstawicielstw okręgów i miast. Radca rządowy i były profesor uniwersytetu W. W. Tomek miał tam mowę, na którą dr. Rieger w dłuższém przemówieniu odpowiedział. Porywający zapał ogarnął zgromadzenie, kiedy dr. Rieger odezwał się na zakończenie w te słowa: „Bądźcie wszędzie w waszych stowarzyszeniach i korporacyach, tłómaczami mego szczerego podziękowania i powiedzcie wszędzie: „Rieger był zawsze uczciwym sługą swego narodu, jest nim jeszcze i będzie aż do ostatniego tchnienia“! Powszechne entuzyastyczne oznaki zadowolenia, które burzą wybuchnęły przy tych słowach, były aż nadto wyraźną odpowiedzią na wszystkie marne wysiłki zaciekłych młodo-czechów, żeby możliwie obniżyć doniosłość obchodu a nawet przeszkodzić mu, o ile by się dało. Używam tu rozmyślnie wyrażenia „zaciekłych młodo-czechów“, wiadomo bowiem, że i młodo-czesi wzięli udział w ogólnéj uroczystości. Zakończenie jubileuszu stanowiła, 10-wieczorem uczta w wielkiéj sali gmachu na wyspie Zofii. Przygotowano się na 200 osób, ale musiano w końcu zrobić miejsce dla 340 uczestników i odprawić z niczém wielu, którzy się późniéj zgłosili. Z licznych wypowiedzianych tam mów podam tu tylko pierwszą, wygłoszoną przez najwyższego marszałka krajowego, księcia Jerzego Lobkowica. Książe przemawiał naturalnie po czesku i powiedział co następuje.

„Panowie! Zgromadziliśmy się tu dzisiaj w celu uczczenia człowieka, który całe długie życie poświęcił uświetnieniu swéj ojczyzny, odrodzeniu swego narodu, (*Ogólne oklaski*), który obec-

nie może z radością rzucić okiem wstecz na swoje minione lata, (*oklaski*). Bo to, o czém marzył w młodości, widzi w podeszłym wieku w zupełności urzeczywistnione (*oklaski*). Naród jego zrobił w ciągu tego czasu niesłychane stosunkowo postępy, (*ogólne oklaski*), a przy porównaniu obecnego stanu tego narodu, ze stanem w jakim się znajdował za młodych lat człowieka, któremu dziś cześć składamy, każdy bestronny sędzia musi przyznać, że ten naród zasługuje na podziw zarówno przyjaciela jak wroga (*oklaski*). My zaś, panowie, będziemy o tém pamiętali, że ten podziwu godny rozwój naszego narodu przypadł na epokę rządów monarchy, który opiekuńczą dłoń rozpostarł nad wszystkiemi swemi ludami, nie zapomnimy o tém, że nasz najmiłościwszy cesarz i król, wszystkie narody swego potężnego państwa jednakową ogarnia miłością (*ogólne oklaski*) i że naród nasz nietylko własnéj sile, lecz i temu monarsze ma do zawdzięczenia rozwój, do którego już doszedł; będzie więc, moi panowie, nietylko rzeczą przyzwoitości, ale i wyrazem dynastycznéj wierności, którą Czesi zawsze poszczycić się mogli (*oklaski*), jeżeli pierwszy toast w dniu dzisiejszym wzniosę za zdrowie jego cesarskiéj mości, najmiłościwszego naszego cesarza i króla, Franciszka Józefa I-go. Niech żyje!“ (*entuzyastyczny poklask*, *ogólnie* „Slava! Slava!“ muzyka gra hymn narodowy austryacki).

Oprócz wielkiéj ilości powinszowań od pojedyńczych osobistości i adresów od różnych stowarzyszeń i korporacyi, otrzymał dr. Rieger w tym dniu 838 telegramów, prawie ze wszystkich krajów świata.

To podniosłe uczczenie niezaprzeczonych zasług człowieka, prawdziwie u swego narodu i w swoim kraju zasłużonego, wywarło wstrząsające wrażenie nawet na zaciekłych młodoczechów. Wobec podobnych manifestacyi, nie uchodzi jakoś lżyć daléj i rysować płaskie karykatury. Nastąpiło więc pod tym względem po 10 grudnia 1888 r. pewne zawieszenie broni, które jednak bardzo długo nie trwało. Kot łapać myszy nie przestaje; dr. Rieger może być najuczciwszym sługą swego narodu, aż do ostatniego tchnienia, a swoją drogą nie znajdzie u młodoczechów zmiłowania ani przebaczenia za to, że stał się bez ich pozwolenia najlepszym wśród najlepszych swego narodu. Młodo-czesi długo jeszcze nie darują tego dr. Riegerowi, że okrzyczana ich potęga i rozgłoszony wszędzie wływ na opinią publiczną zachwiały się po 10 grudnia 1888 r. nawet w pojęciu władz. Na podstawie tego, co wtedy wiadomém było dyrekcyi policyi i namiestnictwu o nastroju i zachowaniu się młodoczeskich sfer kierujących, władze były przekonane, że naród czeski nie ścierpi tego uroczystego jubileuszu dr. Riegera, jako po-

litycznego przywódcy, że wszędzie uroczyście zaprotestuje przeciwko wszelkiemu podobnemu uczczeniu, tego „rzekomego“ sterownika, że wysiłki w tym kierunku staro-czechów odparte zostaną potężnemi młodo-czeskiemi przeciw-demonstracyami, słowem, że cała uroczystość w ratuszu, w teatrze narodowym i na wyspie Zofii, doprowadzi tylko do zgiełkliwych zbiegowisk, do ulicznych skandalów, a może nawet do krwawych bijatyk. Władze były widocznie zdumione, że nic podobnego się nie stało, że przeciwnie, wszystko miało taki podniosły, entuzyastyczny nastrój, jak gdyby młodo-czesi zgoła na świecie nie istnieli. To też znaczenie ich upadło w oczach najwyższych władz krajowych, czego młodo-czesi jeszcze przeboléć nie zdołali.

Wobec naszych narodowych przeciwników, Niemców, stoimy dobrze, co znaczy: dość mocno. Pod względem znaczenia w życiu państwowém, zyskaliśmy stanowczo trochę gruntu pod stopami. W kwestyi narodowego pojednania i ostatecznego usunięcia opłakanéj rozterki narodowościowéj, dużo jeszcze niestety pozostaje do zrobienia i niewiele téż obecnie powiem o nowéj w ostatnich czasach z naszéj strony podjętéj propozycyi pojednawczéj. Kiedyś, późniéj, może jeszcze do tego powrócę; dziś powiem krótko, że Niemcy zawsze nie chcą się z nami porozumiéć i trzymają się ciągle téj taktyki, że dość im będzie stać w Czechii na boku i pozwolić nam Czechom we wszystkiém samoistnie działać, żeby wszystkie nasze dążenia narodowe, całe może życie narodowe doprowadzone zostało *ad absurdum.* I pod tym względem muszę stwierdzić fakt bardzo dla nas pomyślny, że Niemcy prawie już przyszli do przekonania, iż ta ich chytrze obmyślana taktyka narodowa jest właściwie lichą taktyką.

Nie chcieliśmy w Pradze dwóch uniwersytetów, ani dwóch szkół politechnicznych, żądaliśmy tylko podziału jednego uniwersytetu i jednéj szkoły politechnicznéj na dwa równouprawnione kollegia profesorskie, jedno czeskie, drugie niemieckie. Niemcy wmusili w nas formalnie samoistną wszechnicę czeską i samoistną czeską szkołę politechniczną, sądząc, że naród czeski okryje się tylko śmiesznością w oczach całego cywilizowanego świata, rozpocząwszy sam pracę na tém polu nowéj dotąd dla siebie działalności umysłowéj. Uważali oni swój uniwersytet niemiecki, jako stary niemiecki dąb, czeski zaś, jako pasorzytną roślinę, która radaby wić się w górę około silnego dębu, żeby też módz powiedziéć: „patrzcie jak jestem wysoko, jak pięknie i pomyślnie rosnę!“ Dokazali więc, że rzekoma pnąca roślina oderwana została od dębu i myśleli sobie przytém: „zobaczymy teraz jak będzie wysoko rosła!“

Aż tu mniemana pnąca roślina, stała się silném drzewém, tęższém i wyższém od niemieckiego dębu, od którego ją chytrze oderwano, sądząc, że przy ziemi odrazu wyniszczeje.

Coś zupełnie podobnego dzieje się z czeskim teatrem narodowym. Gdzie są czasy, kiedy Niemcy mówili z pogardliwém wzruszeniem ramion: „W téj nowéj, ładnéj świątyni muz, będziemy musieli wkrótce sami grać i to niedługo nastąpi!" Tymczasem nasz czeski teatr narodowy prześcignął już teatr niemiecki w Pradze, sami Niemcy to przyznają.

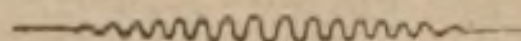
Następnie reprezentacya gminna. Niemcy sądzili, że należy całą administracyą gminną zostawić Czechom i nie mięszać się do tego zgoła, wtedy pokaże się wkrótce, że Czesi zupełnie nie są zdolni do téj gospodarki ani do przyzwoitych rządów. I tu omylili się zupełnie a abstynencya ich do tego tylko doprowadziła, że sami utracili wszelkie znaczenie w życiu publiczném stolicy Czechii, jak gdyby ich zupełnie nie było. A administracya gminna? — téj dobrze się przytém dzieje — uznają to sami Niemcy z pochwałą. Pomagają nam do zdobycia upragnionego znaczenia, zmuszając do wytężenia wszystkich sił w służbie około spraw publicznych.

Wreszcie sejm. Z sejmu również wystąpili Niemcy zupełnie niepotrzebnie i trzymają się polityki abstynencyi, która nam samym niegdyś tak na niewiele się przydała. Niemcy wprawdzie myślą: *Si duo faciunt idem non est idem*, i mają do pewnego stopnia słuszność. Ale sejm czeski funkcyonuje już całe dwa lata bez Niemców, a armia rzeszy niemieckiéj nie uruchomiła się dotąd w celu wprowadzenia tryumfalnie do sejmu czeskiego „przy biciu w bębny, z brzękiem i szczękiem" Niemców, którzy stamtąd byli wystąpili. Całą reprezentacyą kraju obsługują sami czescy posłowie, i Niemcy nie mogą znaleźć nawet dostatecznego powodu do nieukontentowania.

Wszystko zatém, jak widzi czytelnik, idzie nam dość dobrze i nie mam żadnego powodu zarażać się pessymizmem.

Pokój między narodowościami jest zawsze w Czechii *pium desiderium*, ale o tém mówić będę w przyszłym liście i mam nadzieję, że coś pomyślniejszego doniosę.

Dr. Gabler.





SZLAKIEM NARODÓW.(*)

Burza szaleje nad światem, deszcz smaga grubemi zimnemi biczami gromadkę nagich słabych istot, chroniących się pod gałęźmi rozłożystego drzewa. Ulewa wzmaga się co chwila; wytwarza wezbrane potoki wód deszczowych, które szukając sobie ujścia, po drodze, podmulają pień drzewa, to schronienie człowieka przez naturę wzniesione, i grunt z pod nóg jego usuwają.

O świcie znów spokój nad światem zapanował. Człowiek rozpala ognisko, aby jego ożywczym promieniem pokrzepić siebie i swoję gromadkę, zgnębioną w walce z groźnem zjawiskiem. Przemokła ziemia, gwałtowny wicher, który nagle sie zerwał, zdmuchując ogień, niweczą wszelkie usiłowania człowieka.

Po téj dotkliwéj, przez samę matkę przyrodę udzielonéj nauce, człowiek przychodzi do wniosku, że fizycznéj sile, siłę twórczości przeciwstawić należy. Z chwilą więc ustalenia się pogody, człowiek gromadzi gałęzie drzew, liście olbrzymich paproci, trzcinę i, z pomocą gliny, jako spajającego cementu, wytwarza sztuczne płaskowzgórze, które w przyszłości ochroni go od niszczących wpływów atmosferycznych.

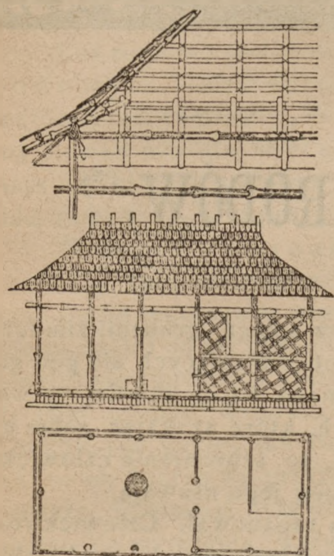
Na przygotowanéj w ten sposób podstawie, wbija pierwszy samorodny budowniczy cztery drewniane słupy i na nich wznosi pokrycie. Pomiędzy zaś temi czterema podporami rozciąga z łyka i sitowia sporządzoną tkaninę, którą z udoskonaleniem techniki zastępuje wzorzystemi matami.

W tak zbudowanéj p r a - p r a - c h a c i e pozostaje tylko w jéj środku wzniecić ognisko, przy którém zgromadzona rodzina używa słodkiego wywczasu po trudach łowieckiego życia.

(*) Artykuł niniejszy ma związek z tą częścią tegorocznéj wystawy paryskiéj w której można widzieć budowle mieszkalne w ich historycznym rozwoju.

(Przyp. red.)

Przykładem takiéj pierwotnéj, do dziś zakonserwowanéj budowli jest chata Karaibów (porówn. rys. 1).


Rys. 1.

Od tego czasu, każda budowla, drogą naturalną konstrukcyi powstała, zarówno u barbarzyńskich Karaibów, jak u ucywilizowanych Hellenów, a nawet w naszych czasach, składa się z czterech składowych pierwiastków: podmurowania zagrody, dachu i ogniska, które prócz materyalnego, ma wyższe moralne w historyi siedziby ludzkiéj znaczenie.

Jedną z najdawniejszych sztuk technicznych jest koszykarstwo. Nie ma plemienia, choćby na najniższym szczeblu cywilizacyi będącego, któreby nie znało sztuki splatania zagród i ścian z łyka, sitowia, trzciny i t. p. materyałów surowych. Najdawniejsze też ornamenta, których próby etnografia i historya nam przekazały, są wynikiem naturalnéj techniki wyplatania mat, służących do budowy ścian i ochronnych zagród. Z drugiéj zaś strony im głębiéj pamięcią sięgniemy do historyi siedziby ludzkiéj, tém wyraźniéj rzucają się w oczy części składowe pierwotnéj chaty przedhistorycznéj.

Od téj, pomroką wieków zasłoniętéj chwili, któréj odległości żaden historyk dotąd nie zmierzył, upływają lat tysiące, nim na olbrzymiéj płaszczyznie, poprzecinanéj głębokiemi brózdami Yongce-Kiangu, Hoang-ho i Si-kiangu, cywilizacya w całéj pełni zakwitła.

Rok 2698 przed naszą erą, jest stanowczym dla państwa Środkowego. W tym bowiem czasie Chiny doszły do najwyższego stopnia umysłowego i cywilizacyjnego rozwoju. Już w owym czasie, kulisty, na biegunach spłaszczony kształt ziemi, nie był dla Chińczyków tajemnicą, jak również znany był im użytek igły magnesowéj; lanie zaś metalów i sztuka tkania wspaniałych materyi jedwabnych, doprowadzona do stopnia artyzmu; fabrykacyi naczyń porcelanowych, dziś jeszcze sewrskie zakłady dorównać nie mogą.

Siły jednak społeczne, jak roślina, która zbyt szybko na wiosnę wybuja, w tém stadyum rozwoju zatrzymane, nie rozwinęły się daléj. Takie *status-quo* społeczne do dziś zachowane zostało.

Odtąd Chińczycy tęskném okiem spoglądają w dawno minioną przeszłość, panowania cesarza Jao, i pragną zakonserwować wszystkie cechy złotego wieku panowania dynastyi Hia. Pałac ostatniego potomka téj dynastyi, cesarza Yu, stał się typowym wzorem tego rodzaju budowli; żywa reminiscencya pierwotnéj chaty przedhistorycznéj. Wszystkie składowe części téj budowli żywo przypominają genezę pierwotnego budownictwa. Lekka strzecha słomiana, która zbiegiem czasu zaklęsła i mchem się pokryła, reprodukowana w chińskim dachu, a zielona dachówka ma przypominać pleśń: symbol konserwatyzmu. Pierwotne płaskowzgórze z gliny, gałęzi drzew i trzciny zlepione, zastąpiono kamiennem podmurowaniem. W domach chińskich w całéj więc pierwotnéj prostocie zachowana została budowa przedhistoryczna.

Europejczycy w swych sądach o Chińczykach i dziełach ich sztuki nie znajdują granic pochwały lub nagany. Jedni wielbią chińską mądrość polityczną, wytworny smak artystyczny, inni znów co niedorzeczne chińszczyzną nazywają.

Żaden z objawów piękna nie jest mniéj znany, nad architekturę chińską. W niéj przedewszystkiém uderza nadzwyczajna oryginalność, wolna od wszelkiego naśladownictwa.

Po bliższém przypatrzeniu się dziełom architektów chińskich, uważny badacz przedewszystkiém spostrzeże pierwotne pochodzenie i przeznaczenie organów budowlanych. Podobnie jak w chacie naszych przedhistorycznych przodków, szkielet budowy składa się ze słupów pionowych, pomiędzy któremi wsunięto ruchomą ścianę, jest reminiscencyą owych pierwotnych zagród z łyka i sitowia.

Zapewne nie ma trudniéjszéj dla historyka i estetyka kwestyi, nad wyjaśnienie genezy kształtów, powstałych nie z wrodzonego człowiekowi poczucia piękna, ale pod wpływem tradycyjnych przesądów. Takiém właśnie, nadzwyczaj trudném zadaniem jest wyjaśnienie istoty architektury chińskiéj, dla któréj niewzruszonym są kanonem przesądy tradycyą uświęcone.

W budowlach chińskich, jak już wiadomo, zachowana została w pierwotnéj formie konstrukcya przedhistorycznéj budowli. Przez usunięcie parawanów, pomiędzy słupy budowli zasuniętych, dom może być każdéj chwili przemieniony na przezroczystą altanę.

Wszystko więc w tych budowlach jest racyonalne, zgodne z zasadami rozumowanéj konstrukcyi. Wiązanie dachowe, które zazwyczaj w naszéj współczesnéj architekturze, ma tylko utylitarne przeznaczenie, dla oka wewnątrz budowli ukryte, tu jest widoczne.

Dwie wymienione cechy charakterystyczne architektury chińskiéj: widoczna konstrukcya i ruchomość ścian, są dowodem, że chińscy architekci racyonalnie pojmują swe zadanie.

Pod tym téż względem architektura chińska w zasadzie swéj konstrukcyi bardzo jest podobna do średniowiecznéj, ostrołukowéj architektury, któréj racyonalizm, dążność do uczynienia konstrukcyi jawną dla oka, dochodzi do parodoksu. Daléj, podobnie jak w architekturze gotyckiéj, tak samo w chińskiéj, ściana jest tylko zasłoną, która bynajmniéj nie spełnia funkcyi podpierania pokrycia, dachu, budowli. Wprawdzie, ściana w budowli gotyckiéj nie jest ruchomą, ale też w XII wieku, znikając prawie zupełnie, zastąpioną zostaje szklanym witrażem, który już z natury rzeczy, może tylko funkcyę zasłony spełniać.

Umysł, logika chińczyka jest zbiorem wszelkich antytez. Obok racyonalizmu, który, jakeśmy to widzieli, mógłby ze scholastycyzmem średniowiecznym o lepsze walczyć, przesądy, formułki, wstecznictwo, któremi Chińczyk kieruje się w sprawach rodzinnego i społecznego życia, pozostawiły głębokie i charakterystyczne ślady w sztuce budownictwa.

W Chinach istnieją na wszystko przepisy. Logika artystycznéj fantazyi przepełniona tysiącznemi formułkami, które wydają kształty będące źwierciadłem nie estetycznych instynktów, ale niezgłębionéj w swéj niedorzeczności teologii chińskiéj i foliałów, zawierających nieskończoność administracyjnych przepisów. Według nich np. cegieł pokrytych szkliwém wolno użyć tylko do budowy świątyń i cesarskich pałaców, białego marmuru do podmurowań monarszych rezydencyi, nigdy jednak do budowy ścian.

Materyał na mury obwodowe dobrany odpowiednio do klasy urzędowéj właściciela posesyi. Dla najniższéj klasy, przeznacza prawo mury sklecone z wapienia i gliny; ściany z przezroczystéj cegły i tynkowane zaprawą wapienną lub z palonéj cegły wieńczone kamiennym gzémsem są oznaką dygnitarskiéj siedziby. Pałace cesarskie okolone murem z cegły, pokryte purpurowym tynkiem, uwieńczone polewaną żółtą lub zieloną dachówką. Kolumny budowli rządowych muszą być koniecznie drewniane.

Główna część budowli, cel jéj właściwy, dach, mający najbardziéj utylitarne przeznaczenie: ochronienia od wpływów atmosferycznych, wbrew wrodzonéj Chińczykom praktyczności i racyonalności, także podlega despotyzmowi tradycyi. Wszystkim znany jest ekscentryczny, wklęsły kształt dachów chińskich, kształt nic nie mający wspólnego ani z praktycznêm, ani z estetycznêm przeznaczeniem téj części budowli. Kontrast pomiędzy racyonalizmem

w konstrukcyi budowli a ekscentrycznością dachu jest uderzający. Z jednéj strony racyonalizm budowy ścian i szkieletu, z drugiéj zaś brak wszelkiéj logiki w ukształtowaniu dachu. W gruncie jednak rzeczy, zasada tak w kształtowaniu całéj budowli, jak i dachu jest jedna. Zarówno bowiem ruchome ściany, jak wklęsłość dachu jest reminiscencyą owego złotego wieku cywilizacyi chińskiéj. Wklęsłość dachu ma wyrażać starożytność strzechy, która pod wpływem czasu zapadła się i w tym stanie zakonserwowana i reprodukowana została w nowo wzniesionych budowlach.

Chińczycy przyozdabiają swe budowle, szczególniéj bramy tryumfalne, belkami w postaci smoków, co należy tłómaczyć pojęciami religijnemi, według których ukazanie się smoka jest przepowiednią szczęśliwych wydarzeń. Pod strzechą więc, takim symbolem zaopatrzoną, musi zakwitnąć szczęście i błogie dostatki.

Strychulec administracyjny niweluje wysokości domów mieszkalnych. Policya budowlana chce, aby zwykłe domy mieszkalne nie przerastały pewnéj wysokości. Ksiądz le Comte, misyonarz francuski, który w przeszłym wieku czas dłuższy przebywał w Chinach, wspomina o domu, który został zrównany z ziemią, a właściciel jego, mandaryn, na grzywny skazany za przekroczenie wyżéj wymienionego przepisu.

Przekroczywszy progi takiéj średnio wziętéj siedziby, wchodzimy na przebiegający wzdłuż całą budowlę kurytarz, po którego obu stronach znajdują się oddzielne apartamenty, składające się: z saloniku, pokoju sypialnego i gabinetu. Przy każdém z tych mieszkań znajduje się oddzielny dziedzińczyk z sadzawką, studnią i sztuczną skałą po środku. Tu i owdzie wyrastają krzewy bambusowe, z których na piedestale wzniesiony, wynurza się wazon z rośliną *lien-hoa* (rodzaj naszych tulipanów).

Komnata, do któréj z dziedzińca wchodzimy, jest salonem, przestrzenią ogrodzoną tylko trzema ścianami, czwarta bowiem, jest tylko matą, z trzciny splecioną, ruchomą, w miarę potrzeby podnoszoną lub opuszczaną zasłoną. Wnętrze tego pokoiku wyklejone różnobarwnemi wzorzystemi obiciami papierowemi, które są iście chińskim wynalazkiem. Zamiast zaś obrazów, pozawieszane na ścianach płachty atłasu, na których wypisane dystychy, zdania moralne, przysłowia i aforyzmy znakomitych filozofów; są to płaty chińskiéj mądrości.

Pomiędzy innemi czytamy:

„Ośm tysięcy lat trzeba, aby zrobić wiosnę.

„Dziewięćdziesiąt tysięcy lat trzeba, aby zrobić milę. (?)

„Para herbaty tworzy obłok, który czaruje.

„Kropelka mała, maleńki wiaterek, porusza na jodle liście (1), (2).

Umeblowanie téj komnaty składają krzesła, taburety i stoły wyrobione z drzewa różanego, hebanu, drzewa pociągniętego różnobarwnym lakierem, którego fabrykacya dotąd jest dla europejczyków tajemnicą. W rogach komnaty ustawione gierydony, podtrzymujące płaskie naczynia, na których stosy cytryn i innych wonnych owoców napełniają powietrze odurzającym zapachem. Z wazonów wyrastają koralowe gałęzie. Globusy zaś szklane, napełnione wodą, w których pluskają się złociste rybki. Na stoliczkach poustawiane maleńkie modele krajobrazów, wytworzone z odłamków skał, mchów, lilii wodnych, które wyrastają z wody, otoczonéj zielonéj barwy kamyczkami.

W zamożniejszych domach, pospolity minerał użyty do tych cacek, do tych modelów fantazyjnych nie istniejących w naturze krajobrazów, zastąpiony kością słoniową, kryształem górskim, bursztynem, drogiemi kamieniami i perłami.

Cena tych cacek dochodzi nieraz do poważnéj sumy tysiąca, taelów (około 6000 fr.). Miarą, według któréj Chińczycy oznaczają cenę tych sprzętów, nie jest artystyczna ale archeologiczna wartość. Im sprzęt starszy, tém w pojęciu Chińczyka doskonalszy. Co stare to już musi być doskonałe — powszechnie przyjęte hasło społeczeństw konserwatywnych.

Skoro noc zapadnie, wszystkie te sprzęty oblewa magiczne światło przedzierające się z po za różnobarwnych latarni papierowych, zwieszających się z pułapu na jedwabnych sznurach. Magiczny widok, jaki ztąd powstaje, wyobrażą sobie łatwo nasze europejskie chinki, które przystrajają swe buduary na wzór salonów pekińskich. Na pierwszém piętrze, w t. zw. *lieu* znajduje się wielka izba przeznaczona dla gości. W miarę potrzeby przestrzeń ta może być podzielona na mniejsze zapomocą parawanów, których każdy dom ma wielkie zapasy.

Chińczyk nie lubi życia towarzyskiego, odosobnia się za pomocą parawanów, których ojczyzną są Chiny. W tak drobnym na pozór szczególe, jakim jest parawan, odźwierciedla się skłonność synów państwa Środkowego do odosobnienia. Widoczne téż one w całym układzie domu, w korytarzu dzielącym go na dwie połowy, w mieszkaniach, każde oddzielnym dziedzińczykiem zaopatrzonych. Taki układ domu widzimy, w inném nowożytném, nieskoń-

(1) Może to odpowiada naszemu „z małéj iskierki wielki pożar bywa".

(2) Chambers. Edifices, str, 18. Paryż 1776.

czenie wyżéj kulturą stojącém społeczeństwie, skłonném jednak do separatyzmu. Anglik zajmuje sam dla siebie dom cały; domy paryskie są istnemi falansteryami.

Dom Chińczyka wznosi się wśród sztucznie utworzonego krajobrazu, którego model widzieliśmy w chińskim salonie.

Kręte, ustawicznie zmieniające kierunek ścieżki, wiodą do wciąż nowych, nieoczekiwanych widoków. Ze sztucznych skał, jakby w powietrzu zawieszonych, gwałtownym biegiem spada szumiąca kaskada. Obok niéj i nad nią wyrastają tu i owdzie nie istniejące w naturze rośliny. Wszystko to rysuje się na niebywałém w naturze tle z najdziwaczniéj zestawionych barw i kształtów.

Umysłowość i ustrój społeczny jest fermentacyą najrozmaitszych kontrastów. Wszędzie jednak widoczne jest usiłowanie przechowania dawnéj, mytycznéj, pomroką wieków zasłoniętéj przeszłości złotego wieku, do którego tęsknota Chińczyka ukoić się nie może. Formułą wszystkich ideałów i aspiracyi Chińczyka — odwieczne: *status-quo*!

* * *

Podążając szlakiem narodów, kierując się w téj wędrówce chronologicznym drogowskazem, przybywamy do kraju ciągnącego się wązkim pasem po obu brzegach rzeki, któréj kraj ten cywilizacyą swą zawdzięcza.

Gdyby nie peryodycznie deszcze podzwrotnikowe, które szukają sobie ujścia do morza, Nil a z nim Egipt-by nie istniał. „Człowiek zjawił się wtedy, kiedy kraj sam sobie mógł wystarczyć, tj. gdy powolne gromadzenie się iłu zmieniło pustynię w urodzajną glebę" (1). Wylew jednak cudotwórczéj rzeki przynosił nie tylko materyalny dobrobyt mieszkańcom nad nią zamieszkałym, ale miał stokroć większe, bo cywilizacyjne znaczenie. Peryodyczne, niemal z matematyczną ścisłością powtarzające się, wylewy regulowały pulsa społeczne, według praw matematycznych, które wszystkie objawy życia duchowego przeniknęły. Szczęśliwa ta kraina, według Diodora Sycylijskiego, jest kolebką rodu ludzkiego. Dopiero w dolinie Nilu, człowiek mając możność przewidywania naprzód czasu i działałania zjawisk przyrody, odpowiednie dla siebie mógł z nich wyciągnąć korzyści. Położenie zaś topograficzne Egiptu, oddzielonego oceanem i pustynią od nieucywilizowanych plemion, dało możność korzystania z darów, które sama przyroda zesłała mieszkańcom.

Jedną z największych osobliwości tego kraju: zupełny brak deszczów, wpłynął bezpośrednio na ukształtowanie się i ustalenie

(1) Mariette, Itinéraire de la Haute Égypte.

w ciągu całych wieków istnienia państwa egipskiego, kształtów architektonicznych. Ogólnym takim kształtem, ustalonym w egipskiéj architekturze, jest piramida pełna lub téż ścięta, co tylko w bezdeszczowym kraju jest możliwe.

Obok téj materyalnéj natury, klimatycznéj przyczyny, pierwsza estetyczna szkoła, jaką jest otaczająca przyroda, działając na reprodukcyjną wyobraźnię Egipcyanina, zostawiła głębokie charakterystyczne ślady w jego pomysłach architektonicznych. Linie krajobrazu, któremi od lat dziecięcych Egipcyanin karmił wyobraźnię swoją, powtórzone są w dziełach architektury egipskiéj. W krajobrazie oko nigdzie nie napotka rozmaitości kształtów, gwałtownych przejść linii, ani kontrastowych widoków, właściwych okolicom górskim. W dolnym Egipcie zieleniejąca płaszczyzna, poprzecinana kanałami, rozciąga się jak daleko wzrokiem sięgnąć można. Z jednéj strony wzrok ginie w morzu Śródziemném, z drugiéj w oceanie pustyni. W średnim zaś Egipcie powolném tempem biegnąca rzeka, ujęta jakby w ramę, dwoma, o jednéj prawie wysokości, łańcuchami płaskowzgórza. Szczególniéj kształt łańcucha arabskiego pod Keneh przypomina mocno kształt ściętéj piramidy, albo kształt ogólny i charakterystyczny budowli egipskich.

Kształt gór, jak wiadomo, będąc rezultatem zrównoważenia się sił z wnętrza skorupy ziemskiéj działających, jest plastycznym wyrazem r ó w n o w a g i dla danéj okolicy. Powstaje więc stąd pytanie, czy obok wpływu estetycznego otaczającego krajobrazu na fantazyą architektów egipskich, przyczyny czysto utylitarne nie skłoniły ich również do nadania budowlom piramidalnego kształtu, jako skutecznego przeciwdziałania trzęsieniom ziemi często się tam powtarzającym. Dowodem, że hypoteza ta nie jest bez podstawy, są t. zw. odwrotne sklepienia, znane i zastosowywane przez Egipcyan już w głębokiéj starożytności. Sklepienie takie, zwrócone wierzchem ku dołowi i umieszczone w fundamentach, ma własność skutecznego przeciwdziałania trzęsieniom ziemi. A więc z jednéj strony zapobiegano powtarzającym się trzęsieniom ziemi t. zw. odwrotnemi arkami, z drugiéj zaś piramidalnym kształtem budowli, do których widok łańcuchów gór pierwotnie wzoru dostarczył.

W każdym jednak razie wpływ krajobrazu na ukształtowanie się budowli egipskich, bynajmniéj nie przeczy drugiéj przyczynie, natury utylitarnéj. Albowiem w szkole przyrody człowiek przechodzi od postrzeżeń, od empiryzmu do ogólnych wniosków; od bezwiednego naśladownictwa tego, co pod zmysły jego podpada, do rozumowanéj działalności. Prawo to ogólne, zarówno stosuje się do historyi rozwoju wiedzy, jak do rozwoju sztuki, a szczególniéj do

jéj architektonicznéj gałęzi. Najprzód więc naśladowano rzeczy widziane, potém przekonano się, że prawo ich powstania odpowiada nie tylko potrzebie fantazyi ale zarazem jest prawem bytu tych rzeczy.

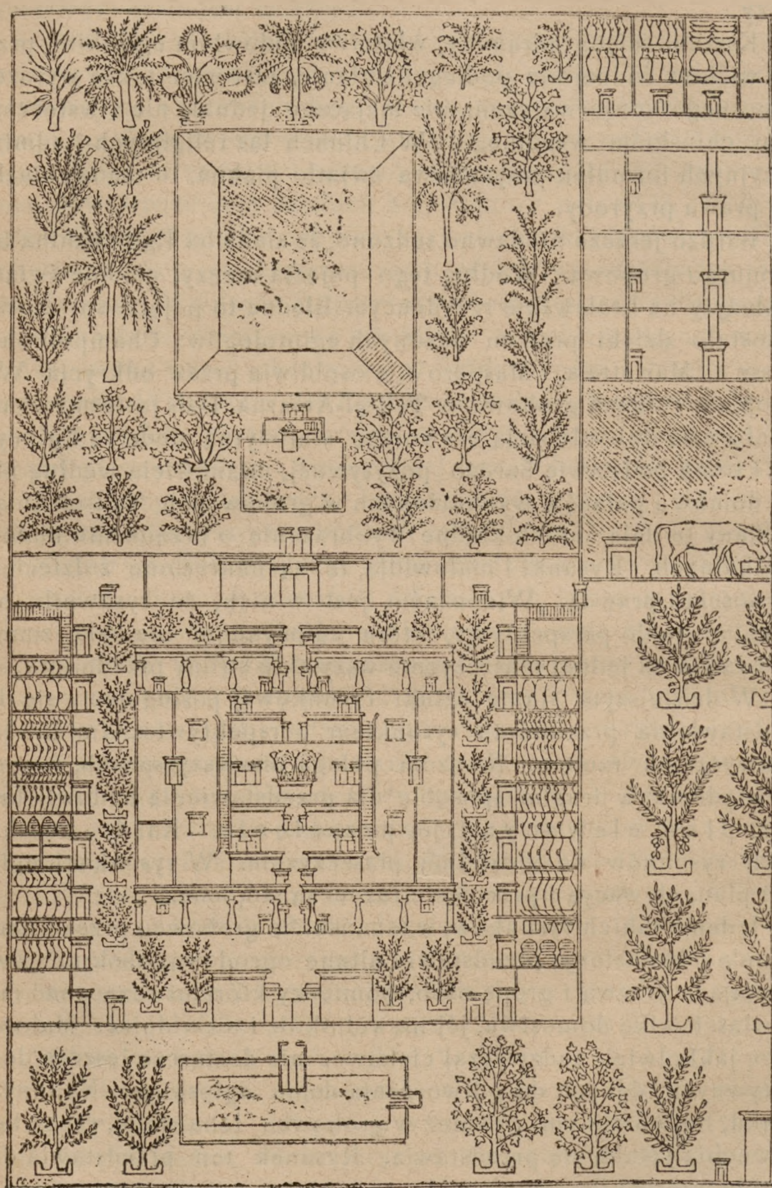
Kształt ściętéj piramidy, właściwy budowlom egipskim, przez ciąg wieków żadnéj nie podlegał zmianie, jest więc także wyrazem społecznego konserwatyzmu, nie mającego jednak nic z wstecznictwem chińskiém wspólnego. W Chinach las religijnych i administracyjnych formułek przyćmiewa światło piękna, tu rządzą niezłomne prawa przyrody.

Bardzo jeszcze niedawno sądzono, że siedziba Egipcyanina była ponura i grobowa. Według tego pojęcia rzeczy, ciemne świątynie służyły na królewskie rezydencye. Błędne to pojęcie sprostowane zostało dzięki pracom uczonych egiptologów: Champollion'a, Priesse'a, Mariette'a, i Maspero'a, a osobliwie przez odkrycia Wilkinson'a w ruinach grobowców Tell-el-Amarna. Dziś jesteśmy w możności z całą dokładnością odtworzyć starożytną siedzibę Egipcyanina i to na podstawie bardzo pozytywnéj, mianowicie według planów domów i pałaców wyobrażonych w grobowcach Tell-el-Amarna. Plany te dają nam dokładne wyobrażenie o urządzeniu budowl mieszkalnych. Rysunki i malowidła te są nakreślone z dziecięcą naiwnością i prawdą. Widoczném jest w nich, że rysownik, nie uciekając się do perspektywy, która egipcyanom nie była znana, przedstawia na jednéj płaszczyznie wszystkie strony przedmiotu.

W dzisiejszym stanie sztuki rysunkowéj posługujemy się dla przedstawienia przedmiotu rysunkiem perspektywicznym, lub téż gemetrycznym rzutem. Na czém polega pierwszy sposób, wszystkim wiadomo; w drugim sposobie dla przedstawienia budowli kreślimy p l a n, e l e w a c y ą i jéj p r z e c i ę c i e. Każdy wszakże z tych rysunków na oddzielnéj płaszczyznie. W rysunkach egipskich plan, elewacya i przecięcie razem są stopione.

Jeden z takich rysunków, w tebańskiém grobowcu przez Champollion'a odnaleziony, przedstawia altanę ogrodową, obok niéj dwa wyrastające drzewa i grupę osób, pomiędzy któremi rozpoznać można właścicielkę domostwa, jéj niewolników i niewolnice. Malowidło to, jakkolwiek nadzwyczaj ciekawe, nie dostarcza jeszcze dość pozytywnych danych do odtworzenia domu egipskiego. Na innym rysunku, odtworzonym również w grobowcu tebańskim, rzecz bez porównania jaśniéj się przedstawia. Rysunek ten przedstawia domy, sady, szeregi drzew, wszystko to jakby uraganem przewrócone. Jestto sposób znany dziś w geometrycznym rysunku, który k ł a d e m nazywamy. Najdokładniejsze jednak wyobrażenie o budo-

wie siedziby, o której mowa, daje nam rysunek nakreślony na ścianach grobowca Tell-el-Amarna (patrz rys. 2).



Rys. 2.

Na pierwszém miejscu widzimy plan budowli, która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, służyć musiała za odwach garnizonowi, strzegącemu wejścia do rezydencyi.

Za tą budowlą znajduje się brama wjazdowa, złożona z dwóch pilonów. Brama ta wiedzie do dziedzińca otoczonego z czterech stron podłużnemi budowlami, mieszczącemi w sobie szereg komnat. W tym dziedzińcu mieści się inny, mniejszy, w którym znajduje się wielka sala przyjęć pod odkrytém niebem. Jestto główna część domu, jak o tém najlepiéj przekonywa ołtarz domowego ogniska w środku ustawiony. Po dwóch bokach téj sali schody, wyobrażone w postaci drabinki, każą się domyślać, że cała ta część po nad poziom była wzniesiona. Po za głównym korpusem znajdują się budynki przeznaczone dla rodziny właściciela pałacu: jest to budowla odpowiadająca haremowi w dzisiejszych rezydencyach władców wschodnich. Wprost z haremu, brama prowadzi do ogrodu, w którym łatwo rozpoznać choćby w naiwnie nakreślonym rysunku, palmy, papyrus, lotos i inne rośliny podzwrotnikowe. Środek sadu zajmuje kwadratowa sadzawka. Po obu stronach głównego korpusu szereg drzwi, rzędami ustawiane naczynia, domyślać się każą, że rysownik chciał przedstawić spiżarnię i t. p. gospodarskie zabudowania.

Ten sam układ widzimy w rezydencyach władców wschodnich i w pałacach cesarzów chińskich. W tych ostatnich liczba dziedzińców, przez które w swych opisach prowadzi nas ksiądz du Halte, misyonarz żyjący w przeszłym wieku, najcierpliwszego turystę do rozpaczy doprowadzić może.

Zbytek właściwy wschodnim rezydencyom roztaczał się w pałacach egipskich. Takie napisy jak np.: „spędzić dzień szczęścia“ (1), które nieraz w egipskich rękopisach powtarzają się, odpowiadają rozkosznym rezydencyom królów egipskich.

Wszędzie portyki rzucają cień, tak pożądany w klimacie podzwrotnikowym (porówn. rys. 2). Odpowiednio do klimatu, otwory świetlne tj. drzwi i okna, zwrócone ku wnętrzu budowli tj. ku dziedzińcowi. Płaskie pokrycia budowli służą za tarasy, na których wśród gwiaździstéj nocy, pod rozpostartą werandą, pan domu snuje złotą nić marzeń.

Jak dziś na wschodzie, tak samo w starożytnym Egipcie, liczba osób, składająca dwór i rodzinę króla, dochodziła do bajecznéj cyfry. Ona już sama daje nam wyobrażenie, jak obszernych budowli trzeba było na pomieszczenie rodziny Ramzesa II, który miał 160 dzieci, pomiędzy któremi 59 synów!

Dziś tylko sułtan albo padyszach bywa obdarzony podobnie liczną rodziną, na obsłużenie któréj potrzeba całéj armii służby.

---

(1) Perret. Hist. de l'art.

Wszystko to wpływa na niezmierną obszerność sułtańskich konaków.

Pałac egipski, podobnie jak wszystkie tego rodzaju budowle na wschodzie, wznoszono bez planu z góry powziętego. Rozszerza się on w miarę wzrostu rodziny i dochodzi do rozmiarów miasta, w którego murach mieści się wszystko co tylko potrzeba do rozkosznego życia, od komnat przyjęć ceremonialnych, haremów, skończywszy na ogrodach, które służyć mają nietylko do pieszéj, lecz do konnéj i powozowéj przejażdżki, bo despota niezawsze chętnie tłumowi swe oblicze ukazuje. Pałac egipski jest stałym, kamiennym karawanserajem.

Szczególniéj w dekoracyi egipskiego pałacu przejawia się charakter estetyczny właściwy ludom wschodnim.

W dziecięcém stadyum cywilizacyi, zmysł kolorytu bierze przewagę nad poczuciem formy. Dekoracya budowli egipskich, to świetna tkanina, która zasłania całą powierzchnię i wnętrze budowli, pozostawiając obnażonemi jéj ramy, jakby z wiązki żerdzi złożone, sznurami i rzemieniami okręcane.

Zamiłowanie w jaskrawości kolorytu budowli egipskich, chaldejskich i greckich, wogóle architektury krajów południowych, naukowo może być wytłumaczone. Im blask słoneczny silniejszy, tém oko silniéj pożąda jaskrawości i rozmaitości barw. Fizyologiczna optyka tę właściwość oka w zupełności stwierdza. Od dawna już zauważano, że w miarę oddalania się od biegunów a zbliżania się do równika, zamiłowanie człowieka do barw jaskrawych wzrasta. Jaskrawość barw siedziby ludzkiéj, sprzętów domowych i stroju rośnie w miarę zbliżania się do równika. Głowa nawet i paznogcie mumii Ka-em nas, syna Ramzesa II, odnalezionéj przez Marietta, były złocone. Wszystko to łatwo wytłómaczyć tém, że delikatne odcienie barw, świateł i cieniów znikają dla oka przyzwyczajonego do jaskrawości blasku słonecznego. Oko olśnione odróżnia tylko tony gwałtowne, ostre i śmiałe, półtony nie istnieją dla południowca. Skąpane w blaskach południowego słońca, przedmioty w tonie neutralnym, wydają się płaskiemi, zaledwie oddzielają się od tła lazurowego, na którém widnieją. Karol Blanc, zauważył podczas swéj podróży do Górnego Egiptu, że jednobarwne cylindryczne kształty minaretów, a nawet kopuł, wydają się płaskiemi, a to wskutek gwałtownych refleksów. Barwy więc jaskrawe, łagodząc te refleksy, przywracają przedmiotom wypukłość, zatartą gwałtownością blasków słonecznych.

Malowidła tak wewnętrzne, jak też i zewnętrzne przedstawiają epizody, odgrywające się w następstwie faktów, sceny z mitologii

i historyi dynastów. Postać człowieka gra wszędzie w tych malowidłach pierwszorzędną rolę. Na sufitach o lazurowéj barwie, rozpostarte są symboliczne sępy. Jedna część tego pokrycia umotywowana i zabarwiona na wzór różnobarwnéj tkaniny (1). Jest to więc znów potwierdzenie genezy pierwotnéj budowli, jest to reminiscencya pierwotnéj z łyka i sitowia sporządzonéj zagrody. Rysunek z grobowca Ti, wiernie odtwarza koszykarską technikę. Czarna, biała, czerwona, żółta, zielona i niebieska barwa, mieszają się w téj rzekoméj tkaninie.

Zwykły dom mieszkalny miał wszystkie właściwości pałacu, na mniejszą zredukowanego skalę. Otoczony murem, zaopatrzonym w zaokrąglone blanki, do jego wnętrza wiedzie brama pilonowa tj. złożona z dwóch ściętych piramid, pomiędzy któremi przejście pozostawiano. Szpalery drzew palmowych, sztuczne sadzawki, lekkiéj budowy kioski, wypełniają powierzchnię dziedzińca, w głębi którego wznosi się budowla z cegły i drzewa. Pokryta dachem, a raczéj tarasem, na którym słupki umieszczone służą do rozpostarcia różnobarwnego namiotu, chroniącego od palących promieni słońca.

Zachowane w grobowcach egipskich malowidła, ruiny miasta przez Wilkinson'a w Tell-el-Amarna odgrzebanego, modele domów i modele mebli w kształcie domów, które można w muzeum Luwru widzieć, dają dokładne pojęcie o urządzeniu i fizyonomii starożytnéj siedziby egipskiéj.

* * *

Szlak narodów prowadzi do kraju, po nad którym rozciąga się szafirowa, niczém niezamąconéj czystości, płachta niebieskiego przestworza. Jakkolwiek deszcze nie często tu padają, jednak burze zrywają się z niezmierną gwałtownością, ale na krótką tylko chwilę.

Eufrat i Tygrys, podobnie jak Nil, peryodycznie wylewając, użyźniają łany Mezopotamii, chwila jednak wylewu nie da się oznaczyć z taką, jak w Egipcie dokładnością. Dolina Eufratu nie jest ujęta w tak jasno i regularnie nakreśloną ramę dwóch łańcuchów górskich, jak dolina Nilu. Skutkiem położenia topograficznego prawy brzeg Eufratu, rozlewając się w bagna, wytwarza nieokreśloną linię nadbrzeżną. Ta nieokreśloność, kontrast ten z geometrycznym, że tak powiem, charakterem nadnilskiego krajobrazu, w Mezopotamii jest jeszcze spotęgowany widokiem niezmierzonéj płaszczyzny, która zdaje się nie mieć początku ni koń-

(1) Np. w grobowcu Fta-Hotep.

ca. Zieleniejące, to roślinne morze wyłania z siebie niezmierne bogactwo żywych ornamentów w postaci różnobarwnych kwiatów. „Kwiaty wszystkich odcieni — mówi Layard — przystrajające łąki, nie są jak w naszych północnych krajach, rozsiane tu i owdzie wśród trawy, ale tworzą bukiety, tak ściśle związane i tak gęste, że cała płaszczyzna podobna do różnobarwnego kobierca“. Nad brzegami rzeki wyrastają smagłe tamaryszki, w stojących wodach nenufary, trzcina, sitowie i cyprys wzajemnie splecione. Ten cudowny, po obu brzegach rzeki ciągnący się, kobierzec widnieje na tle dalszych widnokręgów kraju, jak pustynia smutnego.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach szkoła estetyczna, w któréj ludność chaldeo-asyryjska kształciła poczucie piękna. Podobieństwo i różnice, jakie istnieją w klimacie, produkcyach gruntu i estetycznéj naturze otaczającego krajobrazu, wyjaśnią nam istotę stylu architektury chaldeo-asyryjskiéj. Przedewszystkiém zauważmy, że lubo deszcze nie często padają w Mezapotamii, burze jednak i deszcze zrywają się z nadzwyczajną gwałtownością, gdy tymczasem w Egipcie są one niezwykłemi zjawiskami. Egipt obfitował w najtrwalszy z materyałów budowlanych — granit. Architekci chaldeo-asyryjscy mogli tylko rozporządzać gliną, zdatną na wyrób cegły.

Z tych dwóch przez samę przyrodę wytworzonych warunków: klimatu i rodzaju materyału, wypływa już sposób konstrukcyi, a zatém ogólny kształt budowli. Przy użyciu cegły do budowy, jeżeli materyał ten ma oprzéć się niszczącym wpływom wód deszczowych, piramidalna, o pochyłych zatém ścianach budowla byłaby nieodpowiednią. Woda bowiem łatwiéj zatrzymuje się na pochyłych, niż na pionowych ścianach, ściany więc pionowe budowli, jedynie mogą racyonalnie w klimacie Mezopotamii być zastosowane.

Równoległościan prostokątny jest téż pierwiastkiem składowym kształtów świątyń, pałaców i domów chaldeo-asyryjskich a odpowiednio kombinowany, daje najrozmaitsze waryanty budowli, piramid stopniowanych, których zawsze składowym elementem jest bryła geometryczna powyżéj wymieniona.

Grunt Mezopotamii ubogi w kamień budowlany, dawał, jak już wiemy, w dostatecznéj ilości glinę zdatną do wyrobu cegły, która jednak użyta w wilgotnym klimacie, musiała być zabezpieczona szklaną powłoką. Przez domieszkę zaś do téj polewy części metalicznych z konieczności otrzymano różnobarwną emalię. To jest przyczyna techniczna, czysto utylitarna, która wywołała polichromię budowli chaldeo-asyryjskich. Obok tego jednak, zmysł kolorystyczny, kształcony wśród pól i łanów żywo zabarwionych,

musiał odpowiednie w dziedzinie malarstwa pozostawić piętno. Taż sama świetność kolorytu zachowaną została do dziś w kobiercach wyrabianych w Azyi Mniejszéj, Kurdystanie i Persyi. Osobliwie świetności barwy zielonéj i czerwonéj nie mogą naśladować europejscy fabrykanci. W analizowanych chemicznie cegłach asyryjskich przeważa barwa błękitna i żółta. Pierwszą, według Layarda, daje połączenie szkliwa z tlenkiem miedzi i domieszką ołowiu, mającego własność zwiększania topliwości szkliwa. Żółte zaś szkliwo otrzymuje się z antymonianu ołowiu z domieszką cyny.

Widok niezmierzonéj płaszczyzny mezopotamskiéj pozostawił ślad w reprodukcyjnéj wyobraźni architekta. Pałace władców tego kraju rozciągają się wszersz i wzdłuż, na wzór, jakiego dostarczał krajobraz. Rozwijają się one w kierunku dwóch osi poziomych, kosztem trzeciego wymiaru: wysokości. Pałac asyryjski to szereg dziedzińców otoczonych nizkiemi względnie do ich rozciągłości budowlami i murami, uwieńczonemi blankami i flankowanemi czworobocznemi basztami. Wprawdzie wznoszą się wśród tych dziedzińców stopniowane piramidy, jako jednak zadość czyniące wymaganiom kultu i służące do astrologicznych obserwacyi, nie przeczą ogólnéj teoryi wpływu krajobrazu na twórczość artysty.

Typem siedziby władcy, jest pałac Sargona w Korsabadzie, odgrzebany przez architekta Bottę. Charakterystyczną cechą, wspólną wszystkim tego rodzaju budowlom na wschodzie, jest olbrzymia powierzchnia, na jakiéj pałac Sargona wzniesiono, zajmująca 10 hektarów (60916 metr. □). Na wyniesienie murów tego pałacu trzeba było zużyć 1350524 metr. kub. gliny (1). Podział, urządzenie i przeznaczenie komnat i gmachów téj olbrzymiéj budowli, nawet w najdrobniejszych szczegółach przypomina rezydencye władców Turcyi i Persyi. Szerokiemi na dwie strony rozgałęzionemi schodami, wchodzimy na platformę z okrągło sklepioną bramą, flankowaną dwiema kwadratowemi basztami, unoszonemi jakby, każda, przez dwie pary rzeźbionych olbrzymich byków skrzydlatych o ludzkich brodatych głowach. Brama ta prowadzi do dziedzińca, który w dni świąteczne wyścielany wzorzystemi kobiercami, przemieniał się na wspaniałą pod odkrytém niebem salę przyjęć. Około tego dziedzińca, czy też sali, grupuje się 10 mniejszych dziedzińczyków, otoczonych budowlami. Daléj, wznosi się grupa budowli zewsząd otoczonych grubemi niedostępnemi murami, a pomimo olbrzymiego rozmiaru jaki ta część pałacu zajmuje (8839 metr. □), wiedzie doń w odpowiedniéj kombinacyi korytarzów ukryta furta.

(1) Perrot. Histoire.

Następne drzwi nie są w prostéj linii z poprzedniemi, przez co nawet przy otwartych ścieżach, zamiast szeregu komnat, ślepą ścianę spostrzegamy. Wszystko tu urządzone, aby mieszkańców téj siedziby szczelnie izolować. Łatwo domyśléć się, że to złota klatka, w któréj uwięzione rajskie ptaszki władcy; jest pałacowy harem.

Dziedziniec tego przybytku rozkoszy zdobi wspaniała dekoracya malarska, na powierzchni różnobarwnych glazurowanych cegieł roztoczona. Po bokach drzwi wchodowych stoją posągi i wysokie maszty, pokryte metalem, na szczycie których unoszą się wachlarze z daktylowych liści, ze złoconego bronzu wyrobione. W kierunku przekątni tego kwadratowego dziedzińca, ułożone kamienne chodniki, wiodą do trzech maleńkich komnat. Sargona uszczęśliwiały aż trzy królewskie małżonki.

Drzwi, w środkowéj ścianie dziedzińca umieszczone, wiodą do komnaty a raczéj alkowy długiéj na 2,70 m., szerokiéj na 1 m.; tyle co potrzeba na umieszczenie łoża. Inne znów drzwi prowadzą do apartamentów, pokrytych glazurowém, posianém złocistemi gwiazdami sklepieniem, pod którém na estradach wysłanych miękiemi wezgłowiami, małżonki królewskie, wsłuchane w czarującą muzykę i wpatrzone w pląsy tancerek, toną w rozkoszach kiefu, strzeżone przez eunuchów.

Urządzenie téj części budowli, jak i wszystkich innych rezydencyi korsabadzkiéj, przypominają dzisiejsze pałace władców wschodu. Są tu więc oprócz sal do przyjęć ceremonialnych, harem, lokale dla służby czyli *han* i t. d. W stajniach nawet tego pałacu odnaleziono w dolnéj części muru metalowe obrączki. Według bowiem zwyczaju do dziś na wschodzie przyjętego, konie za nogi nie zaś za głowę powinny być na uwięzi trzymane.

(*D. n.*) *Kazimierz Kleczkowski.*





POGLĄD NA WIELKORUSKĄ GMINĘ WIEJSKĄ.

II. Skąd i jak powstała gmina wielkorosyjska.

W gminie wogóle upatrują pierwotną formę organizacyi agrarnéj; opinia ta ustaliła się do pewnego stopnia w nauce powagą Laveleye'a (1) i Maurera (2), który początek gminy widział w kolektywném wzięciu w posiadanie pewnéj przestrzeni ziemi przez ród. Do powag powyższych uczonych uciekano się zbyt może często w celu wyjaśnienia początków powstania gminy wielkorosyjskiéj, dostrzegając w niéj prastarą formę władania ziemią, niegdyś jakoby istniejącą w całéj Europie, obecnie zatraconą niemal zupełnie wszędzie prawie z wyjątkiem Rosyi.

Istotnie w Rosyi istnieje, jak widzieliśmy, gmina, posiadająca swoje wybitne cechy i charakter, które staraliśmy się naszkicować poprzednio, istnieje bardzo szeroko rozgałęziona. Już sam fakt istnienia dowodzi racyi bytu z téj lub innéj przyczyny; lecz jaki jest początek téj gminy? Pytanie to nie ma żadnego praktycznego znaczenia, ale niepozbawione interesu historycznego, naukowego. Dotychczasowi uczeni rosyjscy, śladem których poszedł Laveleye zapatrywali się na gminę bardzo jednostronnie. Przyjmując za punkt wyjścia poglądy zachodnio-europejskich badaczy (przeważnie Haxthausena) o początku gminy, wysnuwali z tego całe teorye, nie zawsze dość ściśle sformułowane, poparte o tyle badaniami naukowemi, o ile one nadawały się do usprawiedliwienia lub uzasadnienia naprzód sformułowanych zapatrywań na gminę, w któréj wszelkiemi sposobami szukano najdoskonalszéj formy władania ziemią, mającéj posłużyć w przyszłości do reformy agrarnéj. Dopiero

(1) De la propriété et ses formes primitives. Korzystam z polskiego przekładu z 4-o wydania. — (2) Geschichte der Dorfgemeinde.

ściślejsze badania źródeł dziejowych i polemika naukowa wyjaśniły kwestyą do pewnego stopnia, a materyały zebrane, dotyczące ekonomicznéj organizacyi gminy, pozwoliły wyrobić na nią poglądy bardziéj jasne, a nawet pozbawione zupełnie mgły idealnéj, jako otoczyli ją Sokołowskij, Postnikow i wielu innych.

Z tego względu dzieło Gołowina ma niezaprzeczoną wartość naukową, bo chociaż jak każda praca ludzka, nie jest wolne od usterek, wprowadza kwestyą na nowe tory badań. Istniejącą gminę przedstawia on bez fantastycznych obsłonek, a początku jéj szuka w dokumentach i źródłach historycznych nie zaś w problematycznych wnioskach, opartych na nie zawsze uzasadnioném rozumowaniu.

W źródłach historycznych rosyjskich, dotyczących władania ziemią i agrarnych stosunków, spotykamy ciągle wyrazy *sieło*, *dierewnia*, *wołost'* itp., dziś mające zupełnie inne znaczenie niż miały ongi. Pomimo to zdarza się aż nazbyt często, że badacze nowożytni nadają im znaczenie d z i s i e j s z e, wskutek czego powstaje nieraz chaos pojęć nie do rozplątania. Z jednego wyrazu, z jednéj nazwy pewnéj instytucyi starano się odszukać istnienia faktu lub instytucyi w pojęciu dzisiejszém; stąd téż pewna epoka czy chwila przeszłości oświetla się zupełnie dowolnie, przybiera zupełnie odrębne rysy charakterystyczne, różne od rzeczywiście istniejących w owe czasy. Przejdźmy do szczegółów.

Weźmy wyraz w i e ś (*dierewnia*). Dziś jest to pewna liczba domów, przeważnie włościańskich, zbudowanych na pewnéj przestrzeni; jedném słowem wyobraża ona pewną jednostkę administracyjną. W XII do XVI w. pod tą nazwą rozumiano przysiołek (*posiołok*), składający się z kilku domów, do których okoliczne ziemie przylegały. Właścicielem osady mógł być człowiek do każdéj pozycyi społecznéj należący,—a więc *bojaryn*, swobodny rolnik lub nawet mały właściciel, siedzący na własnéj ziemi (*czernososznyj krest'janin*) (1).

Kilka takich przysiołków zgruppowanych koło cerkwi otrzymywało nazwę s i e d l i s k a (*sieło*) a niekiedy w ł o ś c i (*wołosti*). Tak się działo na północy przynajmniéj, w ogóle w wielkim księstwie Moskiewskiém. Przez „*wołost'*“ rozumiano pewną jednostkę terytoryalną różną od „*pogostu*“ (parafii), reprezentującą większe lub mniejsze centrum administracyjne, w którém skupiały się różne sprawy i interesy. W rozmaitych epokach i okolicach *wołost'* mie-

---

(1) Pod wyrazem *czernososznyj* Gołowin rozumie rolników, osiadłych na własnéj ziemi, którzy późniéj weszli do kategoryi włościan państwowych (str. 85).

wała nieco odmienne znaczenie. Na północy, śród bardzo nielicznéj ludności, przeważnie włościańskiéj, do któréj należała naturalnie ziemia, *wołostią* nazywano grupę osad, przysiołków (*derewień*) w sąsiedztwie leżących. W południowych powiatach (*piatiny*) krainy Nowogrodzkiéj przez *wołosť* rozumiano zarówno włościańskie jak i bojarskie siedliska. Wielkość, obszar zajęty przez *wołosť* zależał od gęstości zaludnienia: im ludność była liczniejsza tém przestrzeń zajmowana przez *wołost* bywała mniejszą. Bliżéj ku Moskwie *wołost* była większą, a niekiedy, jak świadczą księgi popisowe, obejmowała 700—800 przysiołków.

W XIV i XV wieku *wołosti* w. k. Moskiewskiego nie posiadały jeszcze charakteru mniéj więcéj autonomicznych jednostek włościańskich; w skład ich terytoryalny wchodziły ziemie bojarskie, klasztorne i włościańskie, a rządzili niemi nie urzędnicy wybieralni, lecz mianowani z ramienia wielkiego księcia, bojarów lub klasztorów, stosownie do tego, czy *wołosť* należała do księcia, bojara lub monasteru. W *Sudiebniku* (1) Iwana III rządca wołosti (*wołostiel*) i namiestnik uważani są jednakowo. Obaj oni byli urzędnikami, a tém się tylko różnili od siebie, że pierwszy zarządzał gminą wiejską (*wołosť*) a drugi gminą miejską (*gorosdkaja ili posadskaja obszczina*). Włościański charakter *wołosť* przybrała dopiero od czasów Iwana Groźnego, kiedy poraz pierwszy włościanie pańszczyzniani i wolni, którzy późniéj należeli wyłącznie do kategoryi włościan państwowych, osiedliwszy się na ziemiach bojarskich, książęcych lub monasterskich, utworzyli odrębną warstwę społeczną, posiadającą swój samorząd i sąd.

Do Iwana IV nazwisko *wołosti* nadawaném było nie tylko pewnéj zorganizowanéj grupie włościan, ale każdemu zaludnionemu okręgowi terytoryalnemu. Innéj organizacyi, w któréj-by się skupiało owczesne życie włościan nie było wcale. Mówiąc inaczéj, dawna *wołosť* odpowiadała zupełnie prawie temu pojęciu, które za naszych czasów przystosowano do gminy. W gramotach wielkich książąt Moskiewskich, w umowach, wreszcie w ustawach (*Sudiebnik*) zawsze ile razy jest mowa o wspólnym interesie włościan, zasiedlających pewien okręg, jest mowa jednocześnie o *wołosti*, jako punkcie ześrodkowującym te interesy. W najstarożytniejszym jednak pomniku prawodawstwa, *Ruskiéj Prawdzie*, o wołosti nie ma wcale wzmianki, jako téż o gminie; natomiast używa się wyraz „*wierw*'" (w dosłowném teraźniejszém znaczeniu p o w r ó z = *wierowka*).

---

(1) Kodeks prawny.

Wprawdzie Czyczerin (1) utrzymywał, że przed przyjściem Warego-Russów miała istnieć w Rossyi gmina patryarchalna, rodowa, a dopiero po dokonaniu zdobyczy Rusi przez Ruryka i Olega i rozdaniu ziemi „drużynie" znikła i odrodziła się nanowo za czasów Piotra Wielkiego. Jest to hypoteza, niezbyt nawet prawdopodobna, przedewszystkiém z tego względu, że w najbliższych pomnikach historycznych tego czasu nie znajdujemy nawet wyrazu „*obszczina*". Nie zapisał go ani Nestor, który nie tylko znał swoje stosunki znakomicie, ale opowiadania niektóre zapisywał wprost z ust żywych, niepodobna więc prawie, ażeby nie wspomniał o tém tak ważnem zdarzeniu jak usiłowanie zastąpienia jednéj formy władania przez drugą. Lud wiejski, przywiązany do pewnych form własności, nie pozbywa się ich ani łatwo ani prędko, a często upornie walczy o nie. Niszczenie więc patryarchalnéj gminy i rozdawanie jéj ziemi drużynie nie mogłoby przejść w dziejach spokojnie. Nie wspomina o „obszczinie" ani słówna *Russka prawda*, zajmująca się bardzo szczegółowo stosunkami agrarnemi Rusi. Przedstawia się mi następujący dyllemat do rozwiązania: albo gmina, w znaczeniu teraźniejszém, w dawnéj Rusi nie istniała wcale, albo istniała na północy pod formą identycznéj z nią *wołosti* lub też żadnego gwałtu ze strony Warego-Rusów nie było. Gminę—jeżeli istniała — pozostawiono w spokoju, a „drużynie" rozdawano ziemie puste, jak to się działo w Polsce już za naszych historycznych czasów. W takim razie milczenie *Ruskiéj prawdy* i *Nestora* da się usprawiedliwić: ponieważ w ustroju gminy—mniejsza oto jak ją nazwiemy—nie zaszło żadnéj zmiany, między rządem gminy a rządem wielkich książąt nie było żadnych nieporozumień, kronikarze nie mieli powodu pisania o niéj.

O tém, jakie formy władania istniały na Rusi przed przyjściem Waregów, nic prawie nie wiadomo. Nestor zapisał wprawdzie: „żyli każdy ze swoim rodem i na swoich miejscach, władając każdy rodem swoim"—a na podstawie téj krótkiéj wzmianki osnuto całą teoryą o istnieniu na Rusi formy rodowego władania: jest to teorya prawdopodobna, nie więcéj. Teoryi téj hołdują także dwaj badacze staro-rosyjskiéj gminy, Czyczerin i Bielajew, z tą tylko różnicą, że pierwszy utrzymuje jakoby najście Waregów zniszczyło resztki rodowego bytu, a drugi, że gmina rodowa przekształciła się z czasem w teraźniejszą gminę wiejską. Trzeci badacz gminy—Sokołowskij (2), szukający jéj bądź co bądź na północy, utrzymuje, że władanie ziemią w Nowogrodzkim kraju rozpoczęło się od kollektywnego,

(1) Oczerki iz istorii russkawo prawa.
(2) Oczerk istorii sielskoj obszcziny na Siewierie Rossii.

gdzie posiadaczką ziemi zjawia się rodzina. Istnienia powyższéj formy dowodzi jednak nie faktami i dokumentami, bo takowe jeżeli są, to nieopracowane krytycznie, ale, jak się zbyt często zdarza, powagą innych autorów; otóż i Sokołowskij zasłania się płaszczem Laveleye'a, Maurera i in.

Domysły powyższe, nie oparte dość mocno, skierowane są do tego, ażeby w początkach historycznego życia Rusi znaleść wspólne władanie ziemią w jakiejbądź formie—rodzinnéj lub rodowéj. Cały wywód, niby historyczny, autora opiera się na wyrazie ród, użytym przez latopisca, a więc na znaczeniu wyrazu bardzo chwiejném, bo ród może tak dobrze oznaczać rodzinę, związaną pewną wspólnością krwi i interesów, która dziś jeszcze do pewnego stopnia włada całością gospodarstwa, jak ród starogermański, instytucyą napół wojskową, w któréj patryarchalny naczelnik bierze władzę prawem spadku i sprawuje ją nad całym rodem. O istnieniu na Rusi, a późniéj w Rosyi takich rodów i naczelników ani w podaniach ani w dokumentach historycznych śladu nie pozostało. Przynajmniéj w XI w. t. j. jak daleko sięga najstarożytniejszy pomnik jurydyczny, *Russka prawda*, rodowéj organizacyi już nie było, a ród oznaczał rodzinę. Widać to z pierwszego artykułu kodeksu, w którym są wyliczeni krewni, mający prawa do krwawéj zemsty za śmierć zabitego członka rodziny: prawo to na braciach się kończy. Synowie Jarosława i tę formę krwawéj rodowéj zemsty zamienili na zapłatę główszczyzny (*wira*), którą miała płacić *wierw* pod wspólną odpowiedzialnością. Czém była owa *wierw*'—obaczymy niżéj.

Szukanie początku gminy w rodowéj organizacyi—jest echem teoryi Maurera i Laveley'a twierdzących, że aż do wieków średnich wszystkie narody szczepu germańskiego trzymały się formy wspólnego władania ziemią. Laveleye utrzymuje, że tam gdzie ziemi jest podostatkiem, a więc nie ma ona żadnéj wartości, rolnicy chętnie uprawną rolę mieniają na nowinę. Jest to teorya rolniczo-ekonomiczna zastosowana bardzo śmiało ale nieprawdziwie, bo rola od dotknięcia się do niéj pierwszego narzędzia powiększa wartość i ten, co w nią pracę włożył, już ją uważa za swą własność. Laweleye w tym wypadku widocznie identyfikuje władanie pospólne z gospodarstwem odłogowem lub wypalającém, w których porzucanie wyczerpanéj lub zużytkowanéj roli dla nowin miało rzeczywiście miejsce, i stosuje się jeszcze obecnie w pewnych mniéj lub więcéj określonych odstępach czasu. Gdzie zaś ceną ziemi jest praca w nią włożona, tam, nawet przy obfitości ornego gruntu, nie może być wspólnego władania.

Własność wspólna nie mogła więc powstać kiedy ziemi było za-wiele, lecz odwrotnie—kiedy ilość jéj poczęła się już zmniejszać, a ludność powiększać. Wtedy ziemia, nienależąca dawniéj do nikogo—*res nullius*—jak pastwiska, łąki, lasy, stykać się poczyna granicami z sąsiedniemi siedzibami ludzkiemi i zjawia się potrzeba rozgraniczenia się. Wtenczas ziemia wolna, niczyja, staje się wspólną tj. sfera używalności gminy określa się ściśle. Tak według przyrodzonych praw ekonomicznych mogła powstać pod formą gminy-zjednoczenia się osiadłéj ludności—pierwotna zawięź państwowa w krajach, gdzie pasterstwo przeszło w rolnictwo. Z łączeniem się gmin w ogniska administracyjne powstają wspólne potrzeby państwowe—stąd podatki i wzajemna poręka w regularném składaniu ich, właściwe nie tylko gminie wielkorosyjskiéj, ale każdemu organicznemu zaczątkowi państwa. Następstwa wspólnéj odpowiedzialności wszędzie były jednakowe: pociągały za sobą pewną wspólność majątkową. Gdzie prawa jednostki i jéj pracę indywidualną poczęto wcześniéj szanować, gdzie sprężystość administracyjna lub lepsze warunki wcześniéj zatarły wspólną odpowiedzialność, tam przejście do zupełnéj własności indywidualnéj odbyło się prędzéj, jak np. w Niemczech; w Rossyi działo się odwrotnie, tu, jak obaczymy, tworzono sztuczną gminę w celach czysto fiskalnych i taka gmina przetrwała do dziś z temi samemi cechami.

Ruskim publicystom i historykom dawna Ruś przedstawia się jako ekonomiczny raj z nieco chaotyczną i nie dość ściśle określoną gminą-wspólnotą; jako *tabula rasa*, po któréj ludzie, spacerując, jak mrówki, wybierają ulubione miejsce i zakładają wspólnotę taką, jaka zrodziła się w pojęciu księcia Wasilczikowa lub Sokołowskiego, nie troszcząc się wcale oto, że ich idealna gmina jest całością ekonomiczną na zasadach fiskalnych opartą, zamkniętą w sobie, o pewnych stałych formach; jednostki zaś ekonomiczne nie kształtują się od razu, lecz powoli przystosowując się do warunków orograficznych, geograficznych, ekonomicznych, administracyjnych i t. p.

Nie ulega wątpliwości, że oprócz gmin na wspólności opartych, powstałych na zasadzie ekonomicznéj ewolucyi, naszkicowanéj nieco wyżéj, już ku końcowi X w. na Rusi Nowogrodzkiéj istniała własność indywidualna i klasy społeczne. Nestor mówi, że daninę pobierano „*ot dyma i rała*“ tj. od osady i od sochy. Charakter tego podatku zachował się w Polsce aż do ostatnich prawie czasów jako „podymne i poradlne“. Ten sam latopisiec, mówiąc o poselstwie Drewlan do Olgi pisze: „i posłasza Drewlanie *łuszczii muži*, iże *deržachu Derewskuju ziemlu*“. Można się w tém dopatrzeć śladów

władania indywidualnego, ale za to niepodobna doszukać się władania wspólnego.

Russka prawda zajmuje się regulowaniem spadków na korzyść rozmaitych klas owoczesnego społeczeństwa. Gdyby gmina wspólna istniała, *Russka prawda* nie miałaby potrzeby mówić o spadkach, gdyż w takim razie regulowałyby się one sądem gminnym. Natomiast, i latopisiec i *R. pr.* używa ciągle wyrazu *dwor* (sadyba), z czego możemy wnioskować o istnieniu własności indywidualnéj (*podwornoje władienije*) mniéj lub więcéj zupełnéj. Większość ziemi należała już wtedy do bojarów i kniazia, jednem słowem, istniała pewna forma, dziś nie dająca się ściśle określić, nawet własności wielkiéj; pozwala nam wnioskować o tém z istnienia urzędu *tiuna* (starosty, sędziego) nie tylko wiejskiego (*sielskij*) ale kniażego, bojarskiego a nawet ogniszczańskiego i ratajnego, a więc czegoś podobnego do odrębnego sądu dla każdéj warstwy posiadaczy ziemi. Może nawet *Russka prawda* stopniowała je według pojęć owoczesnych, bo za zabójstwo tiuna kniażego i ogniszczańskiego opłacano główszczyzny 80 grzywien, a sielskiego i ratajnego tylko 12 grzywien.

Zresztą, najlepszym może dowodem, że na Rusi przeważała forma indywidualnego władania, świadczą ustępy *Russkiej prawdy*, według których płacono grzywny za rozoranie miedzy, za niszczenie znaków rozgraniczających (np. na dębach), wogóle za usuwanie miedz bartnych, polowych (*rolejnych*) i sadybnych (*dwornych*). Istnienia własności indywidualnéj, jako powszechnéj formy władania, możnaby jeszcze dowieść krytycznem rozpatrzeniem rozmaitych klass i warstw społecznych, gdyby to nie powiększało nadmiernie naszego referatu.

Mówiąc o gminie, na wspólności opartéj, mamy ciągle na uwadze Ruś północną, tj. taką, która do połowy XII w. skupiała się koło Nowogrodu, a potém W. Księstwa Moskiewskiego; południową Ruś wykluczamy zupełnie z rozprawy, gdyż ustalenie się tam własności indywidualnéj nie podlega żadnéj wątpliwości.

Do rozjaśnienia kwestyi powstania gminy wielkorosyjskiéj w takiéj formie, jaką dzisiaj widzimy i jaką staraliśmy się w poprzednim artykule scharakteryzować, przyczynia się wielce bardzo ciekawe studyum pani Jefimienko (1), charakteryzującéj formę władania ziemią włościan Oboniezskiéj piatyny (gub. Archangielska i Ołonecka). Jest to studyum tém ciekawsze, że przedstawia kraj położony nad Dźwiną północną tj. właśnie tę część państwa, w któréj

---

(1) Izsliedowanija narodnoj żizni; artykul: Krestjanskoje ziemlewladienije na krajniem slewierie.

według ks. Wasilczykowa i Sokołowskiego, miała się wrzekomo swobodnie rozwijać gmina wiejska, około Moskwy tamowana jakoby w rozwoju przez władzę książęcą i wielką własność (*pomieszcziki*).

Dokumenty, znalezione przez panią Jefimienko u włościan powiatów Chołmogorskiego i Archangelskiego, jako też w archiwach miejscowych klasztorów, cerkwi i urzędów, pozwoliły jéj określić formę i charakter władania ziemią na północy, już począwszy od XV w.. Kraj nad Dźwiną zasiedlił się wychodźcami z Nowogrodu, którzy zakolonizowali wyłącznie prawie brzegi morza i brzegi wielkich rzek, pierwsze—dla rybołowstwa, drugie dla rolnictwa. Wązkie nadbrzeżne pasy ziemi, przydatne do kultury rolnéj przeszkadzały rozwojowi rolnictwa, gdyż rolnik z wielkim wysiłkiem zdołał karczować lasy i zdobyć trochę ziemi. Las jak był, tak i pozostał niczyim; zajęcie w posiadanie kawałka lasu i wykarczowanie służyło za dowód własności, a dokumenty urzędowe dotyczyły tylko ziemi ornéj i łąk. Od najdawniejszych czasów widać tu dwa typy władania ziemią: ludność osiadłą stale na roli i trudniącą się gospodarstwém zbożowem i ludność przemysłową, osiadłą w lasach dla polowania i z konieczności zajętą zdobywaniem ornego pola. Jednocześnie z własnością włościańską występuje większa, bojarska,—bojarowie kolonizują brzegi morskie dla rybołówstwa i rolnictwa i gospodarują bądź sami, bądź prawa i ziemie wydzierżawiają. Tak samo postępuje własność monasterska.

Osadnicy zasiedlają kraj regularnie. Już w XIV w. znajdujemy tam typ osady i gospodarstwa podobny do południowo-słowiańskiéj *zadrugi*: jest to wielka rodzina, osiadła zupełnie samodzielnie od innych, zamieszkująca jeden lub kilka *dworów* i władająca pewnym kawałem ziemi. Owo wspólno-rodzinne władanie nosiło nazwę ogniska (*pieczyszcze*, *ogniszcze*). Taką była forma władania ziemią na Północy i taka pozostała: włościanie Archangielskiéj gub. mieszkają osadami, z kilku dworów składającemi się, oddalonemi o wiorstę lub więcéj od siebie i tworzą obecnie gminę (*obszczestwo*) jak niegdyś tworzyli *wołosť*. Z czasem owa gmino-rodzina rozrastając się, drobiła ziemię (pieczyszcze, ogniszcze), dzieląc ją między członków stosownie do stopnia pokrewieństwa. Że działo się tak w rzeczywistości, świadczą najlepiéj księgi wiejskie, w których zapisywano uposażenia. Prawo do tych cząstek, uposażeń, było można powiedzieć nominalném, określało pewną ilość przypadającéj ziemi, faktycznie zaś ognisko zostawało niepodzielném, posiadacz zaś otrzymywał w każdéj ręce odpowiedni pas. Czynność nazywano wydzielaniem uposażenia (*wierwlenije*), księgi zaś nosiły nazwę ksiąg uposażeń (*wieriownyja knigi*).

W takiéj więc osadzie tkwiło jądro późniejszéj gminy, chociaż posiadała ona cechy, wyróżniające ją od gminy: 1-o mieszkańcy jéj złączeni byli jednością krwi, 2-o składały się z kilku domów, gospodarstw (*dwor*) i wreszcie 3-o każdy posiadacz miał prawo swoję nominalną cząstkę zastawić lub nawet sprzedać.

Prawo sprzedaży pociągnęło za sobą wciskanie się do gminy północnéj obcych przybyszów, co z czasem wywołało rozczłonkowanie gmino-rodziny, wytwarzarzanie się własności indywidualnéj pod formą osad i tworzenie się wybitnych nierówności ekonomicznych, tj. własności większéj, mniejszej i nareszcie wyzucie się z ziemi.

Taki jest wykład faktyczny pani Jefimienko. Mimo woli wypada zapytać: skądże znowu z formy władania indywidualnego, stwierdzonego dokumentami, powstała forma nowa, oraz odmienna — dzisiejszéj gminy? Żadne ekonomicznego, a tembardziéj społecznego charakteru przyczyny nie działały tu wcale — jedynie tylko przyczyny fiskalne. Rząd Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, pragnąc ułatwić sobie pobór podatków i wedle możności zrównoważyć je, a napotkawszy trudność w nadmiernéj rozciągłości krajów podbitych (okręg Dźwiny należał niegdyś do rzeczypospolitéj Nowogrodzkiéj), przy małém ich zaludnieniu, ściągał podatek nie z każdéj osady (*dierewnia*) osobno, ale z okręgu pewnego (*wołosti*) i w ten sposób *wołost'*, stawszy się centrem fiskalnym i administracyjnym, będąc niejako odpowiedzialną wobec rządu, już przez to samo jednała sobie wpływ na włościan, z czasem poczęła się organizować tak, aby łatwiéj obowiązkom swoim względem państwa podołać mogła. W ten sposób miała niejako prawo wtrącać się coraz bardziéj w sprawy włościan, dotyczące władania ziemią, biorąc sobie za punkt wychodni podatek i regularną jego opłatę.

Cios indywidualnéj własności w okręgu Dźwiny Północnéj, zadany został dopiéro w połowie XVIII w. przez tak zwane instrukcye graniczne (*mieżywyje instrukcii*) z lat 1754 i 1761. Po zdobyciu Nowogrodu, wszystkie ziemie okręgu Dźwiny, z wyjątkiem należących do klasztorów, uznane zostały za rządowe. W ten sposób osady włościańskie, będące we władaniu indywidualném, przestały należéć do dawnych właścicieli, a stały się własnością państwa. Takie upaństwowienie ziemi dopiéro uregulowało się ostatecznie w r. 1830, kiedy wzbroniono włościanom sprzedawać ziemię i nakazano uskutecznić działy według ilości „dusz". Pomimo oporu, porządek ten wprowadzono i forma wspólnego władania, istniejąca w dzisiejszéj gminie, ustaliła się powoli. Więc gminę stworzył sam rząd za pośrednictwem swego ustawodawstwa.

Teraz należałoby rozwiązać pytanie, o ile streszczone tu fakty, dotyczące kształtowania się własności ziemskiéj na północy, dadzą się rozszerzyć na inne części państwa rosyjskiego? Jedni (jak Bielajew) okręg Dźwiny północnéj uważali za kraj, w którym władanie ziemią nosiło charakter wyjątkowości, drudzy, a między niemi książę Wasilczyków dostrzegł tam zupełny rozwój samorodnéj gminy. Było to dowodem, że pierwszy z nich znał gruntownie źródła dziejowe, drugi— bardzo powierzchownie. Wogóle zaś posiadając tyle materyału co do krainy naddźwińskiéj, można utrzymywać, iż forma władania ziemią na północy, może być uważana, jak zobaczymy, za typową dla reszty Rosyi, z wyjątkiem naturalnie tych jéj części, gdzie istniała już dawniéj forma władania indywidualna.

Wobec tego upadają wszelkie domysły o istnieniu na północy gminy rodowéj, gdzie była raczéj, jak widzieliśmy, gmino-rodzina, i nie ma żadnego znaczenia twierdzenie p. Sokołowskiego, jakoby ludność rolnicza na północy tworzyła rodzaj wspólnoty, stowarzyszenia, kolonizowała się wsiami — nie w znaczeniu osady (*dierewnia*), którą staraliśmy się wyjaśnić, — ale w znaczeniu nowoczesném. Miało to dowodzić skłonności kolonistów rosyjskich do życia wspólnego (*obszczinnoj żizni*). Autor ten jednak jest w sprzeczności sam z sobą, bo przytacza źródło historyczne, świadczące o rozkolonizowaniu się „dworami“ (*podwornoje sielenije*), a nawet utrzymuje, że jednostką w owe czasy nie było „ciągło“ lub „dusza“ ale „dwór“. Jakże to pogodzić z istnieniem gminy o wspólném władaniu ziemią? Oczywiście, taka idealna gmina nie istniała. Wprawdzie w wieku XVI obok kilkodworowych osad były i wsie ludne, liczące 20—40—60 i więcéj chat, ale takich wsi według świadectwa ksiąg ziemskich (*piscewyje knigi*) było niewiele, a powtóre, istnienie ich nie dowodziło jeszcze wcale istnienia gmin i spólnego władania. Przeciwnie — Czyczerin (1) szeregiem dokumentów dowiódł, że wsie owoczesne przechodziły darowizną do monasterów, zmieniały właściciela drogą sprzedaży, wydzierżawiały się włościanom, od włościan przechodziły do innych właścicieli, bojarów lub monasterów. Wsie należały nietylko do księcia, bojarów, monastyrów, ale i do włościan. Tak samo jak całość przechodziły do innych właścicieli i części. Włościanie osiadali na nich bez żadnych przeszkód lub téż odstępowali na pewien przeciąg czasu innym włościanom. Taka cząstka ziemi nazywała się losem (*żerebjem*), pasem (*polosa*) lub niekiedy wielkość jéj ograniczała się nazwą: ćwierć pługa lub socha, *obża*, pół obży i t. d. (2)

(1) Opyty po Istorii ruskawo prawa. — (2) *Obża* — jeżeli jeden jednym koniem orze, jeżeli jeden trzema końmi—nazywało się to *socha*.

Było to więc prawie takie samo ognisko (*pieczyszcze*), z jakiém zapoznaliśmy się na północy. Trudno wspólne władanie upatrywać tam, gdzie większość osad składa się z jednéj, dwóch lub kilku chat, a takiemi właśnie była większość wsi Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Źródła, przytoczone przez Czyczeryna, nie pozwalają wątpić, że do połowy prawie XVII w. w W. Ks. Moskiewskiém forma władania ziemią była indywidualną, a nie widać z nich wcale, ażeby ilość posiadanéj ziemi zależna była od ilości „dusz", jak dziś; przeciwnie, widzimy podział włościan na zupełnych i niezupełnych gospodarzy (ciągłych i półciągłych), podział, jaki istniał w całych Niemczech średniowiecznych i przechował się dotychczas w południowo-zachodnich prowincyach Cesarstwa pod nazwą „konnych i pieszych dworów".

Wprawdzie formy władania u włościan zależą także od tego, czém się włada. Podworne władanie ziemią orną i łąkami godzi się w zupełności ze wspólném władaniem wygonów, lasów i pustek; dowody na to nietylko znajdujemy wszędzie u nas, ale nawet na zachodzie Europy. Wspólném zaś władanie tylko wtedy być może, jeżeli do gminy, do gromady, należą ziemie orne i łąki, a oprócz tego podlegają nowym działom w pewnych odstępach czasu. Kilka zaś wsi mogło wspólnie władać lasem, stepem lub pustkami, dzielić się sianem lub chrustem, a mimo to łąkami i ziemią orną władać na prawie własności indywidualnéj.

Bieg wypadków, kształtujących pewne formy władania, a w danym razie gminę, skupiał się w ekonomicznych przyczynach, w interesie poprostu, najprzód państwa, a potém jego członków, lecz nie kierował się żadnemi idealnemi celami społecznemi, i myli się p. Sokołowskij, przypuszczając, że wrzekome ideały ocalały, niby jaka świętość i niepokalane materyalizmem naszego wieku, przechowały się także, jako rozsadnik na przyszłość, u k o z a k ó w u r a l s k i c h pod formą gminy kolektywnéj. Już nie mówię o fałszywym punkcie wyjścia autora, lecz widocznie miesza on dwa pojęcia jurydyczne: gminę wiejską, tj. władanie pospólne, z władaniem wojskowém kozaków. Państwo odstąpiło ziemię kozakom uralskim, z warunkiem, ażeby oprócz ich potomków nikt inny tą ziemią nie władał. Kolektywne władanie na podobnéj podstawie nie usuwa wcale prawa władania dożywotniego. Coś podobnego działo się nietylko przy kolonizowaniu przy-uralskiego kraju, ale Noworosyi (gub. Chersońska) i Charkowskiéj gub. (*Słobocka Ukraina*). Władanie więc pospólne — temat, na który fantazyuje Sokołowskij — jest, obok innych przyczyn, następstwem także obfitości ziemi.

Według mniemania Sokołowskiego, gmina (*wołost'*), poczęła się rozkładać pod wpływem państwowego ustroju księstwa Moskiewskiego w XV w., jakotéż rozdawania ziemi klasztorom i prywatnym osobom, w prastaréj zaś formie przechowała się na północy i wschodzie, dokąd jakoby nie sięgała władza państwowa. Już z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, można łatwo wnosić, że działo się prawie odwrotnie: pochód odbywał się od indywidualnéj własności do pospólnego władania. Co się działo przed przyjściem Waregów, o tém nie wiemy, ale wkrótce po przyjściu, widzimy już istnienie własności indywidualnéj. Przynajmniéj *Russka prawda* nic o gminie nie mówi, a wszystko świadczy na korzyść własności indywidualnéj. Wprawdzie możnaby wyraz *wierw* utożsamić z gminą (*wołost'*), témbardziéj, że w obrębie prastaréj *wierwi* istniała wspólna odpowiedzialność, a etymologiczne znaczenie wyrazu i czynność stąd pochodząca (*wierwlenije*), oznaczająca pomiar gruntów, była podobna do późniejszych działów, zaś w ogóle *wierw* identyfikowała się z gminą. Tekst jednak *Russkiéj prawdy* przeczy temu. *Wira*, czyli główszczyzna, naznaczała się za śmierć jednego z członków gminy, prawdopodobnie dotykać tylko musiała rodzinę zabójcy. Wniosek taki ztąd da się wyprowadzić, że główszczyzna ustanowiona została przez synów Jarosława, po skasowaniu krwawéj zemsty, a ponieważ prawo do zemsty posiadali najbliżsi krewni, nie byłoby więc powodu do rozciągania tego prawa na całą gminę. Możnaby więc przypuścić, że *wierw* była związkiem rodzinnym.

Tak sądzi Gołowin. Wbrew atoli domysłom jego, przypuścić jednak można, że główszczyzna dotykała całą gminę, mniejsza o jéj formę, gdyż w ten sposób rząd pragnął niejako zabezpieczyć się od ukrywania przez gminę zabójcy lub utrudnić je przynajmniéj. Był to środek administracyjny, policyjny — nic więcéj, i z władaniem ziemi żadnéj wspólności nie miał.

Tak czy inaczéj, *wierw* byłaby nie czém inném jeno gminą, taką samą, jaką widzieliśmy na północy, podobną do owego o g n i s k a (*pieczyszcze*), które członkom swoim wydzielało ziemię do władania (*dolewoje władienije*), a stąd zachodziła potrzeba pomiaru. Tak więc pewne formy władania ziemią, kształtujące się lub ukształtowane na północy, można do pewnego stopnia przyznać za typowe dla całego W. K. Moskiewskiego XV do XVI w.; różnica tkwiła w większém lub mniejszém zaludnieniu gmin. Jeżeli więc nigdzie nie znajdujemy śladów gminy, na wspólności opartéj, na całéj przestrzeni średniowiekowéj Rosyi, gminy w takiéj formie, w jakiéj dziś istnieje — skąd więc i jakim sposobem zrodziła się? Jaką drogą dokonała się ta wybitna rewolucya ekonomiczna? Ta-

kie pytanie postawił sobie do rozwiązania i książę Wasilczyków. Lecz wydaje mu się nieprawdopodobną możebność istnienia przed gminą innego ekonomicznego ładu, na téj podstawie, że nigdzie, jakoby nie pozostało śladu rozpierzchłych osad, władających ziemią indywidualnie. Jest to dowód słaby — śladów takich nikt nie szukał systematycznie, lecz one istnieją i każdy je napotykał. Nieraz pośród ziem ornych, a nawet lasów spotkać można niewielkie podwyższenia, ślady rozwalonych dawnych budowań, kawałki cegły, resztki pieców. Pośród ludu przechowało się także, mnóstwo nazwisk, dotyczących pewnych uroczysk, pewnych kawałków pól, nazwisk, pochodzących nieraz od imion własnych, od rozmaitych gospodarskich narzędzi i sprzętów. Otóż uroczyska te niczém innèm nie są— według Gołowina—jak resztkami wspomnień o istniejących niegdyś przysiołkach, osadach, wsiach, które zniszczone zostały lub utworzyły wieś w znaczeniu nowoczesném, wieś uorganizowaną w gminę. Jest to jednak teza, którą łatwiéj postawić, niż dowieść.

Przejdźmy teraz do drugiego pytania: kiedy i jaką drogą ustawodawczą zadany został cios indywidualnemu władaniu włościan? Czyczeryn początek zmiany zaszłéj we władaniu ziemią, odnosi do reformy podatkowéj tj. łączy ją ścisle z pierwszym popisem prawidłowym (*rewizyą*). Zdaje się jednak, że jedna przyczyna nie mogła pociągnąć za sobą tak doniosłego przewrotu ekonomicznego i że rozkładowe siły poczęły działać znacznie wcześniéj. Przedewszystkiém zwrócić uwagę wypada na to, że żaden z badaczy historycznych rosyjskich nie zanotował związku istniejącego między upoddannieniem włościan a utrwaleniem się gminy. Z początku włościanom przysługiwało prawo wolnego sadowienia się na ziemi i wolnego opuszczania dotychczasowych osad, późniéj ograniczono swobodę przejścia do jesieni (*Jurjew dień*), a następnie ukazem 1590—1592 nastąpiło przymusowe osiedlenie na tych gruntach, na których ukaz włościan zastał. Ukaz objął wszystkich posiadaczy. Celem ukazu nie było wcale wzmocnienia innéj klasy posiadaczy (*pomieszczików*), jak sądzą zwykle, ale zaprowadzenie ładu w stosunkach agrarnych—cel więc był bezwarunkowo fiskalny tylko. Prawo poddaństwa wytworzyło się już jako następstwo ukazu. Łatwo wyobrazić sobie jakie były następstwa ukazu i jaką to zmianę wywołało we wzajemnych stosunkach. Dawniéj posiadacz ziemi mógł sobie wybrać inny grunt, a zajmowany porzucić lub ustąpić innemu,— ukaz przywiązał go do gleby. W ten sposób włościanin nie mógł już być z gleby ruszanym, lecz nie mógł również zmieniać siedziby, gdyż wzbraniało mu prawo. Ponieważ powinności i dawniéj leżały

na całéj gromadzie, nic dziwnego, że z chwilą unieruchomienia niejako chłopa, przybicia go do gleby, wpływ gromady na jednostkę zwiększyć się musiał. Tymczasem ludność wzrastała, ilość ziemi zdatnéj do uprawy pozostawała wprawdzie ściśle oznaczoną, ale w téj saméj wsi nawet nie była jednakowego gatunku; wszyscy płacili podatek, ale nieproporcyonalnie korzystali z ziemi—stąd zaszła potrzeba zamiany działów i przemiarów. Nie stało się to jednak odrazu, w jednéj chwili dziejowéj. Ukaz Fiodora Iwanowicza objął tylko posiadaczy dworów, reszta pozostała wolna, a do włościan państwowych (*czernososznych*) ukaz zastosowany został dopiero w r. 1649.

Wprowadzenie spisów ludności (*rewizyi*) przez Piotra Wielkiego przyniosło nowy cios władaniu indywidualnemu. Popis (*podusznyj okład*) zamknął włościan we wsi, gdzie z narastaniem młodego pokolenia coraz było ciaśniéj—i wytworzyły się nareszcie wszystkie owe cechy, charakteryzujące władanie gminne: działy familijne, prawa do ziemi zajętéj i dzielenie ziemi stosownie do potrzeb i ilości płaconego podatku. Instrukcye graniczne Katarzyny II zrobiły resztę, polecając w zasadzie proporcyonalny podział (*rawnienije ziemli*) już wytworzony skutkiem wspólnéj odpowiedzialności gromady. Instrukcye owe były tylko nowością dla północy; w innych częściach państwa nadały piętno prawomocne stosunkom już przedtém istniejącym, dla tego téż więcéj pozostało śladów istnienia własności indywidualnéj np. w okręgu Dźwiny północnéj niż w centrum w. ks. Moskiewskiego.

Pomimo, że wywodom Gołowina w wielu razach brakuje ścisłości, a polemiczny ton wykładu zaciemnia do pewnego stopnia rozumowania, nie ulega jednak wątpliwości, że gmina wielkorosyjska da się ściągnąć łatwo z téj wysokości, na któréj ją starali się postawić niektórzy—bardziéj może poeci niż badacze—jako wzór do przyszłego rozwiązania agrarnych stosunków wogóle. Nie da się ściśle udowodnić, że gmina jest najstarożytniejszą formą władania—przynajmniéj według istniejących dokumentów, fikcyą jest jakoby w gminie na pewnéj wspólności opartéj, można znaleźć przyszły ekonomiczno-rolny ideał, szczególnie przy istniejącym jéj ustroju, témbardziéj w takiéj formie nie może ona być zbawieniem współczesnego społeczeństwa zachodnio-europejskiego—jak utrzymuje Laveleye.

Fr. Gawroński.





DZIWAK.

OBRAZEK.

W wędrówkach moich po kraju zatrzymałem się raz w jednéj ze wsi niedaleko Chęcin.

Wieczor zapadał, nogi słuchać nie chciały, musiałem przyjąć gościnność małżonków Stępczaków, którzy mnie na nocleg zaprosili, i roztasowałem się w ich chacie.

Natura ciągnie jednak wilka do lasu, włóczęgę w pole. Zaledwie odpocząłem nieco przy misie zsiadłego mléka z kartoflami, a już lézę na gościniec, rozglądać się po siole i mieszkańcach jego.

Z ludźmi nie wielka na razie była uciecha, gdyż po całodziennéj pracy wszyscy przed domami lub w izbach wieczerzali; wieś zaś jak inne w okolicy na ogólny rzut oka się przedstawiła ani bogatsza, ani lepiéj zabudowana. Chaty przysiadłe, słomą kryte; ogródki przy nich małe, zarosłe chwastem, z drzewiną taką jeno, jak Pan Bóg posadził. Po polach, widzę, złoci się zboże na dojrzeniu, a gdzie niegdzie wśród łanu grusza dzika się czerni kopiato, jakby stérta suchéj koniczyny; w oddali na zębatych wzgórzach las błękitnym pasem zamyka widnokrąg—to i wszystko.

Między wsią a lasem dostrzegłem jeszcze grupę drzew, jakoby koło ludzkiéj siedziby; tam więc podążyłem drożyną, jakoż w kwadrans stanąłem w saméj rzeczy przed chatą, od innych różną otoczeniem ze świérków i równym dokoła płotem.

Podchodzę bliżéj, widzę dach w części gontem, w części słomą kryty; dzikie wino na frontowéj ścianie koło okna, przy drugiém od tyłu ciężka okiennica starannie zawarta; przy drzwiach samotny kamień zamiast ławy, a na dole tuż przy progu jakiś otwór czworokątny, z domorosłą maszyneryą i drewnianą klapą, niewytłómaczonego dla mnie użytku. W ogródku zaś buraki, kukurydza, marchew i kartofle; ale ani człowieka, ani stworzenia żywego wewnątrz ni zewnątrz, nawet ani śladu ogniska i ruchu.

— Czyjaż ta chata ze świérkami za wsią?—pytam, wróciwszy do Stępczaków.

— At, jakiegosi cudoka.

— Ale jak się on nazywa?—co robi?

— Jak? pan Jędrzej, wypychocz, bo se ptaki strzela i wypycha.

— Wyborniel—pomyślałem, mając słabość do cudaków dwu i czworonożnych;—będzie o co się zamówić i wkręcić do tego.

I nie tracąc czasu daléjże wypytywać gospodarzy o pana Jędrzeja. Pokazało się jednak, że tak Stępczakowie jak i inni mieszkańcy miejscowi, własnemi sprawami zajęci, a do cudaka przyzwyczajeni jak do staréj żerdki w płocie, mało o nim wiedzieli i tylko tyle powiedziéć mogli: że mieszka sam, głuchy jest jak pień; że raz gada wiele, drugi raz jak słup milczy; że wstęp do niego nietrudny, ale zastać go w domu ciężko, bo i dniem i nocą chodzi na polowanie i nikt nie wié i przewidziéć nie zdoła, w jakiéj porze jadła i spoczynku zażywa.

— Mniejsza z tém—pomyślałem—kto nie probuje, nie zdobywa—i nazajutrz po wschodzie wprost do chaty samotnika zdążam.

Zdala widzę, że okno w dniu poprzednim zakryte, szybami świeci; podchodzę tedy śmiało, pewien obecności właściciela i stukam.

Wewnątrz w jednéj chwili posłyszałem ruch i szczekanie psa; poczém przez ów otwór na dole przy progu wysunął się wyżeł barwy brunatnéj, który sprytnie mi się przyjrzał i zaszczeknąwszy raz jeszcze przyjacielsko, napowrót w tajemném okienku zniknął, i coraz głośniéj psim językiem przemawiał.

— A! jest to system anonsowania gości na tym dworze,—pomyślałem, i daléj stukam z coraz większą odwagą i siłą, a w szczekaniu psa niezgorszą téż zyskuję pomoc.

W końcu przecież harmider, jaki czyniliśmy we dwu, odniósł pożądany skutek. Zawiasy wewnątrz skrzypnęły, drewniana zasuwa tuż przedemną stuknęła, drzwi się uchyliły i wyjrzał z poza nich człowiek niski, szczupły, w ruchach lękliwy, z twarzą rysów szlachetnych, kiedyś pewnie piękną, obecnie gęsto pomarszczoną i zczerniałą, w ubraniu nędzném i zbrukaném.

Oko lewe przymrużył, badawczo popatrzył i drzwi szeroko otworzył, równocześnie w garść ściągając surducinę pod szyją, co mi brak koszuli na ciele wskazało.

— Przepraszam, przepraszam—mówi—i puszczając mnie do sionki, sam niknie za drzwiami sąsiedniéj izby, skąd po chwili powraca końce wełnianego szalika zatykając za kamizelkę.

Raz jeszcze przeprasza,—za co, nie wiem—i pyta, czy wolę do izby wejść, czy spocząć przed domem, przyczém miejsce na kamieniu mi wskazuje.

— Pan podobno ma wypchane ptastwo—krzyczę mu do ucha. Chciałbym zobaczyć.

— Hm, hm, ptastwo? To proszę tam, proszę... Pan ma zbiory?

— Nie wielkie; ale jestem przyrodnikiem, nowości lubię, a słyszałem o czarnym bocianie, który się podobno w tych stronach pojawił. Masz go pan? A sokoła, lub orła?

— Sokoła? Nie, ale proszę daléj. I wprowadził mnie do izby dość obszernéj a ciemno orzechowéj z kurzu i dymu od pułapu do podłogi; tak przytém zawalonéj różnorodném rupieciem, że ledwo łokci kilka wolnéj przestrzeni zostawało.

— Niech pan siada,—zaprasza, krzywą ławę wyciągając z pod stołu, na którym leżał bochen razowego chleba, kozik, nadłamana kukurydza, obok dłutek, iglic, noża, garści kłaków, tygla z arszenikiem urobionym z mydłem i wapnem jak klajster, kłębków bawełny i kilku skórek do wypchania.

Siadam i zamiast mówić, tylko patrzę.

Ściany jak łuszcząca się brzoza nastroszone poodklejanemi i ponaddzieranemi rycinami, które niegdyś zdobiły pisma i kalendarze, a z kolei rzeczy tu się dostały też dla przystroju czy rozweselenia, i wraz ze wszystkiém przybrały kolor bronzowy. Z lewéj strony w najciemniejszym kącie izby tapczan, słomą świecący z pod dziurawéj derki. Nad nim na ścianie fuzya, dubeltówka i sztucer; obok w charakterze półek przybite wielkie grzyby, pasorzyty drzewne i grube kawałki kory, a na tém porzucane flaseczki, pudełka, szyszki i inne owoce leśne. Z prawéj strony koło komina warsztat stolarski i szewcki, na nich kopyta, zżynki skóry, grube szczecinowe szczotki, stare buty, garnki, papiery i wióry, jedném słowem wszystko, co nagromadzić się mogło w gospodarstwie, które snadź rządziło się zasadą niewyrzucania niczego na świecie. Wypchane ptastwo znajdowało się na staréj fajczarni i jak skombinowałem, zamieszkiwało szafę, raczéj do chłopskiéj wielkiéj skrzyni podobną, która nie opodal drzwi stała.

Gdym objął to wszystko wzrokiem, spojrzałem znów na właściciela, w jego twarzy i osobie szukając odpowiedzi na pytania cisnące się na usta. Lecz mina jego niby uprzejma a przezorna, oko lewe wciąż zmrużone dla większéj bystrości prawego były dla mnie wskazówką, że lepiéj zwolna postępować niż obcesowo.

— No, i cóż ten czarny bocian?—zapytałem, ograniczając się do stanowiska przyrodnika, którym wcale nie byłem.

— Bocian? Nie mam go, sprzedałem; w zeszłym tygodniu sprzedałem.

— A! to szkoda!

— Szkoda! Piękna była sztuka. Brzuch biały do połowy; głowa, grzbiet, skrzydła czarne, lśniące jak dyamenty—szkoda?

— Ale może pan masz kulczyka?—zagadnąłem, przypomniawszy sobie wyjątkowo pochwyconą wiadomość o téj ptaszynie, tylko w stronach Ojcowa i Kielc żyjącéj.

— Kulczyka?—podjął p. Jędrzej, z głuchoty mając przyzwyczajenie powtarzania.—To pan wié o kulczyku?

— A wiem, choć jestem botanikiem,—dorzuciłem obawiając się zbyt zaawanturować w przybranéj roli.

— Nie, i kulczyka nie mam. To to nie śpiewa pięknie, po co ma miejsce milszym zajmować; tego u nas mało.

— Cóż mi więc pan pokażesz ciekawego?

— Ciekawego? hm, hm? Ciekawe jest wszystko w naturze i z natury wzięte, jeno człowiek się na tém nie zawsze rozumié. Koło człowieka miliardy, biliony stworzeń jest, żyje i umiera, a człowiek nawet nie wié o tém i nic nie ma na uwadze tylko siebie i to, z czego zyski ciągnie.

— Moje szczęście,—pomyślałem—pan Jędrzej będzie w usposobieniu gadatliwém. Korzystajmy słuchając cierpliwie.

— Pan myślisz, że całe stworzenie nie wié dokąd dąży, po co żyje, co ma w przeznaczeniu,—zaczął stary siadając na stołku. Sześć razy wracałem raz z drogi liszkę, która po drzewie lazła, i sześć razy różną stroną wracała na miejsce. Ażem się zawstydził mego sprzeciwiania. Czyżby ona wracała bez celu?

— Zapewne, zapewne!—odparłem, potakując głową.

— Tylko widzisz pan, wszelkie stworzenie ma jeno świadomość swego zadania, swéj pracy w przyrodzie, ślepą i nic więcéj. A człowiekowi nieraz i tego brak, a w dodatku znajduje w sobie jakieś zachcianki, majaczenia — i błądzi, błądzi, goni sam nie wié co, rozbija się i brak mu wytrwałości liszki, aby wracać mimo przeszkód.

Uśmiechnął się, krzywiąc twarz przykrym wyrazem

— Co ciekawego? hm, hm, — zaczął po chwili, przypomniawszy sobie moje żądanie.—Ciekawego nigdy nie przegadać, nie przejrzéć. Między zwierzętami i ptastwem znajdzie różne charaktery jak wśród ludzi: i drapieżne i podstępne, wiarołomne i milutkie, demokraty i arystokraty. Nie uwierzyłbyś pan może, iż ja wpadłem na trop osobnego gniazda samca sikorki—remizy! O kilkadziesiąt kroków od gniazda, w którém siedziała samiczka z pisklętami, zna-

lazłem gniazdko też u gałązki białodrzewu zawieszone, ale maluśkie, z dwoma otworkami na pojedyńczą sztukę ledwo. Tam siadywał na noc jeden ptaszek, samiec; snadź hrabia nie lubił pisku dzieci i osobny zbudował gabinet.

— No proszę — rzekłem, uśmiechając się z tego porównania.

— A czasem znowu znajdzie się takie cudactwo — ciągnął p. Jędrzéj w ferworze opowiadania — że własnego gniazda nie ściele, po cudzém szuka przytułku, jak naprzykład kulik, samotnikiem zwany. To to w wiewiórczém albo sowiém się lęże: a skoro małe z jaj wylezą, bierze je matka na błonia, na trawy, tam karmi i hoduje. Taki dobrowolny tułacz ten kulik, jakby wiedział, że oczywiście lepiéj czasem nie miéć swego gniazda i za chatę, ojcowiznę, całe błonia, świat cały uważać równo... A to u ptastwa taka fantazya nieczęsta. Natura tak już urządziła, że wszystkie co rok budują siedzibę, choćby dawną znalazły nietkniętą. I bocian stare gniazdo poprawia, narzuca, lepi; ta robota widać im potrzebna dla przyjemności, czy rozrywki w czasie zalotów; dla nich to zastępuje bale, tańce, majówki, wśród których szepcą, mizdrzą się wzajemnie, porozumiéwają.

Po twarzy przemknął mu się uśmiéch wcale niewesoły.

— Zaraz, zaraz pokażę panu moje ptaszki, tylko kluczyk od szafy znajdę—dodał; podszedł do warsztatu, wziął stare, tekturowe pudełko, pełne nasion, guzików, bursztynów od fajek, kamyków i muszli, i w nim grzebać zaczął.

— Wielkich sztuk nie mam; brak miejsca, sprzedaję.

— Kiedyż pan chodzisz na polowanie? — krzyknąłem mu do ucha, jakkolwiek poznałem, że z ruchu ust łatwo wyrazy odgaduje.

— Kiedy? I do dnia i w nocy i rankiem, na to jednéj reguły nie ma. Głuszca naprzykład złapie jeno przed wschodem. O zachodzie leci on na spanie, leci i bęc na sosnę spada, aż stuknie, mówią, i śpi. Skoro świt, budzi się i na samicę woła głosem, jakby kosę ostrzył; i wnet harce koło niéj zaczyna i tak w umizgach zgłupieje i zgubi się, jak ten człowiek otumaniony — rzekł ze sposępniałą twarzą.

Lecz wnet ruszył ręką, jak gdyby odganiając muchę, którą była tym razem myśl natrętna i poszedł do fajczarni, wziął z niéj małego niebieskiego ptaszka z żółtą piersią, dużą głową i długim dziobem.

— Albo i zimorodek—zaczął— to także samotnik i prawdziwszy niż kulik. Sam lata, sam na noc w gnieździe siedzi, nigdy w parze, jak jaskółki i inne. Sam kopie norę na mieszkanie; on sprawiedliwie ziemiorodkiem zwać się winien, bo w podrywach

przy brzegu rzeki albo stawu, grzebie jamę nieraz i na półtora łokcia głęboką i wyściéła ją, wiész pan jakim puchem?

— Tak, wiem, wiem — odparłem niepewny — ale pan mów!

— Puszkiem z rybich ości! hi, hi! miękko!... Wyrzuca z siebie resztki szkieletów, których strawić nie zdoła i takie ciernistc robi sobie uścielisko; na tych poduszkach lęże się, zuch, co nieprawdaż? Jak te chłopcy, żołnierskie syny, co w obozie czasu wojny się rodziły i na tarczy kołysały przy brzęku szabel i ostróg!... Tak, panie! Gdybyś, jak ja, lata całe przepędził z naturą, poznałbyś, jakie w niéj różnorodne obrazy.

— Pan mógłbyś księgi zapisać tém, co wiész — zauważyłem.

— Księgi? Hm! hm!... Niech piszą inni; ja ich nie czytam, nie spiszę.

— Pan całe życie tu przepędziłeś?

— Pół życia, pół! — odparł, czoło ściągając w sieć zmarszczek, i prędko zawrócił ku szafie, do któréj klucz już dawno trzymał w ręku.

Śledziłem go z coraz większą ciekawością. Ruchy bowiem jego, rysy, mowa, zdradzały pochodzenie lepsze, niż stan obecny. Ubiór zaś i sposób zaspakajania potrzeb, wskazywał ubóstwo i krańcową obojętność na wiele kwestyi; twarz nosiła przytém głębokie ślady przebytych cierpień. Jakaż więc była jawna przyczyna, czy tajemnica, która wytrąciła go z właściwéj sfery i kolei?

Ja rozmyślałem, a pan Jędrzéj robił swoje. Kłódkę otworzył, skobel żelazny spuścił i rozwarł nareszcie zaczarowaną szafę.

— Pokażę ja panu bataliony — rzekł, wskazując na ustawione rzędem ptaki, nie mające na wzrost stopy, smukłe, w piersi wąskie, z ogromnemi wszakże kryzami w górę stojącemi, które na wysokość je podnosiły.

— O!... cały regiment wojaków bohaterów! — zawołałem.

— Wojaków? bohaterów?!... A gdzież oni teraz? Armaty, dynamity, a najmniejsze ruszenie pod rozkazem, nie ma wolności, rycerstwa nie ma! Z ludzi porobili jeno kółka wielkich machin. Chcesz, czy nie: stój! choć aż drżysz, aby łeb sprzątnąć najpierw temu, co cię trzyma. Chcesz, czy nie: idź! choćbyś wolał w ziemię zapaść, niż broń podnieść, gdzie ci każą. Wojsko dziś, to te wielkie trzody, które dawniéj za wojskiem na rznięcie prowadzono. A te moje batalionki, to zwyrodniałe obecne męskie plemię!... hi! hi!— ustami chlipnął zamiast śmiechu.—Patrz pan! co za wymizdrzone strojnisie! Dwu jednakich nie znajdziesz, tak się w szatach przesadzają!

— Prawda! Każdy inny! — potwierdziłem, z zajęciem przypatrując się owym wizerunkom mego skarlałego rodu.

— To ich właściwość, powiadam, istne Hiszpany i Szwedy! Ten nosi kołnierz pstry, tamten brunatny, popielaty z białym, z czarnym, żółty z orzechowym. A w dodatku wiédz pan, że to są nicponie, obłudniki! Stroją się tylko na wesele, w zaloty, jak ostatnie kokietki; potém rozbiérają się i z samiczkami załatwiwszy, zostawiają im trud chowania małych, a same czmych, z powrotem do Afryki, skąd przylatują w kwietniu nędznie odziane, bez kokard i fioków, które późniéj przybiérają, podpasłszy się na naszym gruncie, podobnie do wszelakich cudzoziemców, co się u nas obławiają, i nietylko suknie własne z sobą biorą!

— A dla czegoż się one batalionami zowią? — zapytałem, nie umiejąc sobie tego wytłómaczyć.

— Bo się biją! Zawzięcie się między sobą biją! Czasem siedzę na skraju lasu i łąki, w leszczynie albo olchach skryty, patrzę: batalion jeden na błonia się spuszcza i dalejże uwijania zaczyna, tany, harce, łbem wykręca, kołnierzem trzęsie; wtém leci drugi i paf! na tamtego spada i wnet bójka. Potém trzeci, czwarty, piąty, aż dwudziestu nieraz się zbierze lub więcéj i dziobią się, szarpią, jak koguty, po trawie jak psy tarzają. „Tyś nie z naszéj partyi, i ty nie z naszéj!“ gadają sobie wzajemnie, i tłuką się, tarmoszą okrutnie. Wszyscy przeciw sobie, bo dwu nawet jednakich za sobą nie stanie! Tak to widać już saméj naturze to mieszanie różnorodne przeciwne; przy czém nie może być zgody, bo zawsze jakoweś powstają zawiści, dojadania, ot wzajemna chęć zdziobania się i koniec!

Uśmiechnąłem się, potakując, uszczęśliwiony zaiste poznaniem tego filozofa samotnika.

— Pokaż-że mi pan bataliona bez kryzy, jeśli masz — powiedziałem. — Chcę widziéć, jak ten zawadyaka i Don-Żuan w zwykłym kostiumie wygląda.

— Jak? skromnie i potulnie jak poczciwiec, jak pokutnik. Masz go pan! czy podobny do tamtego? — rzekł, podając mi szarego ptaka z długim dziobem, całkiem istotnie niepozornego. — Co? nieprawdaż? Mina świętoszka, cnotnisi! łotrowstwa ani śladu! I tu natura zgodna z prawdą życia, obrazami ludzi?

— A czemuż to pan tak źle cnotę sądzisz?

Spojrzał na mnie bystro, lewe oko jak przedtém mrużąc.

— Gdzie pan żyjesz? gdzie mieszkasz? Nie wśród ludzi? — zapytał.

— Przeciwnie; i wśród wielu: w Warszawie.

— I pan się o cnotę pytasz i jéj wybiegom dziwujesz? A! toś pan widać na prawdę więcéj kwiatami, niż ludźmi zajęty. Ja, panie, miałem i cnoty i dobra i złego dotąd, dotąd!— rzekł, palcem od ucha do ucha przewodząc. Poszedł do szafy i machinalnie przestawiać zaczął ptaki z miejsca na miejsce, wzburzony.

— Cnota! — mruknął po chwili, zachłystnąwszy się owém naśladowaniem śmiechu. — To medal, który ma więcéj niż dwie strony. I to jakowaś kamfora, co nie wiedziéć gdzie jest, gdzie pachnie.

— Pan znasz kukawkę—zapytał po pewnéj przerwie, zwracając się do mnie.—Niewielkie to i brudno-pstre; ani złotem ani turkusem nie błyszczy, jak wilga, albo kraska, a ladacznica!... Kukawka, panie, to podrzutek! Nie zna ani ojca ani matki; zawsze w cudzém gnieździe się hoduje, jak sierota. A jaka to bestya przebiegła i sprytna, to człowiek by jéj nie dorównał! Jajko najpierw na trawę puszcza i ogląda, ogląda, potém bierze w dziób, który już umyślnie ma szeroki i miękki, aby kruchéj łupiny nie zgnieść—i daléj w podróż na rekonesans. Dotąd szuka po gniazdach słowików, skowronków, podkląszczy i różnych tam pokrzywek, dopókąd nie znajdzie téj barwy jajek, jak jéj własne. Bo widzisz pan, kukawki różnych kolorów jaja znoszą. Gdy więc upatrzy gniazdo, z którém najłatwiéj uda się jéj podstęp, rzuca swój płód i ucieka. A mała gdy się wylęgnie, to taka od razu chytra, że się rozsiada w przybraném gnieździe, jak sułtanka, i miejscowe pisklęta gniecie i wyrzuca. Paskudnica, od samego początku do końca! Tfuj! — splunął z oburzeniem.

— Alcż panie! kukułka stworzenie bez rozumu; co czyni, nie wić.

— Nie broń jéj pan! Ma ona rozum swój, skoro go liszka ma. Zresztą jeśli głupia, to i inne ptaki głupie, a piskląt nie opuszczają, a ochraniają je od złego, jak nawet te stare drzewa, co bez duszy, bez instynktu, a osłaniają młode od burzy i spiekoty. Kukawka, to jak raz zwyrodniała matka, co dziecko ciska, a w świat leci. Tylko przyroda ma mędrsze urządzenia, niż społeczeństwo ludzkie; kłamstwa nie zna i obłudy. Nie chce kukawka spełniać obowiązków i znosić trudów, to wprost zrzuca je na innych, dług spłaciwszy naturze; nie przyrzeka, nie oszukuje, nie zawodzi. Nie stwarza gniazda, rodziny, nie zostawia opuszczonych.

I postrzegłem, że głos jego przy ostatnich słowach drżał. Byłem więc na tropie odkrycia tajemnicy; ale sondy zapuścić nie mogłem, bo czémprędzéj odsunął się i na psa gwizdnął.

— Marget! gdzieś ty piesku?— zawołał z dziecięcą niemal tkliwością.

Pies w jednéj chwili w sieni się poruszył, pyskiem i łapą drzwi odchylił i do nóg pana łasić się przyszedł.

Pan Jędrzéj pochylił się, klepał go po grzbiecie, po głowie głaskał, uśmiechając się krzywieniem ust i mrużeniem oczu, które mniemałem, że raczéj zapłaczą.

— No leż, psie! spokojnie! Precz! precz! — zawołał potém, głos ostry przybiérając, czém według mnie nie wyżła, lecz siebie chciał poskromić w rozrzewnieniu. I znów do szafy się zbliżył.

— A widziałeś pan nura? — zapytał, z mniejszym wszakże ferworem. — Piękna sztuka, pierś jak złoto, większy i wspanialszy od miejscowych; musiał przypadkiem tu się zabłąkać, na swą zgubę. Gdyby jeszcze gdzie do zbiorów się dostał, dobrze! Ale zamówiony pewnie na przystrój ladacznicy! To téż go nie dam, nie dam— rzekł ze złośliwą przekorą starych i skórę wyprawioną a nie wypchaną, wrzucił do szafy.

— Gdybym mógł nie dać! — szepnął po chwili do samego siebie, zapominając, że ja słyszę.—Nie dałbym, a muszę! Surdut zdzieram ostatni, szczotek nie kupują, butów nie biorą; szewc jakiś szelma osiadł we wsi; muszę!

Zaczął coś niewyraźnie mruczéć pod nosem i liczyć na palcach, kombinując snadź dochody i wydatki; o mnie zapomniał.

— Panie Jędrzeju! — zmiarkowawszy to, krzyknąłem mu do ucha i dla lepszego rezultatu pociągnąłem za rękaw.

— Co!... co?...— zapytał z przestrachem, nagle myślom wyrwany.—Przepraszam, przepraszam...

— Gdzieś pan ubił tego nura? — zagadnąłem, chcąc go napowrót do rozmowy pobudzić.

— Gdzie? Tam na wiklach, na tatarach, za lasem. Skoro świt, idę przed kilkoma tygodniami na łąki; Marget za mną, wierna psina. Słońce wstaje, świat jak złotem oblał; mgła jeno wije się przed światłem; wikle jak raj zielenieją, tatar i wierzbina się kołysze, a ptastwo drobne raz wraz chmarą podlatuje — opowiadał, odzyskując ożywienie. — Wtém Marget przy nodze mi staje, uszami strzyże, pyskiem rusza. „Coś zwęszył“, myślę. Patrzę w prawo w lewo, a tu nur wśród zarośli się buja jako żagiel statku. Sunę naprzód, przyczajam się, naciągam cyngiel — paf! nur w górę się podrywa i z przestrzeloném skrzydłem wnet opada. Ja naprzód, łamię tatar i wiklinę; jużem dwa łokcie od celu, widzę jak ptak głowę nurza, skrzydłem trzepie; już tylko rękę wyciągnąć, by go dostać, myślę — wtém wpadam sam w jeziorko ukryte w zaroślach; gruntu pod nogami nie czuję, grzęznę po pas, po ramię; chcę się wygramolić, muł nogi trzyma; łapię wierzbinę, gałąź się łamie; śmierć mnie chwyta! Tak, to śmierć była, panie, co mi wtedy ciało obsiadła. Piersi miałem jak w deskę wszyte; już mnie dusiła

za gardło; lecz światło przytomności jakoś przez głowę błysnęło: rzuciłem się w tył całą mocą i wyciągnąłem rękę ku staréj wierzbie nad wodą schylonéj, ha!—schwytałem przecie gałąź grubszą i zawisłem. Byłem ocalony! O nurze zapomniałem. Suszę odzież na sobie, oddycham; w tém patrzę, a Marget za łapę ptaka trzyma i przynosi delikatnie, ostrożniutko, że piórka nie wyrwał!

— To zmyślny pies, widać mu z oczu, — rzekłem. — Musi być przytém przywiązany.

— O! gdybyś pan wiedział, jak on mnie rozumié, jak zgaduje! Człowieka złego i dobrego przeczuje od razu. Wie, żem głuchy, przed niebezpieczeństwem mnie ostrzega. Biorę fuzyą, on pierwszy przed dom wychodzi i czeka, do lasu zmierza. Gdy nam dobrze polowanie pójdzie, staje przedemną, ogonem macha, i uśmiecha się; naprawdę pyszczkiem tak porusza, jak dziecko, gdy przez sen się uśmiecha. Dwa razy życie mi ocalił! Poszedłem zeszłéj zimy na kuropatwy, szukam śladu, śnieg duży, mróz ścina; błądzę po zagajnikach, na trop wpaść nie mogę, a po długiéj wędrówce głód mnie ściska. Sięgam do torby: pusta! zapomniałem jadła. „To spocznę przynajmniéj na moment“—pomyślałem. Siadam pod sosną na brzegu lasu, plecami o pień, kolana stawiam, fuzyę między niemi lufą w górę. Marget naprzeciw mnie kucnął. „Pilnuj psie!“—mówię, przyrzekając wszakże nie zasnąć. Lecz po chwili gałęzie plączą mi się przed oczyma, wydłużają; pnie tańczą, śnieg rośnie—górę czuję na piersiach. „Wstanę!“—wołam jeszcze; a tu już powieki zwisły, ciemność w oczach, w członkach ołów—i zasypiam... Byłbym zmarzł; nogi już miałem skostniałe; gdy w tém ciepło czuję na twarzy i szarpnięcie za rękę. Oprzytomniałem, otwieram oczy: pies na mnie, i liże mi ręce i policzki, by obudzić!

To panie rzecz nie mała! Nie każdemu człowiekowi dano życie drugiemu uratować.

— Pan kochasz tego psa? — rzekłem, odczuwając przejęcie, z jakiem opowiadał.

— Czy kocham? Bo ja wiem? bo ja wiem?—powtarzał stary, z tym uśmiechem, który twarz gniótł mu w poprzeczne zmarszczki. Ja tego zapomniałem!

— A! zapomniał kochać! Aluzya do samotnego życia,—zauważyłem w duchu.

— Dawno go pan masz?—zapytałem głośno.

— Będzie sześć zim, sześć wiosen. Poprzednio miałem angielskiego wyżła, dzieci go otruły: nie dawał łamać kukurydzy, wyrywać marchwi! Oj! te dzieci, panie, te dzieci! przez nie musiałem zrobić to okienko przy progu, aby pies miał się gdzie schronić, gdy go prześladują, aby i kobiéta mogła wstawić mléko zrana. Dawniéj,

gdy pod dachem chowała, wypijali. Pies uczciwszy; garnek ma pod nosem na podłodze, nie ruszy; jeszcze okaleczy, gdy złodziéj rękę wsadzić probuje. Raz tak było: rozdarł chłopcu palec. Oj! jak się te dzieci mściły! Upatrzyli drzwi otwarte, wpadli gromadą z psami, rzucili się do szafy—wówczas nie zamykałem jéj na kłódkę—wywlekli ptastwo, a miałem piękne okazy: trzy nury, kraski, dudki, remizy z gniazdami, cyranki, puchacze, orzeł stał na wierzchu; wszystko cisnęli psom na pastwę; dzicz poszarpała moje ptaszki, potargała, rozjadła, rozwścieczona. Pierze latało po izbie jak śnieg w zamięć. Poduszczynę ostatnią z pod głowy rozpruli kozikiem. Goniłem łotrów, biłem, nie mogłem dać rady. Było ich kilku, ciągnęli za ręce, podstawiali nogi. Żal mnie ścisnął, płakałem. Nury rozpłatane tarzały się w piasku. Straciłem zarobek miesięcy kilku; przez całą zimę butów kupić nie mogłem; zabrałem się tedy sam do szewstwa, do szczotkarstwa, byle coś zarobić. Dzieci, panie, to bardzo swywolne stworzenia. Jest w nich cała złość ludzka, złość starszych, przebiegła, chytra, zajadła, jeno weselsza z młodości, na pozór pusta, lecz na dnie bardzo dukuczliwa i bolesna.

— Ależ na Boga! panie, takiéj psoty nie należało puścić płazem! Czemuś pan przed rodzicami nie skarżył rozbójników?

Twarz starca przybrała wyraz dobrotliwéj pogardy.

— Sprawiedliwość ludzka!—rzekł, ramionami ruszając. Chodziłem, skarżyłem—zwymyślali, zelżyli—siedm lat nie zaglądam do wsi.

— Jakto? żyjesz pan zupełnie bez ludzi, bez towarzystwa?

— Nie szkoda, nie szkoda! Ludzie ludziom największe zadają rany. Przyroda nieszczęśliwym pociechą. Człowiek pójdzie w las, na pola—patrzy w świat—zapomina o sobie.

— Ale pan masz w bliskości miasteczko, kościół?—umyślnie rzuciłem na próbę.

— Kościół?—oburknął gniewnie. A mnie co do tego? Po co mnie świecić w kościele i Panu Bogu się naprzykrzać. Dość takich na świecie, którzy nie rozumieją Stwórcy i nie chwalą w naturze; niech oni zawalają kościoły.

— Niezawodnie ta rzekoma bezbożność największém cudactwem w oczach miejscowych—pomyślałem.

— Dawno pan tu mieszkasz?—zagadnąłem, raz drugi dotykając téj kwestyi.

— O, niejeden za mnie urodził się i umarł.

— Lat dziesięć najmniéj, piętnaście?

— Ile? Trzydzieści, panie, trzydzieści!

— Czy być może? Toś pan w zupełnéj młodości tu osiadł?

— Młodość? hm...—podjął z politowaniem.

— Jest czasem młody w latach siedmdziesięciu, zgrzybiały w trzydziestu. Ja byłem, panie, stary, głuchy—już przed trzydziestu laty byłem stary i siwy, choć mam dzisiaj ledwo rok sześćdziesiąty czwarty.

— Co pan mówisz, na Boga! Cóż pana tu wygnało?

— Co? Wstręt do ludzi i świata. Mus śmierci, a wstręt i do samobójstwa,—odparł cicho.

Odwrócił się, wziął ze stołu kukurydzę i drżącą ręką jął oskubywać ziarnka.

— Miałeś pan żonę, rodzinę?—zahazardowałem.

— Kukułczą!...

— Marget? hi, hi, hi!.. Moja żona była Margeta! hi, hi!—wołał rzuciwszy się nerwowo na ławę; i śmiał się jak skrzypiący but, gryzł ziarnka, pluł i psu zbierać kazał.

— Czemuś ty mnie, psie, w mróz rozbudził? pomoc ludzką zwołał, gdy śmierć chorobą gnębiła? Na co mnie żyć?—myślał głośno; głowę spuścił i ręce na kolanach oparł.—Marget, psie! czyś ty miał dzieci? hi, hi—dzieci! Marget... dzieci!—powtarzał.

A pies ocierał boki o kolana jego, wspinał się, lizał mu ręce, ramiona, szyję, jakby dla ukojenia; wreszcie na ziemi się położył, lizał nogi i w końcu łeb między nie wsadził i tak został.

— Głupstwo!.. Ludzie mówią: wszystko głupstwo, — gadał znów pan Jędrzej do siebie, nie podnosząc oczu. Życie głupstwo, uczciwość głupstwo, serce, praca głupstwo,—jedz, pij, hulaj i śpij nie pytaj, byle ci dobrze było; a źle? to w łeb kulą—i basta!—A tu nie prawda! Człowiek zrzuca skórę, ucieka, sam się depce, krzyczy: głupstwo!..—i sam się znów ściga, przed sobą dawny, staje i odpowiada: nieprawda. I zgnieść myśli, piersi zdrętwić nie może—i w udręczeniu żyje, choć nie chce. O!... śmierć na zawołanie nie przychodzi! nie przychodzi!—dodał ciszéj i zamilkł, tworząc z psem jakby martwą całość.

Minuty upływały, nie poruszali się, snadź przyzwyczajeni do pozy, w jakiéj zostawali.

Teraz na seryo mniemałem, że mnie obaj zapomnieli; nie chciałem wszakże odchodzić, spodziewając się, że przecie rozwiąże się przedemną dramat, którego wątek już posiadłem.

Jakoż cierpliwość moja została nagrodzona.

Może w kwadrans pan Jędrzej głowę z rąk wychylił i podniósł; popatrzył na mnie wzrokiem człowieka, budzącego się z długiego snu i szepnął do siebie, jak poprzednio:

— Jest za młody, nie może pamiętać—przyczém machnął ręką.

Pies na nogi skoczył i uszy postawił, czekając rozkazu.

— Idź do sieni, Marget, nie słuchaj!—rzekł starzec łagodnie.

Pies się wyniósł, łeb naprzód wyciągając.

— Czy pan wiesz, co to hańba dla człowieka, który nie miał skazy na imieniu?—zapytał nagle zwracając się do mnie.

W odpowiedzi skinąłem głową i bliżéj przysunąłem stołek.

— Nie znosiłem plamki, udźwignąłem hańbę!.. i mówić tu, że człowiek istota słaba! Znosiłem, miesiąc, dwa, trzy—rok—choć wiedziałem, że złe powiększam cierpliwością i zaparciem. Ale nie przez tchórzostwo byłem taki głupi; nie przez obawę utraty życia w obronie téj, co mnie zniesławia,—tego pan nie myśl; nawet nie przez pogardę świata, którego nicość znałem na dwie strony; ale przez najwyższe głupstwo, które mimo to rządziło nawet Salomonem: przez miłość, tę nędzę i bogactwo człowieka!... Wściekałem się z bólu. Gdy mnie szał porywał, wypalałem ciało pogrzebaczem na ramieniu, na piersi, a milczałem, bom chciał przed światem ukryć mój wstyd, mój ból; nie chciałem aby ludzie poniewierali imieniem kobiéty, którą, ja za godną miłości uznałem!.. I cóż? Pan wiesz, co się stało? Prawda! nie możesz wiedziéć; byłeś dzieckiem, albo zgoła na świecie jeszcze nie byłeś. Zdradziła! Uciekła z tamtym mimo mego pobłażania. Rzuciła mnie, dziecko, skandalem zdarła zasłonę z naszego pożycia... Świat na języki chwycił jéj występek, mój ból, a głupotę—i trząsł niemi jak błazeńską czapką; no, pan wiesz, byle módz czémś dzwonić; to tak miło i zabawnie—hi! hi!.. hi, hi... Wyśmiewano przedewszystkiem osła z rogami.. Pan znasz pociski szyderstwa?—zapytał, podnosząc na mnie wzrok zagasły.—Myślę, że woleliby torturowe kleszcze ci, co je cierpią...

Zapadłem w tyfus, ogłuchłem, osiwiałem. Rzuciłem rodzinne strony, umarłem dla świata... dziecko mi umarło... mienie oddałem szpitalom; niech ratują ludzi, którym życie miłe—mnie nic nie potrzeba, ja nie żyję—dodał do siebie.

— Trzydzieści lat nie byłem za temi górkami; nie wiem co się w świecie dzieje. Co zima tylko znaczę karb, tam na oknie. Trzydzieści razy przysypywał mnie śnieg, a ziemia jakoś przysypać się nie śpieszy. Oj, nie śpieszy!.. — powtórzył z żalem i zmęczeniem starca, któryby rad po trudach spocząć.

Głowę na rękę spuścił—i w chwili téj wydał mi się istotnie zgrzybiały znękaniem.

— Powiédz mi pan, czy się nic na świecie nie zmieniło?—zagadnął po długiéj przerwie. Czy i dziś... i dziś są tacy, jak ja?—I dziś dzieje się tak samo?..

Wzruszyłem jeno ramionami, bom oczywiście sam znał kukułki nietylko w lesie między ptactwem. *St. Ariel.*



WRAŻENIA LITERACKIE.

— **W walce z losem**, *powieść w trzech tomach przez Jerzego Myricla.* (Warsz. 1889, str. 208, 230, 183). Powieść ta jest utworem autora, który przed kilku laty napisał „Syna przemytnika“, rozbieranego dość szczegółowo w „Ateneum“. Różnica jéj od poprzedniéj jest znaczna i nie z nadzwyczajnemi, lecz z dość pospolitemi na świecie stosunkami mamy tu do czynienia: ton ogólny jest bardzo powszedni, niby realistycznie odtwarzający zdarzenia i rozmowy życia codziennego, a nieraz tak banalny, jak bywa towarzystwo ludzkie, rozpatrywane oczyma płytkiego spostrzegacza. Wspólne znamię pozostało jednak w „Walce z losem“ takiém, jak je widzieliśmy w „Synu przemytnika“: autor nie dba o głębię i o konsekwencyą psychologiczną, uganiając się tylko za tém, aby zajął przeciętną publiczność czytelniczą, chociaż rzadko kiedy cel ten osiąga. Przedstawić zamierzył dzieje czworga dzieci pozostałych po sławnym lekarzu Gerlichu, o którym miano wyobrażenie jako o bardzo bogatym człowieku, a który, nagle zmarłszy, prócz biblioteki, narzędzi chirurgicznych, mebli i nader szczupłéj kwoty w gotówce żadnego im innego skarbu nie zostawił, a nawet nie przygotował ich do walki z losem. Troje z rodzeństwa już było w wieku dojrzałym, jedna dziewczynka jeszcze chodziła na pensyą. Oczywiście owi dorośli robią z początku najmocniejse postanowienie pracowania, byle módz się utrzymać i zapewnić ukształcenie Ewuni. Ale okazuje się, że to postanowienie musiało pozostać w sferze oderwanéj bez możności urzeczywistnienia. Żadne z nich nie posiadało właściwie umiejętności i zdolności pracowania samodzielnego; przyzwyczajeni do wygód za życia ojca i do bezczynności nie mogli i nie umieli znaleść zajęcia chlebodajnego. Najstarszy wiekiem, ale najlichszy charakterem Józio, który jeszcze za życia ojca grubo się zgrywał w „klubie“, co jakoś aż zanadto pobłażliwie przyjmował rozumny i powszechnie szanowany lekarz, teraz po jego śmierci, zrobiwszy kilka niepomyślnych prób o dostanie dochodnego miejsca, niebawem wciągnięty w życie próżniacze człowieka, wyzyskującego ludzi i los gry kartowéj, staczał się coraz niżéj po pochyłości moralnéj, chociaż przez czas dość długi umie się utrzymać na powierzchni

stosunków towarzyskich i wśród grona młodzieży złotéj i pozłacanéj ma wziętość. Jest to szubrawiec, który odrzuciwszy całkowicie myśl nawet pracy, gotów jest każdéj chwili do podłości, jak tego dowiódł, opuszczając ciężko chorą siostrę, zabrawszy jéj pugilares z pieniędzmi. Autor zresztą nie zajmuje się nim bardzo, wprowadza go tylko od czasu do czasu, zawsze z szablonowym uśmiechem, dowcipem cynicznym i lekkomyślnością. Siostra jego Malwina miała być zapewne wzorem kobiety zrezygnowanéj, cierpiącéj w milczeniu, surowéj zarówno dla siebie jak dla innych niewiast na punkcie moralności. W gruncie rzeczy jest to dość zwykły okaz bierności duchowéj, nie tylko nie sympatyczny, ale niektóremi stronami charakteru nawet wstrętny. Po śmierci ojca, będąc cichą, gospodarną, zostaje wybrana na żonę przez długoletniego znajomego i najserdeczniejszego przyjaciela" (I, 18) doktora, radcę Wincentego, i po namyśle przyjmuje ona tę propozycyę dla zapewnienia opieki siostrom, a oczywiście i sobie. Pan radca zrazu obiecywał wszystko, ale potém coraz mu cięższemi wydawały się obowiązki, których się podjął, a które w gruncie rzeczy zredukowały się do utrzymywania żony, nie mającéj najmniejszych wymagań i jej najmłodszéj siostry Ewuni. Radca ten, inny na początku powieści, inny wśrodku, inny przy końcu jest właściwie gutaperkową figurką, wywracaną przez autora na wszystkie strony dla rozśmieszenia czytelników, którzy zamiast tego nieraz porządnie się nudzą. Malwina jest dobrą i wierną żoną, znosi cierpliwie wszystkie zrzędzenia coraz bardziéj starzejącego się radcy, spełnia jego wolę we wszystkich szczegółach, stosuje się do wszelkich kaprysów. Nigdzie w towarzystwie nie bywają razem i u nich odbywa się tylko raz na tydzień wińcik, na którym prócz partnerów i gospodyni nikogo więcéj nie bywa. Jedynymi ich znajomymi (rzecz dziwna, bo zarówno radca przed ożenieniem się jak i Malwina za życia ojca mieli bardzo rozgałęzione stosunki) są tetryk kontroler i wesoły a poczciwy kupiec Beczkowski. Autor atoli i tych znajomości nie wprowadza w organiczny związek z charakterystyką radcy i Malwiny, tak iż choć Beczkowskiego widujemy dość często, poznajemy tylko dobre jego serce i zwietrzałe koncepty, ale głębi duszy wcale, podobnie zresztą jak i innych osób, a co więcéj przekonywamy się, że jego wpływ na radcę, raz zaakcentowany bardzo, późniéj, dla wątku powieściowego, schodzi do zera.—Druga z kolei siostra Iza, temperament gwałtowny, egzaltowany, jest nie nowym wprawdzie, ale najlepiéj w całéj powieści przedstawionym charakterem. Pokochała całém gorącém swego entuzyastycznego serca egoistę szczwanego, który chciał ją jedynie wyzyskać i porzucić, skompromitowana przezeń opuszcza zajęcie guwernantki, dostaje się do teatru prowincyo-

nalnego, przechodzi błota życia koczowniczego, zyskuje przyjaźń, szacunek i miłość bogatego opiekuna, który ją obwozi po Europie dla wykształcenia w sztuce dramatycznéj, zjeżdża do Warszawy, podbija grą swoją całą publiczność teatralną, lecz doznaje goryczy strasznéj, gdy się przekonywa, że brat jéj jest podłym, a siostra surową purytanką, nie chcącą mieć z nią stosunków, tak dalece, że podczas pierwszéj niebezpiecznéj choroby ani razu jéj nie odwiedziła, chociaż gorączkowo śledziła przebieg jéj słabości. Dopiero w ostatnich tygodniach życia Izy, złamanéj moralnie raczéj, niż fizycznie, cnota Malwiny złagodniała, gdy jéj Iza oświadczyła, że ów jéj serdeczny opiekun Skalski ożenić się z nią postanowił. W obrazie tryumfów teatralnych Izy jest dużo reminiscencyj ze scen głównych w Warszawie, ale jakby dla zatarcia istotnéj prawdy, podniesionych do przesady. W obrazie cierpień z powodu stosunków rodzinnych, zanadto uwydatniony został w Izie pierwiastek sentymentalny, który nie obcy jest wprawdzie usposobieniom egzaltowanym, ale przejawia się trochę inaczéj, niż w książce Myriela.—Trzecia wreszcie siostra Ewunia, otoczona miłością obu, a opieką starszéj, to typ dobrze znany naiwnego podlotka, w paru scenach rozmowy ze studentem, późniejszym mężem, szczęśliwie scharakteryzowana, ale poza temi scenami zupełnie nic nie znacząca. — W kompozycyi ogólnéj uderza brak planu dobrze obmyślanego, zapominanie o podanéj już charakterystyce, lub szczególe, jednem słowem pisanie urywkami wśród nader różnych usposobień. Pierwszy tom grzeszy nadzwyczajną rozwlekłością, gdyż opowiada zbyt szczegółowo rzeczy wcale nie zajmujące; w każdym jednak razie jest w nim pewna spójność części, jest naturalny rozwój wypadków; ale od końca tego tomu tj. od ucieczki Izy tajemnéj, niczém nie umotywowanéj, tylko dla teatralnego efektu na końcu tomu położonéj, rozpoczynają się sceny luźne, słabo wiążące się w artystyczną całość. Stosunkowo najlepszym tu ustępem (w tomie II) jest obraz pobytu Izy jako guwernantki w domu obywatelskim zamożnym, mającym pretensye do pańskości i wytwornego gustu; zapewne wiele tu szczegółów z natury pochwyconych. Druga część tomu, gdzie mowa o zrzędzeniach, podejrzeniach, kłótniach i godzeniach się radcy Wincentego należy do nader nudnych. W trzecim tomie główną; a nawet wyłączną uwagę zwraca na siebie Iza, a że ten charakter należy u autora do najudatniejszych, więc też i scenowanie wiele ma życia i budzi niemałe zajęcie. W stylu znać raczéj rutynowanego dziennikarza, czasem komedyopisarza, znającego światek swój teatralny, leez nigdzie nie ma polotu, ani piękna prawdziwego. Tak opowiadanie i rozmowa ma charakter francuski i to tak nawet, że autor liczy w tygodniu dni osiem, chociaż myśmy do innéj rachuby

przyzwykli. Zwrotów niepoprawnych niewiele; wolelibyśmy jednak, ażeby zamiast obcego wyrażenia: *przyjmować* udział, Myriel zechciał używać polskiego *brać* udział.

= *Sewer.* **Świat ludowy,** *nowelle* (Warsz. Teodor Paprocki, 1889, str. 303). Niejednokrotnie już drukowało „Ateneum" obrazki autora z życia ludu; czytelnicy więc nasi mieli sposobność zapoznać się sami z właściwościami powieściopisarza, zarówno pod względem pomysłów, sposobu przedstawiania uczuć, jako też i stylu. Dobra, bo dokładna i na długotrwałéj obserwacyi oparta znajomość pewnéj części ludu w Galicyi, głębsze wniknięcie w jego psychologią, niemałe poczucie miary artystycznéj, umiejętność malowania przyrody w krótkich, ale dobitnych i znamiennych rysach styl żywy i obrazowy — oto główniejsze zalety nowel i szkiców, jakie Sewer w ciągu ostatnich lat dziewięciu nakreślił. Jest on realistą i bohaterów swych ludowych bynajmniéj nie idealizuje, jak wogóle nie myśli o tendencyjném wykrzywianiu prawdy, gwoli dowiedzenia jakiejś z góry powziętéj myśli; przedstawia dobre i złe strony życia chłopskiego, jednakowo charakterystycznie; nie popada w krańcowości, nie zaczernia swych obrazów pesymistycznie, nie zaróżowia optymizmem. Jeżeli ma jaką słabostkę, godną zresztą najserdeczniejszego uznania, to w malowaniu cierpień i nieszczęść, jakie spotykają maluczkich, w rozrzewnianiu czytelnika nagromadzeniem tkliwych i bolesnych rysów z życia sierot wiejskich. Pod tym ostatnim względem ma on podobieństwo do Daudet'a, lub do Sienkiewicza z doby Janka muzykanta. W zbiorku, o którym teraz mówimy, jest jedna taka, pełna łagodnie odmalowanego smutku nowela p. n. „Dola". Czternastoletnia dziewczynka sierota, mająca serce skłonne do wzruszeń sympatycznych, poniewierana przez stryjnę, lękając się kary za cielę zabłąkane, ucieka, próbuje się utopić, potém kładzie się na szynach, ale uratowana, wspomożona datkiem pieniężnym przez podróżnych, dostaje się pod opiekę człowieka brzydkiego, również jak ona osieroconego, równie jak ona niedoznającego miłości ludzi z powodu swéj brzydoty. Dziewczynka choruje. Marcin otacza ją najtroskliwszą opieką, marzy wraz z nią o przyszłości, o pobraniu się i kochaniu; ale smutna dola rwie tę tkankę rojeń; siérota umiéra, szczęśliwa, że choć raz w krótkiém swém życiu zaznała, co to życzliwość serdeczna, co to delikatna tkliwość. Pierwsza część tego obrazka, gdy Marcysia krowy pasie, gdy zbiéra kwiatki, by ukradkiem dostawszy się na procesyą Bożego Ciała, wysypać je przed obrazem N. Panny, jest bliższa podobno rzeczywistości, aniżeli część druga, malująca przygody Marcysi, a zwłaszcza owę smętną sielankę w lesie. Dwie inne nowele w zbiorku pod ogólnym napisem: „Dla świętéj ziemi",

są w odrębnym opowiedziane tonie. Autor pochwycił bardzo dobrze jeden z najznamienniejszych rysów charakteru chłopskiego: żądzę posiadania ziemi, będącą zresztą tylko specyalnym przejawem powszechnéj żądzy mienia u wszystkich warstw społecznych, i dzieje téj namiętności w kolizyi z uczuciami miłosnemi dobrze przedstawił. W „Kasi“ doskonale skreślony został obrazek wypuszczenia żołnierza ze służby, wrażenia jednego z wypuszczonych, powracającego do wioski rodzinnéj, gniew i straszny żal utraconego gruntu, który matka sprzedać musiała dla pokrycia długu bankowego, zaloty Józka do bogatéj wdowy, a odwrócenie się od energicznéj, poświęcającéj się dla niego siéroty Kasi, którą przecież lubił namiętnie, myśli i postępowanie téjże Kasi, opuszczającéj wprawdzie chatę Józka, gdy się o wdowę oświadczył, ale wracającéj potém na wezwanie serdeczne jego matki. Mniéj są rozwinięte kolizye, wynikłe z naprężonych stosunków pomiędzy Józkiem, jego żoną i Kasią, i dla tego zakończenia niepodobna zadawalniającém nazwać. „Hanka“ doskonała jest, jako obraz bohaterki tytułowéj. Dziewczyna biédna, siérota, ale piękna, energiczna i rezolutna, umie sobie dać rady z chłopcami i starszymi. Pragnęłaby wydać się za mąż bogato, ale gdy upatrzony przez nią syn wójtowy nie miał dość siły, by się oprzéć woli ojca, ciągnącego go do dziewczyny bogatéj, patrzącéj „świdrami“, wychodzi za równie ubogiego jak sama, postanawia wraz z mężem dorobić się i dochodzi swego, tak, że wójtowie zaczynają żałować, iż nią dla syna wzgardzili. Miło jest patrzéć na te objawy żywotności, siły i zręczności w tych dwojgu wieśniakach, którzy nie skarżą się, lecz pracują wytrwale. Natomiast poboczne figury, jak wójtowie, ich syn, Guliczka, jéj córka, lubo wszyscy mają cechy znamienne, wybornie pochwycone, nie są przecież należycie rozwinięte.

= **Nowelle** *Włodzimierza Zagórskiego* (*Chochlika*). Warsz. Nakład G. Centnerszwera, 1889, str. 224. O talencie powieściopisarskim p. Zagórskiego, „Ateneum“ pisało już lat temu kilka; właściwości jego są urobione i ustalone, tak, że zmian w nim spodziéwać się już niepodobna. Taż sama łatwość pisarska, taż sama zamaszystość i posługiwanie się rysami grubo ale śmiało i pewną ręką nakreślonemi, taż sama werwa satyryczna i dowcip niemały, któremi się cechowały dawniejsze utwory powieściopisarza, odnajdują się i w tych trzech szkicach, czy obrazkach, które w obecnym zbiorku odczytujemy. Pod względem sfery, wziętéj do odtworzenia, oraz tonu, wyróżnić w nim potrzeba „Iwasia“ od dwu innych zarysów. „Iwaś“ drukowany był najprzód w „Ateneum“ (r. 1885); stali czytelnicy tego pisma znają go i pamiętają zapewne. Jest to rzecz realna i poetyczna zarazem; przeciwieństwo dwu różnego rodzaju

temperamentów w zakresie stosunków wiejskich, wybornie zostało w niéj pochwycone i odtworzone. Kowal Matwij i siérota Iwaś, przyjęty przezeń do kuźni i kształcony na rzemieślnika, to dwa odbicia jednego temperamentu: spokojnego, lubiącego pracę, porządek, uczciwość; a córka Matwija Zośka i przybłęda Ignac, to znów dwa odbicia drugiego: burzliwego, namiętnego, lubiącego zabawę, rozkosz, skłonnego do wszelkich burd i występków. Jak bywa zazwyczaj, tak i tutaj się stało; nie dobroć, szlachetność, statek i rozum, ale błyskotliwa czupurność, pozorne, ale wymowne uczucie są górą, dopóki nie zaplączą się we własne sieci i nie zginą, pociągając za sobą upadek i dobrych, a zacnych. Bardzo trafnie w Zośce odmalował autor kolejne wahanie się temperamentu, odziedziczonego po matce-awanturnicy, lecz modyfikowane wpływem rozumnego ojca i towarzysza lat dziecinnych, Iwasia. Gdyby nie powtórne pojawienie się Ignaca, byłaby może wyszła za Iwasia i przez czas jakiś gospodarowała porządnie i dobrze. Związanie swego losu z losem kontrabandzisty, pociągnęło ją w przepaść. Niepotrzebném i trochę melodramatyczném jest przypuszczenie autora, iż kula, co przeszyła jéj serce, wypadła ze strzelby Ignaca; nic niemożliwego, w tém nie ma wprawdzie, lecz trąci to nieco zdawkową moralnością powieściopisarską. Zresztą prostota, prawda i szczerość uczucia, są zaletami téj pięknéj nowelki. Zupełnie w innym tonie opowiedziane jest udramatyzowane wspomnienie „Ze studenckich czasów". Jest to anegdota żywo, barwnie, zręcznie i dowcipnie przedstawiająca kłopoty 14-letniego ucznia, jadącego na wakacye; najprzód chcąc szparko powozić, wywrócił i popsuł bryczkę, a powtóre widząc piękną żydówkę, która nie chciała wyjść za kaprawego żydka, tylko pragnęła się ochrzcić, bo się kochała w przystojnym leśniczym, chrześcijaninie, ryzykownie wdał się w tę sprawę. Kłopoty kończą się szczęśliwie i wesoło. „Zero" wreszcie to także anegdota tylko, lubo zawierająca w sobie materyał do poważniejszéj powieści. Dwudziestokilkoletni hrabicz, setny próżniak, rozbawiony na targowicy próżności, ale mający lepsze popędy, jedzie sam nie wié dlaczego do Wenecyi, poznaje tam piękną, powabną, rozmowną i ukształconą Amerykankę, kocha się, zdobywa jéj serce; ojciec panny (widocznie z wielkiego tylko przywiązania do córki) ofiaruje mu jéj rękę, ale hrabicz odrzuca ją, uznając się za niegodnego, bo jest niczem, bo pracy nie rozumie i lęka się śmieszności... Świadomość swéj nicości społecznéj hrabia Zdzisław posiada, lecz już w 20 którymś roku utracił wszelką energię, już zrozpaczył o możności przemiany sposobu przepędzania czasu. Zręcznie zaznaczony jest przez autora moment decydujący, gdy hrabicza propozycye Amerykanina o zakupie wołów, baranów i świń, oblewają „lodową kąpielą".



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Lekkomyślność narodowa.—Niezmienione drogi Opatrzności. — Gęsi, prasa i p. Lysen.— Chytrość Belgów.—Zuchwałość i awanturniczość tego narodu. — Nasze cnoty. — Opozycya i atak na synekury. — Co mają robić zdolni biedacy, gdy już synekury ostatecznie wyklęte zostaną.—Wina kapitału, wina literatów.—Czem można zastąpić posadę na kolei.

Jak wiadomo lekkomyślność i brak przenikliwości jest tém w naturze naszéj, czém twardość w żelazie, lub tłuszcz w maśle — ani czas, ani ludzkie usiłowania usunąć ich nie zdołają..... Bylibyśmy padli ofiarą chciwości belgijskiéj, gdyby nie... prasa. Stąd się okazuje, że Opatrzność przez dwadzieścia kilka wieków, pomimo zaprowadzenia nowéj ery, niezmieniła dróg swoich i zawsze czuwa nad nieopatrznymi; czasami tylko do wykonania wyroków swoich używa innych narzędzi. Ongi w Rzymie, gdy sen głęboki zmorzył ludzi, gęsi ratowały Kapitol. Historycy i poeci uwiecznili za to ich pamięć:

Gęsi, że Rzym uwolniły,
Wielbione były!

śpiewa nasz wieszcz. A sława, jak wiadomo, bohaterów swoich upaja, a w świadkach najodleglejszych nawet budzi zazdrość i pożądanie. Dzisiaj „król stworzenia“ nie dopuści już nigdy istot pośledniejszych do odegrania tak zaszczytnéj roli i gdy sposobność znajdzie, sam robi alarm. Z dumą przyznać to sobie możemy, że gęsi kapitolińskie ani w setnéj, co mówię, ani w milionowéj części nie umiały tak dobrze spełnić zadania, jak prasa. Pamiętając nawet o przestworach dwudziestu kilku wieków, przyznać trzeba, że postęp ogromny. Bo cóż zrobiły niegdyś gęsi? Wydawały dźwięki nieharmonijne, nieobmyślane, nieartykułowane nawet! Czyż je porównać nawet można do tych słów silnych samym swym brzmieniem, do tych potężnie wykutych frazesów. Pan Lysen został pobity i cofnął się, sromotniéj może, niż Gallowie z pod murów Rzymu. Ale na tém nie koniec. Straty jego nieograniczają się na

klęsce materyalnéj, ani na zawodzie jego mocodawców, „awanturnik“ ten zgubiony został moralnie w oczach całéj Europy. I z pewnością, gdyby jaki prokurator, lub sąd oskarżeniom dzienników nadawał połowę chociaż téj wagi, jaką w jego oczach posiada zeznanie świadka nawet niezaprzysiężonego, to p. Lysen, a może i poważna mniejszość narodu belgijskiego na długi czas pozbawiona byłaby możności włóczenia się po świecie i zajmowania sprawami jakichkolwiek kolei.

Na osłabienie zbyt surowego wyroku o naszéj lekkomyślności da się jednak przytoczyć kilka łagodzących okoliczności. Naprzód z Belgami po wsze czasy stosunki nasze były prawie żadne. Nie przychodzili do nas z orężem w ręku, jak Szwedzi i Turcy, nie przywozili porcelany, jak Sasi, płótna, jak Holendrzy, włoszczyzny, jak Włosi; nie mieli téż tak dobrego wina, jak Węgrzy, abyśmy sami do nich jeździli. Skądże znać ich można było.

Daléj, jestto naród, który chytrze poczynać sobie umie. Oddawna widocznie zagięli parol na bogactwa nasze; ale jak gracz podstępny, co z początku ofierze swojéj wygrać nieco pozwoli, aby ją późniéj do ostatniéj doprowadzić zguby, tak téż i oni: nabyli naprzód kopalnie i tak się sprawowali, że w czujnéj prasie nie ukazała się nigdy, ani jedna skarga; potém tramwaje wybudowali, znowu grzechem byłoby utrzymywać, że funkcyonują one gorzéj od innych instytucyi; chcieli jeszcze Warszawę uwolnić od zarazy powiśla, i obdarzyć miejscem przechadzki po nadrzecznych bulwarach, ale to już im się nie udało. Na dobitkę potrafili obałamucić opinią i w całym świecie uchodzą wciąż za porządnych. Nikt np. nie słyszał, aby przemysłowcy i kapitaliści belgijscy przez wyrabianie tandety zrazili po kolei dla wszystkich swoich produktów rynki wschodnie, lub zachodnie. Pomimo tylu dzieł o rolnictwie, nigdzie wzmianki wyczytać nie można, aby dewastacya była w Belgii dostrzeżoną w wielkich, średnich, lub małych gospodarstwach. Każdyby przysiągł, że nie umieją rabować swéj własności, że porządna eksploatacya z oglądaniem się na jutro i pojutrze, weszła w ich krew i w nałogi. Skądże więc mogliśmy się domyślać, że przyjechali zrujnować koléj wiedeńską, że gotowali nam klęskę olbrzymich, ogólno-społecznych rozmiarów? I dotąd nicbyśmy się nie domyślali, gdyby nie prasa, która musiała odebrać przestrogę wprost od... Jowisza.

Teraz, po przeczytaniu artykułów wstępnych i sprawozdań, to już łatwiéj przeniknąć nieprawości belgijskie. Zuchwali są i awanturnicy. Nic a nic nie robią sobie z widoków i niechęci naszych. Ktoś tam zarzucił wprawdzie, żeśmy się własnowolnie wy-

zbyli akcyi kolejowych, ale czy z tego koniecznie wynika, żeby jacyś cudzoziemcy, co te akcye nabyli, mieli już tém samem prawo do wtrącania się w nasze gospodarstwo społeczne? Mogli kupić akcye, skoro mieli pieniądze, skoro im się tak podobało, ale powinni byli, zgodnie z najwyższym miejscowym zwyczajem, poprzestać na spokojném pobieraniu dywidendy, którą im corocznie wypłacano. U nas papiery procentowe są na to, aby człowiek siedział za piecem, kładł pasyans i kupony odcinał. Nasz kapitalista jeżeli jedzie do Belgii, to po to, aby w Ostendzie kilka chwil miłych przepędzić, a nikomu drogiego spokoju nie mąci. Tymczasem taki p. Lysen awanturuje się o sto mil, aby się wtrącić do spraw instytucyi, na któréj zarządzie się nie zna. Czyż podobne postępowanie mogło nie oburzyć do głębi duszy, czy mogło nie wywołać tego naprzód deszczu, a potém jak z rynny potoku wymysłów, w używaniu których prasa ćwiczyła się przez wiele tygodni.

Zuchwalcy i awanturnicy są ci Belgowie—my ich nigdy naśladować nie będziemy!

Pod jednym tylko względem głos gęsi rzymskich miał wyższość nad alarmem prasy: nie pozwalał na opozycyą, wszelkie gęganie powiększało krzyk. Tymczasem u nas była opozycya. Kiedy większość biadała nad straszną powodzią klęsk, kiedy wedle jéj zdania groziło zburzenie dotychczasowego składu administracyi, podwyższenie taryf i t. d., opozycyjna mniejszość cieszyła się, że zniesione zostaną... synekury dla literatów. Ponieważ dotąd nikt nie badał i nie wykazał, czy koléj Warszawsko-Wiedeńska istotnie rozdaje literatom synekury, i jeżeli rozdaje, to jaką cząstkę, 8-mio czy 9-cio milionowego dochodu one stanowią, więc trudno mi jest ocenić, o ile zarzuty opozycyi były słuszne. Dręczy mnie jednak obawa, czy czasem pomawianie o te synekury nie jest poprostu wprowadzeniem wewnętrznych niesnasek dziennikarskich do dyskusyi w sprawie poważnéj. Nie byłby to zresztą piérwszy wypadek tego rodzaju.

Kwestya postawiona była tak: każda synekura jest zjawiskiem ujemném, każda posada zajmowana na kolei przez publicystę, jest synekurą.

Naturalnie postawienie takich aksyomatów na czele nadzwyczaj ułatwiło zadanie. Można było odrazu przejść do katonowskiéj potęgi słowa, nabrzmiałego wyrzutém i groźbą. A podobny ton i taka metoda są najwdzięczniejsze, bo nie wymagają zachodu, ani wysiłku myśli, w doskonałém świetle, jak gdyby na ołtarzu wśród świec palących, stawiają własną prawość, a nareszcie brzmią *unisono* z panującemi przekonaniami, więc znajdują téż pewny po-

klask. Nie można także uważać za nic przyjemności uszczypnięcia kolegi, którego się nie lubi, albo, co ważniejsza, któremu się zazdrości.

Słowo „synekura“ tyle razy użyte było w znaczeniu ujemnym, że czytelnikowi przeciętnemu wcale dziwić się nie należy, jeżeli rzecz i pojęcie odpowiednie z góry, bez badania, uważa za szkodliwe i godne potępienia. Tymczasem tak zwana synekura jest koniecznością życia społecznego i w bardzo wielu wypadkach uważać ją należy za zjawisko nawet pożądane.

Synekurą jeśli się nie mylę, nazywamy stanowisko płatne, zapewniające byt materyalny, a nie wymagające wcale, lub bardzo mało pracy.

Istnieją pewne zajęcia nietylko pożyteczne, ale wprost niezbędne, które przez znawców szacowane są wysoko, które przynoszą częstokroć wiele zaszczytu, ale prawie nic dochodu. Do takich zajęć należą wszędzie niemal i zawsze prace naukowe teoretyczne, a nieraz także—literackie i artystyczne. Natura zaś tych zajęć w większości wypadków pochłania człowieka całego, nie pozwala mu czasu ani życia swego dzielić na pogoń za kawałkiem chleba i urywkowe tylko oddawanie się nauce, lub sztuce. Ponieważ zaś dalej z losem i przeznaczeniem niepodobna zawrzeć kontraktu, aby kojarzył bogactwo umysłowe z fortuną materyalną, a dla wszystkich talentów przyszykował wujaszków w Ameryce, lub wielkie wygrane na loteryi, więc zjawia się zadanie czysto społecznéj natury, w jaki sposób ludziom biednym, a zdolnym dać możność pracowania bez narażenia się na nędzę, jeśli nie na śmierć głodową? Jak dotychczas innego sposobu rozstrzygnięcia zadania, jak przy pomocy tak zwanéj synekury, nie ma. Synekury też we wszystkich cywilizowanych krajach pod rozmaitemi formami i nazwami istnieją, a nieraz bardzo sławni ludzie, zasłużeni i posiadający cześć powszechną w swoim czasie, z nich korzystali. Synekurą są wszelkie stypendya, oraz większość bezprocentowych i bezterminowych zapomóg od towarzystw i instytucyj naukowych. Synekurą jest znaczna część posad przy bibliotekach, muzeach itd. Synekurą są katedry dożywotnie, na których można pokazywać się parę razy na rok i niemieć wcale słuchaczów i td. i td. We wszystkich tych formach synekura zyskała prawo obywatelstwa i bynajmniéj zgorszenia, ani protestów nie wywołuje. Jeden z naszych poetów dostał wprost dobra ziemskie od kraju całego. Dla czegoż by więc koléj przynosząca na czysto 1½ miliona rocznie nie mogła udzielić kilku, lub kilkunastu synekur? Co w tém anormalnego, że ciężar podejmuje ten, kto ma odpowiednie potemu siły? Utyskiwania na synekury ukazały się w pismach, które ze swoich demokra-

tycznych przekonań są bardziéj dumne, niż znaczna większość szlachty z antenatów i herbów. Przecież synekury są dła ludzi biednych; podatek od kapitałów jest zawsze jednym z zasadniczych żądań demokracyi, a ofiarność na rzecz ogółu także z ust nie schodzi.

Nie chcę bynajmniéj twierdzić, a tembardziéj spierać się, że synekury drogi Warszawsko-Wiedeńskiej, jeżeli takowe istnieją, dostawały się ludziom na nie zasługującym. A niechcę tego tembardziéj, że człowiek może nietylko się mylić, nietylko kierować się niewłaściwymi względami, ale jeszcze mieć odmienny pogląd na zasługi. W téj chwili chodzi mi o zasadę, chodzi o to, aby sam wyraz „synekura“ nie był przytaczany jako argument wystarczający, jako synonim faktu, hańbiącego i tego, co daje, i tego, co przyjął. To niemal nie do uwierzenia, a tymczasém literalnie tak było, że dotychczasowemu zarządowi kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj zarzucano jako grzech główny, jako powód do uciechy z upadku, że jakąś cząstkę dochodu obracał na synekury dla literatów. Podobne traktowanie rzeczy wprowadza zamęt do pojęć i wytwarza szkodliwe opinije, wymaga więc protestu.

Pierwszy więc aksyonat jest oczywiście fałszywy i opierał się jedynie na chwyceniu pozoru, zamiast jądra rzeczy.

Przejdźmy do drugiego. Nikt nigdy nie badał faktycznie i szczegółowo, czy literaci, zajmujący posady na kolei téj lub owéj, rzeczywiście nic nie robią. Twierdzenie moje o synekurach nie jest wnioskiem, opartym na istotnym stanie rzeczy, nie było stosowane do pewnych osobistości, lecz wygłoszone zostało zupełnie ogólnikowo: dziennikarz i zajmuje posadę—więc synekurzysta. I znowu wszelki dowód zastępowało zestawienie tych dwu faktów, dla ludzi, którzy nawet w gmachu biura kolei nigdy nie byli.

Mniejsza w tym razie o osoby, ale wytwarza się takie położenie. Zajęcia literackie nie są posadą, zależą od wielu warunków i nigdy pewnym być niepodobna, czy zarobki z nich wyczerpane dojdą do wysokości niezbędnéj. Wobec tego publicyści, szczególniéj obarczeni rodziną, starają się (a nie zawsze to się da zrobić) mieć coś pewniejszego, co by nie oddawało ich na łup nędzy, zabezpieczało od wyrzucenia na bruk i niepozbawiało chleba, w razie choroby naprzykład. Jest-to potrzeba tak konieczna i ogólna, że podlegają jéj nietylko drugorzędni pracownicy pióra. Gdy kilka lat temu jeden z najwybitniejszych literatów obejmował redakcyą dziennika, pisma doniosły, że musiał opuścić posadę w jednéj z instytucyi rządowych. Nawet więc taki potentat pomagać sobie musiał, cóż więc mówić o zastępach miernot. Czyż więc jest pożąda-

ném, aby bez dostatecznych racyi wytwarzała się opinia, że każdy literat, mający miejsce stałe, korzysta z synekury, która jest hańbą! Bo co wtedy robić? Ocalić swój honor, czy ubezpieczyć byt rodziny? Pisma humorystyczne wciąż powtarzają anegdotki i koncepty o długach literatów, których ci ani mogą, ani chcą oddawać. Ale i dochód z puszczania w obrót podobnych konceptów jest téż chyba synekurą i to wcale nie zaszczytniejszą, aniżeli posada na kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj.

Miasto i wieś podzieliły—jak wiadomo—między siebie pory roku. W téj chwili, kiedy—używając dobrze znanego wyrażenia, niwy złocą się dojrzałym kłosem, a dziewczęta w chałupach ostrzą sierpy i marzą o przodowaniu na zagonie, co jest tu równym zaszczytem, jak wygrana na wyścigach konnych,—miast nawet jarmark wełniany nie zdoła ożywić, po omdlałym ruchu znać, że to chwila odpoczynku. Żniwa miejskie zaczną się za kilka miesięcy dopiero, kiedy wioski drzemać poczną, zasypane śniegiem.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że mieszczuchy tracą czas bezczynnie. Wcale nie. Część ich bada stosunki europejskie w Maryenbadzie, w Trouville, na wystawie powszechnéj, no—i w Monaco. Część zaś poznaje kraj własny, udając się na letnie mieszkania. Studenci urządzają wycieczki piesze. Wszystko to są zjawiska nie małéj wagi społecznéj. Ta część Warszawy, która nie może wyjeżdżać daléj, a kontentuje się Otwockiem, Rembertowem, Grodziskiem i Wołominem, w długie zimowe wieczory debatuje nad dobrém kraju. Z natury rzeczy wynika, że sprawa ludu, jego oświata, jego usposobienie dla panów, inteligencyi, a co najważniejsza jego aspiracye zajmują poważną część wieczoru. Wtedy najwyraźniéj się pokazuje, że utyskiwania na brak znajomości kraju są wierutnym wymysłem. Chociaż każdy z obecnych utrzymuje co innego, jednak na poparcie swego zdania umie zawsze zacytować przykład i wszyscy pokolei powtarzają z głębokim przekonaniem:

— Ja chłopów znam doskonale.

Gdyby rozpytywanie o źródła téj znajomości nie było niedyskrecyą towarzyską, to okazało by się, jaką poważną rolę odgrywają wycieczki piesze i mieszkania letnie. Z nich to płynie ta wiedza etnograficzna i polityczna oraz gruntowna znajomość duszy chłopskiéj. Młody wędrowiec co najmniéj przez kwadrans zarzuca każdego napotkanego chłopa pytaniami o uczucia jego, o pojęcia naukowe, towarzyskie i religijne, oraz o zamiary socyalne. Ludzie dorośli, jako mniéj skłonni do sielanek, badają mniéj, ale za to spotykają się z właścicielem zajmowanego domu na gruncie interesów życiowych i targują się o poziomki i masło, kłócą o kurczaka, por-

wanego przez psa szkodnego i wogóle załatwiają wiele stosunków sąsiedzkich. Cóż dziwnego, że chociaż szpalty „Wisły“ nie zyskują nic na tych badaniach ludu na gruncie, to jednak ogół inteligentnéj Warszawy nabiera prawa do stanowczych sądów o chłopie.

Zapomniałem zrobić wzmianki o pannach. Emancypowane panny w téj sprawie najwięcéj mówić potrafią.

O ile pobyt na letniem mieszkaniu sprzyja gruntowności sądu, o tyle poszukiwania rozszerzają horyzont. Widzi się kilka powiatów, jeździ się kilkoma kolejami, wysiada się na kilkunastu nieraz stacyach, a czasem i tydzień zejdzie, zanim się coś odpowiedniego wynajdzie.

Piszący te słowa znalazł się tym sposobem w Żyrardowie. Ponieważ i nie każdy może z czytelników „Ateneum“ posiada w bibliotece „Słownik Gieograficzny“, więc udzielę niejakich szczegółów o téj osobliwéj miejscowości. Leży ona pod „Rudą Guzowską“, która jest stacyą kolei Wiedeńskiéj, osoby gdzieindziéj urodzone nie mogą zwykle znaleść granicy pomiędzy Rudą i Żyrardowem i skłonne są wszystko uważać za jedno miasteczko; jestto błąd, ale nie ma co bardzo się nim martwić, gdyż żadnych złych skutków za sobą on nie pociąga. Odległość od Warszawy wynosi wszystkiego 41,7 wiorst, co na gieograficzną miarę równa się prawie 6-ciu milom. Komunikacya zaś jest łatwiejsza niż z innymi obcymi krajami, gdyż „kuryer“ potrzebuje tylko 55 minut czasu.

Na pierwszy rzut oka Żyrardów nie budzi żadnych podejrzeń; od strony stacyi brudny jest jak Pyzdry; albo Koziegłowy, a żydzi w sklepikach zupełnie podobni do warszawskich kupców, daléj jednak okazuje się zupełnie co innego. Stoją domy murowane na kilka pięter, rynsztoki, mostki brukowane, a latarnie gazowe na żelaznych słupach, nie przypominają wcale tych kijów malowanych na zielono, na których w Łomży, lub w Radomiu osadzone są lampki naftowe. Następuje więc zdziwienie pierwsze. Im daléj, tem gmachy są ładniejsze, ozdobniejsze, a zawsze z niepokrytéj wapnem cegły, co prócz czarnéj od węgla ziemi stanowi charakterystykę miejscowości fabrycznych. Trafiwszy na szczęśliwą chwilę, można usłyszéć porządną, wyćwiczoną orkiestrę, można oglądać manewry straży ogniowéj itd. Zdziwienie wzrasta, gdy się znający kraj warszawiak dowie, że Żyrardów, chociaż liczy p o d o b n o do 20000 mieszkańców, nie jest ani powiatowém, ani nawet zwykłém miasteczkiem, tj. nie posiada w swych murach p. burmistrza; co więcéj nie ma także proboszcza, ani innego żadnego kapłana, a wierni na mszę chodzić muszą o kilka wiorst do Wiskitek.

Nadzwyczajna powierzchowność nie mniéj ciekawe niespodzianki kryje w swym wnętrzu. Pytamy o restauracyą, powiadają, że się mieści w Resursie. Tam także przytułek znalazł widocznie teatr, bo afisze, przyklejone na drzwiach, zapowiadają widowisko trupy pod dyrekcyą p. Trapszy. Restauracya wspaniała, duża, porządna, pod względem szyku mogłaby niemal współzawodniczyć z pierwszorzędnymi zakładami warszawskimi. Późniéj przekonaliśmy się, że dają jeść dobrze i tanio, a piwo wyborne. Właściciel, czy jego zastępca, mówi tak dobrze po polsku, że bez najmniejszéj wątpliwości musi być rodakiem. Zaczynamy gawędzić. Dowiadujemy się, że wśród urzędników fabryki połowa jest niemców, połowa krajowców.

— A gazety pan ma tutaj?

— Nie, chyba niemieckie.

Przynoszą pięć rozmaitych gazet niemieckich, są i dzienniki, jest ilustracya, jest i humorystyczny świstek. Prawdopodobnie zresztą jest ich więcéj jeszcze, tylko wszystkich nam niepodano.

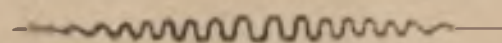
Nie pytałem gospodarza o przyczynę ostracyzmu druków polskich, tylko pomyślałem:

— A cóż, szelmy niemcy, nic nie robią, po knajpach się włóczą, to im gazety potrzebne. Rodak pędzi przykładne życie w rodzinie, a jak wpadnie nawet tu na przekąskę, to się śpieszy do pracy, lub do domu, nie chce trwonić czasu nad urywkowym czytaniem plotek miejskich i politycznych.

Wstępujemy do apteki. W lesie komary, bąble swędzą, mówią, że dobrze amoniakiem natrzéć. Znowu język polski panuje w rozmowie wyłącznie. Akcentu cudzoziemskiego nie znać. Panom prowizorom nie obca jest nawet literatura, jeden drugiego pyta o „Wielki świat Capowic“ Lama. Na ulicy rozwijam papier i na etykietce czytam: „*Fabrikapotheke in Zyrardow. Ammonia Salmiakgeist*“.

Czyżby wzorowość nasza sięgała tak daleko, że i apteka niemcom tylko wyłącznie potrzebna? To już nie wesołe. Ale kto tu winien. Pewnie ten Lysen, tj. niemcy, którzy nie dopominają się o polskie pisma, ani o polskie napisy. Co to za niegodziwy naród, o sobie tylko myślą.

Niechaj który czytelnik nie wpadnie na domysł, że w saméj fabryce żywioł miejscowy ucisku doznaje i wskutek tego na zewnątrz jest nieśmiały. Tak nie jest wcale.



NEKROLOGJA

† **Piotr Jaksa Bykowski**—urodził się 31 stycznia 1823 r. we wsi Jakuszyńcach, niedaleko Winnicy na Podolu, gdzie też uczęszczał do gimnazyum. Uniwersytet na wydziale prawnym kończył w Kijowie i otrzymał stopień kandydata praw 1843 r. Zajął się następnie gospodarstwem, potém zawiłym procesem o spuściznę ojcowską, którą utracił; obok tego wybrany był przez współziemian na kuratora magazynów zbożowych w swoim powiecie. Prowadził życie wesołe, a nawet hulaszcze. Osiadłszy w Kamieńcu, gdy poważniejszy nastrój zaczął panować na Podolu, został kuratorem tamtejszego teatru około r. 1858 i z zamiłowaniem oddał się swym obowiązkom. Wtedy też zaczął pisywać dla teatru, zwykle farsy i wodewile, oraz dramat p. n. „Urodzenie“ drukowany 1860 w Poznaniu. Do „Gazety Polskiéj“ nadsyłał artykuły pod pseudonimem Jaszczura. W r. 1866 opuścił Kamieniec i osiadł w Warszawie; wówczas dopiero działalność jego literacka szersze przybrała rozmiary. W r. 1872 wychodzą jego 4 tomowe „Pamiętniki włóczęgi“ w Warszawie, a równocześnie w Odesie powieść: „Nomina sunt odiosa“. Poczém nastąpiły w nieprzerwanym szeregu opowiadania i gawędy już to z przeszłości niedalekiéj, już to z chwili bieżącéj: „Skarby prababki“, „Syn znajdy“, „Ostatni sejmikowicze“, „Jełowiczowie-Bukojemscy“, „Faktor hetmański“, „Córka hetmańska“, „Święcone w Łabuniu“ „Sądy podkomorskie“, „Mulik, nie historyczny hetman Ukrainy“, „Słoboda“, „Memoryalik palestranta trybunalskiego“, „Ostatni sejmik w województwie bracławskiém“, „Ostatni czumak“, „Konkurenci kasztelanki“, „Glinkowie“, „Szlachetczyzna“, „Chorągwie kmitów“, „Lepsze dobre imię, n iżli maście drogie“, „Pojedynek“, „Justka“, „Czeczotka“, 2 serya „Pamiętników włóczęgi“, „Mirza-Tadż-ul-Fechr“, „Beniowski“, „Dwór królewski w Grodnie“, „Jaśni“ (1889). Oprócz tych opowiadań, niecelujących się artyzmem, ale zazwyczaj, zwłaszcza co do bliższych autorowi czasów, odznaczających się prawdą, brał ś. p. Bykowski udział w dziennikarstwie i w odczytach publicznych. Wesołém, jowialném usposobiem i serdecznością umiał sobie pozyskać sympatyą w szerokich kołach literatów i obywateli. Zmarł nagle w Warszawie 3 czerwca r. b.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w Kwartale II-gim 1889 r.

1. *G. Bunge*. **W sprawie alkoholu**. Odczyt. Z drugiego wydania przełożył *M. Flaum*. Warsz. nakład. księgar. T. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o, str. 24.
2. **Nasi praojcowie**. Gdzie mieszkali, co robili, ich zwyczaje, obyczaje, religja i jak krajem rządzili przed przyjęciem chrześciaństwa. Opowieść według starych ksiąg napisał *M. Malinowski*. Warsz. nakł. redakcyi „Zorzy", 1889, 8-o, str. 101 (z drzeworytami).
3. **Uwagi nad ustawą szpitalną** dla Królestwa Polskiego 1842 roku. Przez *Józefa Tchórznickiego* lekarza szpitala w Sterdyni. (Odbitka z Gazety Lekarskiej 1889 roku). Warszawa, 1889, 8-o, str. 15.
4. *Wacława z Potoka Potockiego*. **Merkuryusz Nowy**. Poemat historyczny w dwu częściach. Z rękopisu biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk wydał Dr. *Bolesław Erzepki*. (Odbitka z Rocznika Tow. Przyj. Nauk Pozn.). Poznań, nakład wydawcy 1889, 8-o, str. XVI i 61.
5. **Jak mówić po polsku**. Przez *A. G. Bema* (wydawnictwo Gebethnera i Wolffa II.) Warsz. 1889, zesz. 6-ty, str. 109—132; zesz. 7, str. 133—156.
6. **Veto**! Powieść przez *Adama Krechowieckiego*. Kraków, nakł. Gebethnera i Spółki, 1889, tom I, str. 319; II, str. 218; III, str. 474; IV, str. 543.
7. **Historya Żydów** od Mojżesza do epoki obecnej. Opracował podług najwiarogodniejszych źródeł *Hilary Nussbaum*. Tom III. Warsz. nakł. księgarni I. Mayznera, 1889, 8-o, str. VII i 292.
8. **Głos w kwestyi kanalizacyi** Miasta Warszawy i łączenia nieruchomości z kanałami. *Jana Blocha*. Warsz. druk. E. Lubowskiego i S-ki, 1889, 4-o, str. III + 100 + 6 + nlb. kart. 7.
9. **Siły przyrody**. Popularny wykład fizyki i główniejszych jej zastosowań. Podług dzieła *A. Guillemin'a* „Le monde physique" opracowali *Józefowa Nusbaum* bak. n. prz. i *Henryk Silberstein* dr. fil. Warsz. nakł. księg. H. Olawskiego, 1889, 8-o, trzy zeszyty (str. 96) z licznemi rysunkami. (Całość obejmie około 30 zeszytów, cena każdego kop. 20.)
10. **Fortuny i cnoty różność** w historyi o niektórym młodzieńcu ukazana 1524. Wydał *Stanisław Ptaszycki*. (Biblijoteka pisarzów polskich, wydawn. Akademii umiejętności). Kraków 1889, 8-o, kart. nlb. 2 i str. 27.
11. **Długosz**, polskij istorik XV stolietija. Przez *St. Ptaszyckiego*. Petersb. 1888, str. 7.
12. **Anzeiger der Akademie** der Wissenschaften in Krakau. № 4. April 1889, str. XXXIX.
13. **Encyklopedya techniczna**. Podręcznik praktyczny technologii chemicznej w zastosowaniu do przemysłu, rękodzieł, rzemiosł, sztuk, rolnictwa i gospodarstwa domowego, opracowana podług najnowszych źródeł pod redakcyą D-ra *Joachima Wiernika*. (Wydawnictwo Przeglądu tygodniowego). Warsz. 1888 i 1889, zeszyt IV, str. 241—320; zesz. V, str. 321—400.
14. **Encyklopedya rolnicza**, wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Zeszyt IV, str. 241—320 (Bagna —Bezrobocie).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 22 Іюня 1889. г.